

KAŻDA HISTORIA POSIADA MROCZNĄ STRONĘ

PRZEBACZENIE



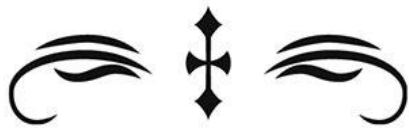
POWIEŚĆ Z CYKLU „UPADLI”

LAUREN KATE

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Prolog: Nic nas nie rozdzieli Jeden:
Ziemia jałowa Dwa: Martwe dusze Trzy: Atmosfera Cztery: Czekanie
Interludium: Iskry Pięć: Naznaczona Sześć: Idąc na dno Siedem: Miłość
nas rozdzieli Interludium: Izolacja Osiem: Gorzki płacz Dziewięć:
Kochać bardziej Dziesięć: Powolne nurkowanie Interludium:
Dezintegracja Jedenaście: Złam mnie Dwanaście: Urzeczony Trzynaście:
Mój nieśmiertelny Interludium: Nieznajomy Czternaście: Nowe zero
Piętnaście: Królowa serc Szesnaście: Niebezpieczne dni Interludium:
Ofiara Siedemnaście: Las Osiemnaście: Tajemna kraina miłości
Dziewiętnaście: Koniec marzenia Dwadzieścia: Niebo czeka
Podziękowania

PRZEBACZENIE



LAUREN KATE

TLUMACZENIE:
ANNA STUDNIAREK

Tytuł oryginału:
Unforgiven

Copyright © 2015 by Tinder Books, LLC and Lauren Kate
Copyright for the Polish translation © 2016 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Urszula Okrzeja

Korekta:
Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce:
Carrie Schechter

Opracowanie graficzne okładki:

Angela Carlino

Skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

Skład wersji elektronicznej:
pan@drewnianyrower.com

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 227213000
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-7480-722-7

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228134743

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Marzycielom.

W mojej głowie węże
Próbuję ci wybaczyć
Każdy się kiedyś zmienia
Może i on się zmieni.



Sharon Van Etten *Serpents*

PROLOG



NIC NAS NIE ROZDZIELI

Cam wylądował w blasku gwiazd na okapie starego kościoła. Złożył skrzydła i rozejrzał się dookoła. Z wiekowych drzew zwieszały się oplątwy, w blasku księżyca przypominały białe sople. Wokół zarośniętego chwastami boiska i starych trybun stały budynki z pustaków. Od morza wiał wiatr.

Przerwa zimowa w poprawczaku Sword & Cross. Na całym terenie żywej duszy. Co on tu właściwie robił?

Niedawno minęła północ, a on właśnie przyleciał z Troi. Nie pamiętał lotu, nieznana siła kierowała jego skrzydłami. Odkrył, że nuci melodię, o której starał się nie pamiętać przez ostatnie kilka tysięcy lat.

Może powrócił tutaj, bo tu właśnie upadłe anioły spotkały Luce w jej ostatnim przeklętym życiu. Jej trzysta dwudzieste czwarte wcielenie i trzysta dwudziesty czwarty raz, gdy upadłe anioły zebrały się, by zobaczyć, jak tym razem zadziała przekleństwo.

Przekleństwo zostało zdjęte. Luce i Daniel byli wolni.

A Cam cholernie im zazdrościł.

Omiótł spojrzeniem cmentarz. Nigdy by się nie spodziewał, że będzie czuł nostalgię na widok tego śmietniska, ale w pierwszych dniach w Sword & Cross było coś fascynującego. Iskra Lucindy płonęła jaśniej, a choć wcześniej byli przekonani, że wiedzą, czego się spodziewać, tym razem musieli zgadywać.

Przez sześć tysiącleci, za każdym razem, kiedy Luce kończyła siedemnaście lat, wystawiali jedną z wersji tego samego spektaklu: demony – Cam, Roland i Molly – robiły wszystko, by skłonić ją do

przejścia na stronę Lucyfera, a anioły – Arriane, Gabbe, czasem również Annabelle – starały się sprawić, by powróciła do niebieskiej owczarni. Żadnej ze stron nigdy nie udało się jej przekonać, żadna nie była nawet blisko.

Za każdym bowiem razem, kiedy Luce spotykała Daniela – a zawsze spotykała Daniela – nie liczyło się nic poza ich miłością. Raz za razem zakochiwali się w sobie i raz za razem Luce ginęła w płomieniach.

Jednakże oto pewnej nocy w Sword & Cross wszystko się zmieniło. Daniel pocałował Lucindę, a ona przeżyła. Wtedy wszyscy zrozumieli. Luce w końcu dostała szansę dokonania wyboru.

Kilka tygodni później wszyscy polecili na miejsce ich pierwotnego upadku, do Troi, gdzie Lucinda wybrała swoje przeznaczenie. Ona i Daniel ponownie odmówili opowiedzenia się po stronie Nieba lub Piekła. Wybrali siebie nawzajem. Oddali nieśmiertelność, by razem spędzić śmiertelne życie.

Luce i Daniel odeszli, ale Cam nie mógł przestać o nich myśleć. Triumf ich miłości sprawił, że zapragnął czegoś, czego nie ważył się ubrać w słowa.

Znów nucił. Ta melodia. Nawet po tak długim czasie wciąż ją pamiętał...

Zamknął oczy i zobaczył pieśniarkę – jej rude włosy splecione w luźny warkocz, długie palce muskające struny liry, gdy opierała się o drzewo.

Nie pozwalał sobie myśleć o niej przez tysiące lat. Dlaczego teraz? – Ta puszka się skończyła – usłyszał znajomy głos. – Rzucisz mi kolejną?

Cam obrócił się dookoła. Nikogo nie widział.

Przez rozbite witrażowe okno w dachu zobaczył poruszenie. Zbliżył się i ostrożnie zajrzał do środka, do kaplicy, którą Sophia Bliss wybrała na swój gabinet, kiedy pracowała w bibliotece Sword & Cross.

Wewnątrz Arriane rozprostowała opalizujące skrzydła, potrząsnęła puszką farby w sprayu i wzniosła się nad ziemię, celując otworem wylotowym w ścianę.

Jej malowidło przedstawiało dziewczynę w świetlistym niebieskim

lesie. Ubrana w czarną suknię z falbanami spoglądała na jasnowłosego chłopaka trzymającego białą piwonię. *Luce i Daniel na zawsze*, głosił napis srebrnymi gotyckimi literami na spódnicy dziewczyny.

Za Arriane ciemnoskóry demon z dreadami zapalał wysoką świecę w szklanym lichterzu przedstawiającym Santa Muerte, boginię śmierci. Roland ustawił ołtarzyk w miejscu, w którym Sophia zamordowała przyjaciółkę Luce Penn.

Upadłe anioły nie mogły wchodzić do świątyni Boga. Gdyby przekroczyły próg, cała budowla natychmiast stanęłaby w płomieniach, które pochłonęłyby wszystkich obecnych wewnątrz śmiertelników. Ale ta świątynia została zdesakralizowana, kiedy wprowadziła się do niej panna Sophia.

Cam rozłożył skrzydła, opadł przez wybite okno i wylądował za Arriane.

– Cam.

Roland objął przyjaciela.

– Spokojnie – stwierdził Cam, ale nie próbował się wyrwać.

Roland przechylił głowę.

– Cóż za zbieg okoliczności, że spotkaliśmy się tutaj.

– Naprawdę?

– Nie, jeśli lubisz *carnitas* – wtrąciła Arriane, rzucając Camowi niewielkie zawiniątko w folii aluminiowej. – Pamiętasz ten food truck z taco na Lovington? Brakowało mi ich od czasu, kiedy odlecieliśmy z tego bagna. – Rozwinęła folię i pochłonęła taco dwoma kęsami. – Pychotka.

Roland zwrócił się do Cama.

– Co ty tu robisz?

Cam oparł się o zimną marmurową kolumnę i wzruszył ramionami.

– Zostawiłem swojego les paula w pokoju.

– I przebyłeś całą tę drogę z powodu gitary? – Roland pokiwał głową. – Pewnie teraz, gdy Luce i Daniel odeszli, wszyscy będziemy musieli znaleźć sobie nowe zajęcia, żeby wypełnić niekończące się dni.

Cam zawsze nienawidził tej siły, która co siedemnaście lat przyciągała upadłe anioły do przeklętych kochanków. Porzucał pola bitew i koronacje. Porzucał ramiona cudownych dziewcząt. Raz zszedł

z planu filmowego. Rzucił wszystko z powodu Luce i Daniela. Ale teraz, gdy nieodparte przyciąganie zniknęło, zaczęło mu go brakować.

Jego wieczność była szeroko otwarta. Co zamierzał z nią zrobić?

– Czy to, co wydarzyło się w Troi, dało ci, no nie wiem... – Roland urwał.

– Nadzieję? – Arriane zabrała Camowi niezjedzone taco i pożarła je. – Jeśli po tylu tysiącach lat Luce i Danielowi udało się stawić czoła Tronowi i zasłużyć na szczęśliwe zakończenie, to czemu innym miałyby się to nie udać? Na przykład nam?

Cam wyjrzał przez stłuczone okno.

– Może to nie dla mnie.

– Wszyscy nosimy w sobie fragmenty naszych wędrówek – stwierdził Roland. – Wszyscy uczymy się na błędach. Kto mógłby powiedzieć, że nie zasługujemy na szczęście?

– Co my wygadujemy. – Arriane dotknęła blizn na szyi. – Cóż takie stare drapieżne ptaki jak my wiedzą o miłości? – Przeniosła wzrok z Cama na Rolanda. – Prawda?

– Miłość nie jest prywatną własnością Luce i Daniela – sprzeciwił się Roland. – Wszyscy jej posmakowaliśmy. I może znów ją poznamy.

Optymizm Rolanda zabolął Cama.

– Nie ja – mruknął.

Arriane westchnęła, wygięła plecy, by rozłożyć skrzydła, i wzniosła się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemię. Pusty kościół wypełniło trzepotanie. Zręcznymi ruchami puszki z białą farbą dodała delikatną sugestię skrzydeł nad ramionami Lucindy.

Przed Upadkiem skrzydła aniołów tworzyło empirejskie światło, każda para była doskonała i zupełnie się od siebie nie różniły. W późniejszej epoce skrzydła zaczęły wyrażać ich osobowość, ukazywać błędy i skłonności. Upadłe anioły, które przysięgły wierność Lucyferowi, miały złote skrzydła. Te, które wróciły do niebieskiej owczarni, nosiły na piórach ślad srebra Tronu.

Skrzydła Lucindy były wyjątkowe, czyste i oszałamiająco białe. Nieskalane. Wolne od śladów decyzji, które podjęli pozostali. Jedynym poza nią aniołem, który zachował białe skrzydła, był Daniel.

Arriane zmięła opakowanie po drugim taco.

– Czasami się zastanawiam...

– Nad czym? – spytał Roland.

– Gdybyście mogli cofnąć się w czasie i nie spieprzyć tak epicko sprawy, jeśli chodzi o kwestie uczuciowe, zrobilibyście to?

– A po co się zastanawiać? – spytał Cam. – Rosaline nie żyje. – Roland skrzywił się na dźwięk imienia nieżyjącej ukochanej. – Tess nigdy ci nie wybaczy – dodał, spoglądając na Arriane. – A Lilith...

Tak. Wypowiedział jej imię.

Lilith była jedyną dziewczyną, którą Cam kiedykolwiek kochał. Poprosił ją, żeby została jego żoną.

Nie wyszło im.

Znów usłyszał jej piosenkę, pulsującą w jego duszy, wypełniającą go żalem.

– Nucisz? – Arriane zmrużyła oczy, wpatrując się w Cama. – Od kiedy to nucisz?

– Co z Lilith? – spytał Roland.

Lilith też nie żyła. Choć Cam nie interesował się, jak przeżyła resztę swoich dni na ziemi po ich rozstaniu, wiedział, że musiała przed wielu laty opuścić ten świat i trafić do Nieba. Gdyby miał inny charakter, być może czułby spokój na myśl o otaczającej ją radości i światłości. Ale Niebo było tak boleśnie odległe, że wołał w ogóle o niej nie myśleć.

Wyglądało na to, że Roland czyta mu w myślach.

– Mógłbyś to zrobić na swój sposób.

Skrzydła Cama pulsowały bezgłośnie za jego plecami.

– Ja wszystko robię na swój sposób.

Roland wyjrzał przez stłuczone okno w stronę gwiazd, po czym znów spojrzał na Cama.

– To jedna z twoich najlepszych cech.

– O co chodzi? – spytał Cam.

Roland zaśmiał się cicho.

– Przecież nic nie powiedziałem.

– Jeśli można – wtrąciła Arriane. – Cam, to jest ta chwila, kiedy wszyscy spodziewają się jednego z tych twoich melodramatycznych zniknięć wśród chmur. – Wskazała na sznur mgły zwisający z Pasa Oriona.

– Cam. – Roland spojrział na niego z wyraźnym niepokojem. –
Twoje skrzydła.

Na końcu lewego skrzydła Cama znajdowało się pojedyncze,
malutkie białe piórko.

Arriane otworzyła usta.

– Co to znaczy?

Jedna plamka bieli pośród pola złota, ale zmusiła Cama do
przypomnienia sobie chwili, kiedy jego skrzydła zmieniły barwę. Przed
wielu laty zaakceptował swoje przeznaczenie, ale teraz, po raz pierwszy
od tysiącleci, wyobraził sobie coś innego.

Dzięki Luce i Danielowi Cam mógł zacząć od początku. A żałował
tylko jednego.

– Muszę iść.

Rozłożył skrzydła, a wtedy kaplicę zalał jaskrawy złocisty blask.
Roland i Arriane uskoczyli mu z drogi. Świeca przewróciła się i stukła,
a jej płomyk zgasł na kamiennej posadzce.

Cam wystrzelił w niebo, kierując się w stronę ciemności, która
czekała na niego od chwili, kiedy odleciał od miłości Lilith.

JEDEN



ZIEMIA JAŁOWA

LILITH

Lilith obudziła się z kaszlem.

Była pora pożarów – zawsze była pora pożarów – i jej płuca wypełniały dym i popiół z czerwonych płomieni szalejących wśród wzgórz.

Na zegarze przy łóżku pulsowała północ, ale cienkie białe zasłony rozświetlał szary blask świtu. Znów była przerwa w dostawie prądu. Pomyślała o teście z biologii na czwartej lekcji i natychmiast przypomniała sobie bolesny fakt, że poprzedniego wieczoru przez pomyłkę wzięła do domu podręcznik historii Stanów. Cóż to za okrutny żart, że korzystała z dwóch podręczników o dokładnie takim samym kolorze grzbietu. Będzie musiała strzelać i modlić się o tróję.

Wyślizgnęła się z łóżka i wdepnęła w coś ciepłego i miękkiego. Kiedy uniosła stopę, poczuła smród.

– Alastor!

Mały płowy kundelek wbiegł do jej sypialni z nadzieją, że Lilith chce się z nim pobawić. Matka nazywała psa geniuszem z powodu sztuczek, jakich nauczył go Bruce, brat Lilith, ale Alastor miał cztery lata i odmawiał nauczania się tej jednej najważniejszej sztuczki – czystości.

– To naprawdę barbarzyństwo – złażała psa i pokicała na jednej nodze do łazienki.

Odkręciła kran. Nic.

Do 15 nie będzie wody – przeczytała na kawałku papieru, który jej matka przykleiła do łazienkowego lustra. Korzenie drzew na zewnątrz

przebijały rury, a jej matka tego popołudnia będzie w końcu miała pieniądze na hydraulika, kiedy już dostanie wypłatę z jednej z licznych dorywczych fuch.

Lilith usiłowała wymacać papier toaletowy z nadzieją, że przynajmniej wytrze stopę do czysta. Znalazła jedynie brązową tekturową tutkę. Po prostu kolejny wtorek. Szczegóły się zmieniały, ale każdy dzień z życia Lilith był w mniejszym lub większym stopniu koszmarem.

Zerwała kartkę od matki i wytarła nią stopę, po czym, nie przeglądając się w lustrze, naciągnęła czarne dżinsy i czarny podkoszulek. Próbowała sobie przypomnieć choć jedno słowo z tego, co według nauczyciela biologii miało być na teście.

Kiedy dotarła na dół, Bruce właśnie wsypywał resztki zawartości pudełka z płatkami śniadaniowymi do ust. Wiedziała, że te zatęchłe płatki były ostatnim jedzeniem w domu.

– Mleko się skończyło – stwierdził Bruce.

– A płatki?

– Płatki też. I w ogóle wszystko.

Bruce miał jedenaście lat i niemal dorównywał Lilith wzrostem, choć był o wiele szczuplejszy. Chorował. Ciągle chorował. Urodził się za wcześnie, a jego serce nie nadążało za duszą, jak lubiła powtarzać matka. Oczy Bruce'a były zapadnięte, a jego skóra miała sinawy odcień, bo płuca nigdy nie mogły zaczerpnąć dość powietrza. Kiedy na wzgórzach szalały pożary, czyli każdego dnia, najmniejszy wysiłek doprowadzał go do kaszlu. Częściej zostawał w domu w łóżku, niż chodził do szkoły.

Lilith wiedziała, że Bruce potrzebuje śniadania bardziej niż ona, ale jej żołądek i tak zaprotestował. Jedzenie, woda, podstawowe środki higieny – wszystkiego brakowało w tej zdezelowanej stercie gruzu, którą nazywali domem.

Kiedy wyjrzała przez brudne kuchenne okno, zobaczyła odjeżdżający autobus. Jęknęła, chwyciła futerał na gitarę i plecak, upewniła się jeszcze, że jej czarny dziennik jest w środku.

– Na razie, Bruce! – zawołała.

Lilith wbiegła na ulicę przy akompaniamencie klaksonów i pisku

opon. Zawsze powtarzała Bruce'owi, że tak nie wolno. Mimo paskudnego pecha, nigdy nie przejmowała się śmiercią. Śmierć oznaczałaby wyzwolenie z tego kołowrotu, którym było jej życie, ale Lilith wiedziała, że nie będzie miała tyle szczęścia. Wszechświat, Bóg – czy cokolwiek – chcieli, żeby wciąż się męczyła.

Odprowadziła wzrokiem odjeżdżający autobus i ruszyła pieszo do oddalonej o prawie pięć kilometrów szkoły, a futerał na gitarę obijał jej się o plecy. Szybkim krokiem przeszła swoją ulicę, mijając pawilon handlowy ze sklepem „wszystko za dolara” i knajpą z chińskim żarciem na wynos, która cyklicznie plajtowała i znów zaczynała działać. Kiedy oddaliła się o kilka przecznic od swojej paskudnej dzielnicy, zwanej w mieście Slump, czyli Spadkiem, chodniki stały się równiejsze, a jezdnie mniej dziurawe. Ludzie, którzy wychodzili, żeby zabrać gazety sprzed drzwi, częściej mieli na sobie garnitury niż obszarpane szlafroki, jak większość sąsiadów Lilith. Starannie uczesana kobieta wyprowadzająca doga pomachała Lilith na powitanie, ale dziewczyna nie miała czasu na uprzejmości. Weszła do biegnącego pod autostradą tunelu dla pieszych.

Szkoła średnia Trumbull mieściła się na rogu High Meadow Road i autostrady nr 2, którą Lilith kojarzyła głównie ze stresującymi wyjazdami na pogotowie, kiedy Bruce'owi naprawdę się pogarszało. Pędząc wzdłuż chodnika w fioletowym minivanie matki, z głową brata na ramieniu, zawsze patrzyła przez okno na zielone znaki z boku autostrady podające odległość do innych miast. Choć nie widziała wiele – właściwie nic – poza miasteczkiem Crossroads, lubiła sobie wyobrażać otaczający je szeroki świat. Lubiała myśleć, że pewnego dnia, jeśli skończy szkołę, ucieknie do lepszego miejsca.

Ostatni dzwonek rozległ się, kiedy wyłoniła się z tunelu w pobliżu szkoły. Kaszlała i piekły ją oczy. Pożary na wzgórzach otaczających miasteczko sprawiały, że szkołę spowijał dym. Pokryty brązowym tynkiem budynek był brzydki, a okrywające go plakaty wykonane przez uczniów nie dodawały mu urody. Jeden reklamował mecz koszykówki następnego dnia, inny podawał szczegóły spotkania kółka fizycznego po lekcjach, lecz na większości znajdowały się powiększone zdjęcia jakiegoś byczka imieniem Dean, który chciał zdobyć dość głosów, by

zostać królem tegorocznego balu maturalnego.

Przed głównym wejściem do Trumbull stał dyrektor Tarkenton. Miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu i nosił garnitur z bordowego poliestru.

– Kolejne spóźnienie, panno Foscor – powiedział, wpatrując się w nią z obrzydzeniem. – Czy nie widziałem twojego nazwiska na liście osób wyznaczonych do pozostania po lekcjach ze względu na spóźnienia?

– To zabawne. Wydaje mi się, że uczę się więcej, gapiąc się po lekcjach w ścianę, niż na jakichkolwiek zajęciach.

– Idź na pierwszą lekcję – powiedział Tarkenton, robiąc krok w stronę Lilith – a jeśli dziś sprawisz swojej matce najmniejszy kłopot w czasie zajęć...

Lilith przełknęła ślinę.

– Moja mama tu jest?

Jej matka kilka razy w miesiącu miała zastępstwa w Trumbull, dzięki czemu Lilith była zwolniona z czesnego – inaczej nie byłoby jej stać na posłanie córki do tej szkoły. Lilith nigdy nie wiedziała, kiedy wpadnie na matkę w kolejce na stołówce albo poprawiającą makijaż w damskiej toalecie. Matka nie mówiła Lilith, kiedy zaszczyci swoją obecnością Trumbull, nigdy też nie zaproponowała córce podwiezienia do szkoły.

Zawsze była to paskudna niespodzianka, ale przynajmniej jeszcze się nie zdarzyło, by wpadła na matkę na zastępstwie w swojej klasie.

Najwyraźniej aż do dziś. Jęknęła i ruszyła do środka, zastanawiając się, na której lekcji pojawi się matka.

Na godzinie wychowawczej jej się upiekło. Pani Richards już sprawdziła listę i pośpiesznie wypisywała na tablicy sposoby, na jakie uczniowie mogliby jej pomóc w beznadziejnej kampanii na rzecz recyklingu na terenie szkoły. Kiedy dziewczyna weszła do środka, nauczycielka jedynie pokręciła głową, jakby ciągle spóźnienia Lilith zwyczajnie ją nudziły.

Zajęła swoje miejsce, opuściła futerał z gitarą na podłogę i wyjęła podręcznik do biologii, który po drodze zabrała z szafki. Zostało jeszcze dziesięć cennych minut godziny wychowawczej, które zamierzała

wykorzystać na wkuwanie przed testem.

– Pani Richards – odezwała się dziewczyna siedząca obok Lilith i spiorunowała ją spojrzeniem. – Nagle coś tu zaczęło strasznie śmierdzieć.

Lilith przewróciła oczami. Ona i Chloe King były wrogami od pierwszego dnia szkoły podstawowej, choć Lilith nie umiała sobie przypomnieć przyczyny. Nie była przecież żadnym zagrożeniem dla bogatej i olśniewającej uczennicy najstarszej klasy. Chloe reklamowała odzież firmy Crossroads Apparel i była wokalistką popowego zespołu Rzekome Zniewagi, jak również szefową połowy szkolnych klubów.

Po ponad dziesięciu latach znoszenia złośliwości Chloe Lilith była przyzwyczajona do ciągłych ataków. Kiedy miała dobry dzień, po prostu je ignorowała. Tego dnia skupiła się na genomach i fonemach w podręczniku do biologii i nie zwracać uwagi na Chloe.

Ale inni uczniowie wokół Lilith też zaczęli zatykać sobie nosy. Dzieciak z przodu zaczął udawać, że się krztusi.

Chloe odwróciła się w jej stronę.

– Czy to twoje tanie perfumy, Lilith, czy zesrałaś się w gacie?

Lilith przypomniała sobie, co Alastor zostawił przy jej łóżku, i prysznic, którego nie udało jej się wziąć. Poczula, że się czerwieni. Złapała rzeczy i wybiegła z sali, ignorując panią Richards wykrzykującą coś o przepustce na korytarz, po czym wpadła do najbliższej łazienki.

Wewnątrz oparła się o czerwone drzwi i zamknęła oczy. Marzyła, by móc ukrywać się w łazience przez cały dzień, ale wiedziała, że kiedy zadzwoni dzwonek, w środku zrobi się tłok. Zmusiła się, by podejść do umywalki. Odkręciła ciepłą wodę, zrzuciła but, uniosła stopę do umywalki i wycisnęła trochę taniego różowego mydła z dozownika. Podniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć swoje smutne odbicie, jednak do lustra ktoś przykleił zdobiony brokatem plakat. „King na królową”, głosił napis pod profesjonalnym zdjęciem rozpromienionej Chloe King.

Bal maturalny miał się odbyć pod koniec miesiąca i większość uczniów wydawała się pochłonięta oczekiwaniem. Lilith widziała na korytarzach setki takich plakatów. Mijała dziewczyny pokazujące sobie na ekranach komórek wymarzone bukieciki. Słyszała żarty chłopaków

na temat tego, co działo się po balu. Lilith robiło się niedobrze od tego wszystkiego. Nawet gdyby było ją stać na sukienkę i nawet gdyby był jakiś chłopak, z którym chciałyby pójść, nic by jej nie zmusiło do pojawienia się w szkole w czasie, kiedy nie było to absolutnie wymagane.

Zerwała plakat Chloe z lustra i wykorzystała go do wyczyszczenia wnętrza buta, a później wrzuciła go do umywalki i tak długo zalewała wodą, aż twarz Chloe zmieniała się w wilgotną pulpę.



Na lekcji poezji pan Davidson tak skupił się na zapisywaniu Sonetu 20 Szekspira na tablicy, że nie zauważył spóźnienia Lilith.

Usiadła ostrożnie i zaczęła obserwować innych uczniów, czekając, aż ktoś złapie się za nos albo zacznie krztusić, ale na szczęście zauważali Lilith jedynie jako pośredniczkę w przekazywaniu karteczek. Paige, wysportowana blondynka na lewo od Lilith, trącała ją, a później kładła na jej stoliku złożoną kartkę. Bez podpisu, ale Lilith wiedziała oczywiście, że to nie ona jest adresatką. Wiadomość była przeznaczona dla Kimi Grace, popularnej pół Koreanki, pół Meksykanki, która siedziała po jej prawej. Lilith przekazała dość karteczek między nimi, żeby zorientować się, jakie są ich plany na bal maturalny – późniejsza wielka impreza i długa limuzyna, na którą składały się z kieszonkowego. Lilith nigdy nie dostawała kieszonkowego. Jeśli matka miała jakąś wolną gotówkę, opłacała rachunki za leczenie Bruce'a.

– Prawda, Lilith? – spytał pan Davidson, a Lilith aż podskoczyła.

Wepchnęła karteczkę pod stolik, żeby nikt jej nie zauważył.

– Czy mógłby pan powtórzyć? – spytała.

Naprawdę nie chciała zdenerwować pana Davidsona. Poezja była jedyną lekcją, którą lubiła, głównie dlatego że nie miała z nią problemów, a pan Davidson był jedynym znanym jej nauczycielem, któremu praca sprawiała przyjemność. Podobały mu się nawet niektóre teksty piosenek, które Lilith oddawała jako prace domowe. Wciąż miała tę kartkę, na której pan Davidson napisał po prostu „Wow!” pod tekstem piosenki, którą zatytułowała „Wygnanie”.

– Powiedziałem, że mam nadzieję, iż zgłosiłaś się do otwartego

mikrofonu – powtórzył Davidson.

– Jasne – mruknęła, choć tego nie zrobiła i miała nadzieję, że nie będzie musiała. Nawet nie знаła terminu.

Davidson uśmiechnął się, zadowolony i zaskoczony. Odwrócił się do reszty klasy.

– W takim razie wszyscy mamy na co czekać!

Davidson odwrócił się znów do tablicy, a Lilith poczuła kuksańca. Kiedy napotkała spojrzenie ślicznych ciemnych oczu Kimi Grace, zastanawiała się przez chwilę, czy dziewczyna chciała porozmawiać o otwartym mikrofonie i czy pomysł czytania przed ludźmi też wywoływał jej niepokój. Ale jedynym, czego Kimi chciała od Lilith, była karteczka ukryta w jej dłoni.

Lilith westchnęła i oddała ją.

Próbowała uciec z wf i pouczyć się biologii, ale oczywiście została złapana i musiała biegać dookoła sali gimnastycznej w dresie i ciężkich butach. Szkoła nie wydawała tenisówek, a matka nigdy nie miała na nie pieniędzy, więc tupot jej stóp, kiedy biegała dookoła dzieciaków grających w siatkówkę, były ogłuszający.

Wszyscy się na nią gapili. Nikt nie wypowiedział na głos słowa „dziwadło”. Wiedziała, że tak właśnie myślą.

Kiedy Lilith dotarła na biologię, była przygnębiona i zmęczona. I wtedy właśnie ujrzała swoją matkę, która w zielonej spódnicy, z włosami upiętymi w ciasny kok, rozdawała testy.

– Cudownie – jęknęła Lilith.

– Cicho! – odpowiedziało kilkoro uczniów.

Jej matka była wysoka, śniada i ciemnowłosa, o ostrych rysach. Lilith miała jasną cerę, a włosy czerwone jak pożary na wzgórzach. Nos miała krótszy niż nos matki, a oczy i wargi mniej wyraziste. Nawet ich kości policzkowe były ułożone pod innymi kątami.

Matka uśmiechnęła się.

– Usiądź, proszę.

Jakby nawet nie znała jej imienia.

Ale córka znała jej imię.

– Jasne, Janet – odparła i usiadła w pustej ławce w rzędzie znajdującym się najbliżej drzwi.

Matka posłała jej zirytowane spojrzenie, po czym uśmiechnęła się i odwróciła wzrok.

„Zabij ich uprzejmością” było ulubionym powiedzeniem matki, przynajmniej wśród ludzi. W domu zachowywała się z większą surowością. O wszystko, czego nienawidziła w swoim życiu, obwiniała Lilith, ponieważ ta urodziła się, kiedy matka była śliczną dziewiętnastolatką z szansami na wielką karierę. Kiedy na świecie pojawił się Bruce, matka pozbierała się po traumie narodzin Lilith na tyle, by rzeczywiście stać się matką. Fakt, że ojciec zniknął z rodzinnego portretu – nikt nie wiedział, gdzie się podział – dawał matce kolejne powody, by żyć dla syna.

Na pierwszej stronie sprawdzianu z biologii znajdowała się tabela, do której mieli wpisać geny dominujące i recesywne. Dziewczyna po lewej pracownicy wypełniała kratki. Lilith nagle nie mogła sobie przypomnieć niczego, czego nauczyła się w ciągu roku. Drapało ją w gardle i czuła pot płynący po karku.

Drzwi na korytarz były otwarte. Na zewnątrz musiało być chłodniej. Zanim właściwie zorientowała się, co robi, stała w drzwiach z plecakiem w jednej ręce, a futerałem w drugiej.

– Wyjście z sali bez przepustki oznacza pozostanie po lekcjach! – zawołała Janet. – Lilith, odłóż tę gitarę i wracaj!

Doświadczenie Lilith nauczyło ją, że należy uważnie wysłuchać tego, co władza ma do powiedzenia – a później postąpić odwrotnie.

Pobiegła korytarzem i wypadła na zewnątrz.



Na dworze powietrze było białe i rozgrzane. Popiół spadał z nieba, osiadł na włosach Lilith i kruchej szaro-zielonej trawie. Najbardziej dyskretna droga opuszczenia szkoły prowadziła przez jedno z wyjść za stołówką i wysypany żwirem plac, na którym przy ładnej pogodzie uczniowie mogli zjeść lunch. Teren był „zabezpieczony” lichym płotem z siatki, na który można się było bez trudu wspiąć.

Przeszła przez płot i zatrzymała się. Co jej strzeliło do głowy? Ucieczka z egzaminu nadzorowanego przez własną matkę była bardzo kiepskim pomysłem. Nie uda jej się uniknąć kary. Ale było już za późno.

Gdyby dalej szła przed siebie, skończyłaby w brzydkim, podniszczonym domu. Nie, dzięki. Spojrzała na nieliczne samochody pędzące autostradą, po czym odwróciła się i przeszła przez parking po zachodniej stronie szkoły, gdzie rosły wysokie i gęste szarańczyny. Weszła do lasu i ruszyła w stronę zacienionego brzegu strumienia Rattlesnake.

Przecisnęła się między dwoma grubymi konarami i głęboko odetchnęła. Schronienie. Swego rodzaju. To w każdym razie uchodziło za naturę w miasteczku Crossroads.

Lilith położyła futerał w zwyczajowym miejscu w zgięciu pnia, oparła stopy o stertę kruchych pomarańczowych liści i pozwoliła, by szmer strumienia w betonowym korycie ją uspokajał.

W szkolnych podręcznikach widziała zdjęcia „pięknych” miejsc – wodospad Niagara, Mount Everest, wodospady na Hawajach – ale wolała od nich Rattlesnake, ponieważ nikt poza nią nie uważał tego wysuszonego zagajnika za piękny.

Otworzyła futerał i wyjęła gitarę. Ciemnopomarańczowy martin 000-45 z pęknięciem biegnącym przez środek pudła rezonansowego. Ktoś na jej ulicy go wyrzucił, a Lilith nie mogła sobie pozwolić na grymaszenie. Poza tym sądziła, że przez tę skazę instrument zyskał głębsze brzmienie.

Jej palce muskały struny, a gdy powietrze wypełniły akordy, poczuła się tak, jakby głaskały ją niewidzialne ręce. Kiedy grała, czuła się otoczona przyjaciółmi, których nie miała.

Jakby to było, spotkać kogoś, kto podzielał jej gusta muzyczne? Kogoś, kto nie uważał, że Cztery Jeźdźcy brzmią „jak ujadające psy”, jak pewna czirliderka opisała jej ulubiony zespół. Lilith marzyła, by zobaczyć ich występ na żywo, ale nie umiała sobie tego nawet wyobrazić. Byli zbyt wielkimi gwiazdami, by zagrać w Crossroads. A nawet gdyby tu przyjechali, za co kupiłaby bilet, skoro często brakowało im pieniędzy na jedzenie?

Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęła grać melodię. Piosenka nie była jeszcze w pełni uformowana – jedynie jej smutek łączący się z gitarą – ale kiedy po kilku minutach przestała śpiewać, ktoś za jej plecami zaczął klaskać.

– Zaraz, zaraz.

Lilith obróciła się i ujrzała opartego o pobliskie drzewo czarnowłosego chłopaka. Nosił skórzaną kurtkę i czarne dżinsy wpuszczone w cholewki podniszczonych ciężkich butów.

– Hej – powiedział, jakby ją znał.

Lilith nie odpowiedziała. Nie znali się. Dlaczego się do niej odezwał?

Wpatrywał się w nią uważnie.

– Wciąż jesteś piękna – powiedział cicho.

– Jesteś... naprawdę dziwny.

– Nie poznajesz mnie?

Wydawał się rozczarowany.

Lilith wzruszyła ramionami.

– Nie oglądam programów kryminalnych.

Chłopak spuścił wzrok, roześmiał się i skinął na jej gitarę.

– Nie obawiasz się, że się pogorszy?

Wzdrygnęła się, wyraźnie zdezorientowana.

– Moja piosenka?

– Twoja piosenka była rewelacyjna. – Odepchnął się od drzewa i ruszył w jej stronę. – Miałem na myśli to pęknięcie gitary.

Lilith patrzyła na jego płynne ruchy – szedł powoli, swobodnie. Zatrzymał się tuż przed nią i zsunął z ramienia płócienną torbę. Jej pasek wylądował na jej bucie, a ona wpatrywała się weń, jakby chłopak umieścił go tam celowo. Zrzuciła go kopnięciem.

– Jestem ostrożna. – Przytuliła gitarę. – Na razie stosunek gitary do pęknięcia jest idealny. Jeśli kiedykolwiek pęknięcie zacznie dominować nad gitarą, będzie gorzej.

– Wygląda na to, że wszystko sobie przemyślałaś.

Chłopak wpatrywał się w nią na tyle długo, że poczuła się niezręcznie. Jego oczy były oszłamiająco zielone. Wyraźnie nie pochodził z okolicy. Lilith nie była pewna, czy w życiu spotkała kogoś, kto nie pochodził z Crossroads.

Był oszłamiający i intrygujący, a więc zbyt piękny, by być prawdziwym. Od razu go znienawdziła.

– To moje miejsce. Znajdź sobie swoje – powiedziała.

On jednak, zamiast odejść, usiadł. Obok niej. Blisko. Jakby byli przyjaciółmi. Albo bardziej niż przyjaciółmi.

– Grałaś kiedyś z kimś innym? – spytał.

Przechylił głowę, a wtedy Lilith zauważyła na jego karku tatuaż w kształcie stylizowanego słońca. Uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech.

– Co, muzykę? To znaczy, w zespole? – Pokręciła głową. – Nie. Ale to i tak nie twoja sprawa.

Ten gość wlaźł na jej terytorium, przerywał jedyne chwile, które miała dla siebie. Chciała, żeby sobie poszedł.

– Co sądzisz o Diabelskim Interesie? – spytał.

– A o co chodzi?

– Jako nazwę dla zespołu.

Instynkt podpowiadał Lilith, że powinna odejść, ale nikt nigdy nie rozmawiał z nią o muzyce.

– A jaki to zespół?

Podniósł z ziemi liść szarańczynu i przyjrzał mu się uważnie, obracając go w palcach.

– Ty mi powiedz. To twój zespół.

– Nie mam zespołu.

Uniósł ciemną brew.

– Może pora, żebyś go założyła.

Lilith nigdy nie pozwalała sobie marzyć o grze w prawdziwym zespole. Odwróciła się, żeby nieco się od niego odsunąć.

– Nazywam się Cam.

– A ja Lilith.

Nie była pewna, dlaczego podanie imienia temu chłopakowi wydawało jej się tak doniosłe, ale tak właśnie było. Żałowała, że tu był, że słyszał, jak grała. Z nikim nie dzieliła się swoją muzyką.

– Podoba mi się to imię – powiedział Cam. – Pasuje do ciebie.

Najwyższy czas, żeby odejść. Nie wiedziała, czego chciał ten gość, ale z pewnością niczego dobrego. Podniosła gitarę i wstała.

Cam próbował ją zatrzymać.

– Dokąd idziesz?

– Dlaczego do mnie mówisz? – Coś w nim sprawiało, że krew

gotowała jej się w żyłach. Dlaczego wpychał się w jej prywatną przestrzeń? Za kogo się uważał? – Nie znasz mnie. Daj mi spokój.

Bezpośredniość Lilith często sprawiała, że ludzie czuli się niezręcznie. Ale nie ten gość. Zaśmiał się cicho.

– Mówię do ciebie, ponieważ ty i ta piosenką są najciekawszymi rzeczami, na jakie natknąłem się od wieków.

– Musisz mieć bardzo nudne życie.

Zaczęła odchodzić. Musiała się pilnować, żeby się nie oglądać. Cam nie spytał, gdzie się wybiera, ani nie wydawał się zaskoczony, że odeszła w trakcie rozmowy.

– Hej! – zawołał.

– Co znowu?

Lilith nawet się nie odwróciła. Cam był jednym z tych chłopaków, którzy krzywdzili dziewczyny dość głupie, by im na to pozwolić. A ona już dość się wycierpiała.

– Też gram na gitarze – powiedział, gdy znów ruszyła przez las. – Potrzebowalibyśmy tylko perkusisty.

DWA



MARTWE DUSZE

CAM

Cam patrzył, jak Lilith znika w lesie nad strumieniem Rattlesnake, i walczył z wszechogarniającym pragnieniem, by za nią pobiec. Była równie wspaniała jak w Kanaanie, jej jasna, wyrazista dusza prześwitywała przez jej zewnętrzną urodę. Czuł zaskoczenie, ale i ogromną ulgę, bo kiedy doszły do niego wstrząsające wieści, że dusza Lilith nie trafiła do Nieba, czego się spodziewał, lecz przebywała w Piekło z Lucyferem, obawiał się najgorszego.

To Annabelle mu w końcu powiedziała. Udał się do niej z nadzieją, że będzie mogła coś mu opowiedzieć o Lilith w Niebie. Różowowłosa anielica pokręciła głową i z bardzo smutną miną wskazała w dół, bardzo daleko w dół.

– Nie wiedziałeś?

Cama dręczyły wątpliwości, jak Lilith – czysta, dobra Lilith – trafiła do Piekła, ale najważniejsze pytanie brzmiało: czy to wciąż była dziewczyna, którą kochał, czy też Lucyfer ją złamał?

Pięć minut w jej obecności cofnęło go prosto do Kanaanu, do oszałamiającej miłości, która niegdyś ich łączyła. Przebywanie obok niej dało mu nadzieję. Ale...

Lilith rzeczywiście się zmieniła. Bolesne rozgoryczenie otaczało ją niczym pancerz.

– Dobrze się bawisz?

Głos dochodził znad jego głowy.

Lucyfer.

– Dzięki za możliwość spojrzenia – powiedział Cam. – A teraz

wydostań ją stąd.

Drzewami wstrząsnął śmiech.

– Przyszedłeś do mnie błagać, bym dał ci poznać stan jej duszy. Pozwoliłem ci ją odwiedzić... ale tylko dlatego, że jesteś jednym z moich ulubieńców. A teraz może porozmawiamy o interesach?

Nim Cam zdążył odpowiedzieć, ziemia pod jego stopami zniknęła. Żołądek podjechał mu do gardła, co było wrażeniem, które mógł w nim wywołać tylko szatan. Spadając, Cam rozważał ograniczenia anielskiej siły. Rzadko kwestionował swoje instynkty, ale spełnienie pragnienia, by kochać Lilith i znów być przez nią kochanym, wymagałoby albo miłosierdzia diabła, albo bezpośredniej konfrontacji z Lucyferem. Cam rozłożył skrzydła i spojrzał w dół, na niebieską plamę rosnącą pod jego stopami. Wylądował na podłodze z linoleum.

Las i strumień Rattlesnake zniknęły, a Cam odkrył, że stoi pośrodku części restauracyjnej opuszczonej galerii handlowej. Przycisnął skrzydła do boków i usiadł przy stoliku z pomarańczowego laminatu.

Atrium było duże, wypełniała je setka takich samych paskudnych stolików. Trudno było ocenić, gdzie się zaczyna, a gdzie się kończy. Wzdłuż sufitu biegł długi świetlik, który jednak był tak brudny, że Cam widział jedynie pokrywającą go warstwę zanieczyszczeń. Na podłodze leżały śmieci – puste talerze, tłuste serwetki, zmiażdżone kubki i pogryzione słomki. W powietrzu unosił się odór stęchlizny.

Otaczały go typowe dla takich miejsc knajpki – chińszczyzna, pizza, kurczaki – ale wszystkie były zamknięte: lokal z hamburgerami miał opuszczone żaluzje, żarówki w kanapkarni się przepaliły, a szklana gablota punktu z jogurtem została potłuczona. Światła paliły się tylko w jednym lokalu. Na jego czarnej markizie widniał złoty napis *Aevum*.

Za ladą stał młody mężczyzna o falujących kasztanowych włosach, ubrany w biały podkoszulek i džinsy. Na głowie miał czapkę kucharza i przyrządzał coś, czego Cam nie widział.

Po Upadku szatan mógł przybrać dowolną postać, ale Cam zawsze rozpoznawał Lucyfera po przeszywającym gorącu, którym ten emanował. Choć dzieliło ich ponad pięć metrów, Cam miał wrażenie, jakby stał tuż nad rozpalonym grillem.

– Gdzie jesteśmy?

Lucyfer podniósł wzrok i posłał Camowi dziwny, kuszący uśmiech. Miał twarz przystojnego, charyzmatycznego dwudziestoparolatka i piegi na nosie.

– To Aevum, zwane też czasem Limbo. – Szatan podniósł dużą łoatkę. – Stan istnienia pomiędzy czasem i wiecznością, a ja przygotowałem specjalne danie dla nowego klienta.

– Nie jestem głodny.

Oczy Lucyfera zamigotały, łoatkę nałożył coś skwierczącego na brązową tacę. Następnie przeszedł za beżową kasę i podniósł plastikowy blat oddzielający małą kuchnię od reszty atrium.

Poruszył ramionami i rozłożył skrzydła, które były wielkie, sztywne i zielonkawo-złociste, jak starożytna, spatynowana biżuteria. Cam wstrzymał oddech, by się ochronić przed ich obrzydliwym, zatechłym smrodem i przeklętymi małymi czarnymi stworkami, które zamieszkiwały ich fałdy.

Unosząc wysoko tacę, Lucyfer podszedł do Cama. Zmrużył oczy na widok białej plamki widocznej wyraźnie na tle jego złotych skrzydeł.

– Białe do Ciebie nie pasuje. Chcesz mi coś powiedzieć?

– Co ona robi w Piekło, Lucyferze?

Lilith była jedną z najbardziej cnotliwych osób, jakie znał Cam. Nie umiał pojąć, jakim sposobem stała się jedną z poddanych Lucyfera.

– Wiesz, że nie mogę zdradzić tego, czego dowiedziałem się w tajemnicy.

Lucyfer uśmiechnął się i postawił tacę przed Camem. Na niej spoczywała nieduża śnieżna kula na złotej podstawie.

– Co to?

Śnieżną kulę wypełniał szary popiół. Spadał bezustannie, magicznie, niemal zasłaniając unoszącą się wewnątrz małą złotą lirę.

– Sam zobacz. Odwróć ją.

Cam odwrócił kulę do góry nogami i odnalazł na jej podstawie niewielki kluczyk. Nakręcił ją i pozwolił, by zalała go muzyka liry. To była ta sama melodia, którą nucił od czasu opuszczenia Troi – pieśń Lilith. Tak o niej myślał.

Zamknął oczy i znów powrócił na brzeg rzeki w Kanaanie, przed trzema tysiącami lat, i słuchał, jak gra.

Ta tania wersja z pozytywki była o wiele bardziej dojmująca, niż Cam się spodziewał. Zacisnął palce na kuli. Nagle...

Trzask. Śnieżna kula rozpadła się na kawałki, muzyka ucichła, a po dłoni Cama spłynęła krew.

Lucyfer rzucił mu śmierdzącą szarą szmatę i gestem kazał posprzątać.

– Na twoje szczęście mam ich tak wiele. – Wskazał na stół za plecami. – Dalej, spróbuj z kolejną. Każda jest odrobinę inna!

Cam odłożył odłamki pierwszej śnieżnej kuli, wytarł dłonie i patrzył, jak goją się rany. Później odwrócił się i znów spojrzął na restaurację. Pośrodku każdego z do niedawna pustych pomarańczowych stolików stały śnieżne kule na brązowych plastikowych tacach. Stolików zrobiło się więcej – było ich teraz całe morze, niknących w półmroku.

Cam sięgnął po kulę na stoliku za plecami.

– Ostrożnie – powiedział Lucyfer.

Wewnątrz tej kuli były malutkie skrzypce. Cam przekręcił kluczyk i usłyszał inną wersję tej samej słodko-gorzkiej piosenki.

W trzeciej kuli kryła się miniaturowa wiolonczela.

Lucyfer usiadł i oparł nogi na stole, Cam zaś chodził po sali i nakręcał kolejne śnieżne kule. A w nich kryły się sitary, harfy, altówki. Gitary hawajskie, bałałajki, mandoliny – i każda wygrywała odę do złamanego serca Lilith.

– Te kule... – powiedział powoli Cam. – Symbolizują wszystkie Piekła, w których ją uwięziłeś.

– A za każdym razem, kiedy umiera w jednym z nich, kończy znowu tutaj, gdzie po raz kolejny przypomina sobie twoją zdradę. – Lucyfer wstał i ruszył między stolikami, z dumą wpatrując się w swoje dzieła. – A później, żeby było ciekawiej, wypędzam ją do nowego Piekła stworzonego tylko dla niej. – Uśmiechnął się, ukazując rzędy ostrych jak brzytwa zębów. – Naprawdę nie wiem, co jest gorsze, nieskończone Piekła, którym ją poddaję, czy zmuszanie jej, by powracała tutaj i przypominała sobie, jak bardzo cię nienawidzi. Ale to dodaje jej sił... jej złość i jej nienawiść.

– Do mnie.

Cam przełknął ślinę.

– Pracuję z materiałem, który otrzymałem. To nie moja wina, że ją zdradziłeś. – Lucyfer roześmiał się głośno. – Wiesz, jaka jest moja ulubiona zmiana w obecnym Piekłe Lilith? Żadnych weekendów! Szkoła każdego dnia w roku. Mógłbyś to sobie wyobrazić? – Lucyfer uniósł śnieżną kulę, po czym pozwolił, by wypadła z jego dłoni i rozbiła się na ziemi. – Ona sama jest przekonana, że jest typową ponurą nastolatką, znoszącą typowe ponure doświadczenia szkoły średniej.

– Dlaczego akurat Lilith? Tworzysz takie Piekło dla każdego?
Lucyfer się uśmiechnął.

– Nudziarze tworzą swoje własne nudne piekła, kotły z rozpaloną smołą i całe te bzdury. Nie potrzebują mojej pomocy. Ale Lilith jest wyjątkowa. Choć przecież nie muszę ci tego mówić.

– A ludzie, którzy cierpią razem z nią? Koledzy ze szkoły, rodzina...

– Pionki. Sprowadzone z czyścica, by odegrać epizod w cudzej historii... co jest innego rodzaju piekłem.

– Nie rozumiem. Sprawiliś, że jej istnienie jest takie żalosne...

– Nie mogę przypisać sobie wszystkich zasług. Ty mi pomogłeś!
Cam zignorował poczucie winy, które groziło tym, że go zadławi.

– A jednak pozwoliłeś jej zachować jedną rzecz, którą naprawdę kocha. Dlaczego pozwalasz jej grać?

– Istnienie nigdy nie jest tak paskudne, jak wtedy, kiedy można posmakować czegoś pięknego – wyjaśnił Lucyfer. – Ono przypomina o wszystkim, czego nie możesz mieć.

Wszystko, czego nie możesz mieć.

Luce i Daniel sprawili, że w Camie coś się poruszyło, coś, co uważał za na zawsze utracone – zdolność do miłości. Kiedy uświadomił sobie, że coś takiego jest możliwe również dla niego, że mógłby dostać drugą szansę, zatęsknił za Lilith.

A teraz, kiedy dowiedział się, że jest tutaj...

Musiał coś zrobić.

– Muszę znów ją zobaczyć. To zbyt krótko...

– Wyświadczyłem ci już dość przysług – warknął Lucyfer. – Pokazałem ci, jak wygląda jej wieczność. Wcale nie musiałem tego

robić.

Cam spojrział na niekończące się śnieżne kule.

– Nie wierzę, że wszystko przede mną ukrywałeś.

– Wcale jej nie ukrywałem, to ty się nie przejmowałeś. Zawsze byłeś zbyt zajęty. Luce i Daniel, popularne dzieciaki ze Sword & Cross, cała ta zabawa. Ale teraz... cóż, chciałbyś zobaczyć, jak wyglądały niektóre z wcześniejszych Piekieł Lilith? To będzie dobra zabawa, obiecuję.

Nie czekając na odpowiedź, Lucyfer położył dłoń z tyłu głowy Cama i pchnął go na jedną ze śnieżnych kul. Cam zacisnął powieki, przygotowując się na uderzenie twarzą w szkło...

Tymczasem:

Stał z Lucyferem w pobliżu wielkiej delty rzeki. Lało jak z cebra. Ludzie wybiegli z chat, ściskając swój dobytek, i z przerażonymi minami wpatrywali się w wezbraną rzekę. Po drugiej stronie zasmucona, lecz spokojna dziewczyna szła powoli, trzymając w ręku sitar, a jej zachowanie kontrastowało z otaczającym ją chaosem. Choć zupełnie nie przypominała Lilith, którą pokochał w Kanaanie, ani dziewczyny, którą właśnie spotkał w Crossroads, od razu ją rozpoznał.

Szła w stronę wzbierającej rzeki.

– Ach, Lilith. – Lucyfer westchnął. – Naprawdę wie, kiedy się zebrać.

Usiadła w błocie na brzegu rzeki i zaczęła grać. Jej dłonie prześlizgiwały się po strunach, wydobywając smutną, dźwięczną melodię.

– Blues o utonięciu – powiedział Lucyfer z nutą podziwu.

– Nie, to blues o chwilach przed utonięciem. Wielka różnica.

I wtedy właśnie rzeka wystąpiła z brzegów, zalewając Lilith i jej sitar, domy, głowy wszystkich uciekinierów, Cama i Lucyfera.

Chwilę później Cam i Lucyfer stali na górskim urwisku. Pasma mgły owijały się wokół sosen niczym palce.

– To jedno z moich ulubionych – stwierdził Lucyfer.

Z tyłu dobiegła ich smutna melodia grana na bandžo. Odwrócili się i zobaczyli siódmkę wychudzonych dzieci siedzących na ganku podupadłej chaty z bali. Wszystkie były bose i miały wzdęte brzuchy.

Rudawa blondynka trzymała na kolanach bandžo, a jej palce poruszały się po strunach.

- Nie zamierzam tu stać i patrzeć, jak Lilith gra, umierając z głodu.
- Taka śmierć nie jest straszna, przypomina zaśnięcie – odparł

Lucyfer.

Wydawało się, że najmniejszy chłopczyk właśnie to zrobił. Jedna z jego siostr oparła głowę na jego ramieniu i podążyła za jego przykładem. Wtedy Lilith przestała grać i zamknęła oczy.

- Dosyć – stwierdził Cam.

Pomyślał o Lilith, którą właśnie spotkał nad strumieniem Rattlesnake. Wszystkie te dawne cierpienia, ślad tych wszystkich śmierci, kryły się gdzieś w jej wnętrzu, ale świadomie ich nie pamiętała. Zupełnie jak Luce.

Nie, uświadomił sobie, Lilith zupełnie nie przypominała Luce. Różniły się od siebie jak wschód od zachodu. Luce była archaniołem, żyjącym przeklętym życiem śmiertelniczki. Lilith była śmiertelniczką przeklętą przez wpływ nieśmiertelnych, niesioną przez wszechświat na wiecznych wichrach, których nie umiała dostrzec. Ale i tak je wyczuwała. Kryły się w sposobie, w jaki śpiewała z zamkniętymi oczami i trącała struny pękniętej gitary.

Była potępiona. Chyba że...

- Odeślij mnie z powrotem – zwrócił się do szatana.

Wrócili z powrotem do piekielnej restauracji, gdzie Cama otaczały śnieżne kule, a każda była pełna cierpienia Lilith.

- Tak ci się podobało w Crossroads? Jestem wzruszony.

Cam spojrzał głęboko w oczy szatana, przeszył go dreszcz na widok szaleństwa, które w nich ujrzał. Przez ten cały czas Lilith była pod wpływem Lucyfera. Dlaczego?

- Co musiałbym zrobić, żebyś ją uwolnił? Zrobię cokolwiek.

– Cokolwiek? Podoba mi się brzmienie tego słowa. – Lucyfer wsunął ręce do tylnych kieszeni spodni, przechylił głowę i wpatrzył się z namysłem w Cama. – Obecne Piekło Lilith zniknie za piętnaście dni. Miło by było popatrzeć, jak przez ten czas czynisz ją jeszcze bardziej nieszczęśliwą. – Zawahał się. – Moglibyśmy wprowadzić interesujące urozmaicenia.

– Ty masz paskudny nawyk wprowadzania interesujących urozmaień.

– Zakład – zaproponował Lucyfer. – Jeśli w ciągu pozostałych piętnastu dni uda ci się oczyścić czarne serce Lilith z nienawiści do ciebie i przekonać ją, by znów się w tobie zakochała... naprawdę się zakochała... odpuszczę sobie, przynajmniej jeśli o nią chodzi. Już nie będę przygotowywał dla niej specjalnych Piekieł.

Cam zmrużył oczy.

– To zbyt łatwe. Gdzie jest haczyk?

– Łatwe? – powtórzył Lucyfer i zachichotał. – Nie zauważyłeś jej ogromnej złości? To wszystko z twojego powodu. Ona cię nienawidzi, stary. – Zamrugął. – I nawet nie wie dlaczego.

– Nienawidzi tego paskudnego świata. Każdy by tak się czuł. To nie znaczy, że nienawidzi mnie. Nawet nie pamięta, kim jestem.

Lucyfer pokręcił głową.

– Nienawiść do paskudnego świata to jedynie przykrywka dla starszej, czarniejszej nienawiści do ciebie. – Wbił palec w pierś Cama. – Kiedy dusza zostaje zraniona tak głęboko, jak Lilith, ból jest nieustanny. Nawet jeśli już nie rozpoznaje twojej twarzy, rozpoznaje twoją duszę. Sedno tego, kim jesteś. – Lucyfer splunął na podłogę. – I nienawidzi cię.

Cam się skrzywił. To nie mogła być prawda. Ale później przypomniał sobie, jak chłodno go potraktowała.

– Ulecę ją.

– Pewnie. – Lucyfer pokiwał głową. – Spróbuj.

– A kiedy odzyskam jej serce, co wtedy?

Lucyfer uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Będiesz mógł przeżyć z nią resztę jej śmiertelnego żywota. I żyli długo i szczęśliwie. To chciałeś usłyszeć? – Pstryknął palcami, jakby właśnie sobie coś przypomniał. – Spytałeś o haczyk.

Cam czekał. Jego skrzydła płonęły pragnieniem powrotu do Lilith.

– Zbyt długo ci pobłażałem – odezwał się Lucyfer chłodno i poważnie. – Kiedy ci się nie powiedzie, będziesz musiał powrócić na swoje przynależne miejsce. Tutaj, ze mną. Koniec rozbijania się po galaktykach. Koniec bieli w twoich skrzydłach. – Lucyfer zmrużył czerwone jak krew oczy. – Dołączysz do mnie za Murem Ciemności, po

mojej prawicy. Na wieczność.

Cam spokojnie patrzył szatanowi w oczy. Dzięki Luce i Danielowi miał okazję – mógł odmienić swój los. Jak mógłby tak łatwo z tego zrezygnować?

A później pomyślał o Lilith. O rozpacz, w której pogrążyła się przez milenia.

Nie. Nie mógł zastanawiać się nad tym, co oznaczała przegrana. Postanowił skupić się na zdobyciu jej miłości i złagodzeniu cierpienia. Jeśli istniała jakakolwiek nadzieja, by ją ocalić, była warta poświęcenia wszystkiego.

– Zgoda.

Cam wyciągnął rękę.

Lucyfer odepchnął ją na bok.

– Oszczędź sobie te bzdury dla Daniela. Nie potrzebuję uścisku twojej dłoni, żebyś dotrzymał słowa. Zobaczysz.

– W porządku. Jak mam do niej wrócić?

– Drzwi na lewo od budki z hot dogami na patyku. – Lucyfer wskazał na rząd restauracji, który wydawał się teraz bardzo odległy. – W chwili, kiedy staniesz w Crossroads, zaczniesz odliczanie.

Cam już szedł w stronę drzwi, w stronę Lilith. Ale kiedy przechodził przez piekielny plac, głos Lucyfera podążał za nim.

– Tylko piętnaście dni, stary. Tik-tak!

TRZY



ATMOSFERA

LILITH
PIĘTNAŚCIE DNI

Lilith nie mogła znów spóźnić się do szkoły.

Ucieczka z testu z biologii już została ukarana koniecznością pozostania w szkole po ostatniej lekcji – matka po powrocie do domu bez słowa wręczyła Lilith kartkę z poleceniem.

Tego ranka Lilith postarała się więc dotrzeć na godzinę wychowawczą, zanim pani Richards skończyła wlewać śmietankę do kawy w biodegradowalnym kubku.

Przed dzwonkiem zdążyła napisać dwie strony pracy domowej z poezji i była tak zadowolona z tego małego osiągnięcia, że nawet się nie wzdrygnęła, kiedy na jej stolik padł znajomy cień.

– Przyniosłam ci prezent – powiedziała Chloe.

Lilith podniosła wzrok. Dziewczyna sięgnęła do torebki w biało-czarne paski i wyciągnęła z niej coś białego, co następnie rzuciła na stolik Lilith. Była to jedna z tych pieluch dla dorosłych, przeznaczonych dla bardzo starych ludzi, którzy nie kontrolowali czynności fizjologicznych.

– Na wypadek gdybyś znów zesrała się w gacie – stwierdziła Chloe. – Założ.

Lilith zarumieniła się i zepchnęła pieluchę ze stolika, udając, że wcale jej nie obchodzi, iż ta wylądowała na podłodze i inni uczniowie musieli nad nią przechodzić, żeby dostać się na swoje miejsca. Podniosła wzrok, żeby sprawdzić, czy pani Richards to zauważyła, ale z przerażeniem zobaczyła, że Chloe rozmawia teraz z uśmiechniętą

nauczycielką.

– Mogę oddawać do recyklingu butelki po szamponie i odżywcze też? – zapytała Chloe. – Nie wiedziałam! Czy mogłabym teraz dostać przepustkę na korytarz? Miałam się zobaczyć z dyrektorem Tarkentonem.

Lilith patrzyła z zazdrością, jak pani Richardson podaje przepustkę Chloe, która natychmiast wybiegła z sali. Westchnęła. Nauczyciele wydawali Chloe przepustki z taką samą częstotliwością, z jaką Lilith dostawała polecenie zostania po lekcjach.

Wtedy właśnie zabrzmiał dzwonek, a głośniki radiowęzła zatrzeszczały.

– Dzień dobry, Bulls – powiedział Tarkenton. – Jak wiecie, dziś jest dzień, kiedy ujawnimy od dawna oczekiwany temat przewodni balu maturalnego.

Uczniowie wokół Lilith zaczęli wiwatować i klaskać. Znowu poczuła się samotna. Nie uważała przy tym, że jest bystrzejsza czy ma lepszy gust niż te dzieciaki, które tak bardzo przejmowały się szkolną potańcówką. Od wszystkich, których miała okazję poznać, dzieliło ją coś głębszego i ważniejszego. Nie wiedziała, co to było, ale sprawiało, że przez większość czasu czuła się jak kosmita.

– Wy głosowaliście, my policzyliśmy – mówił dalej dyrektor – i tematem tegorocznego balu maturalnego jest... Bitwa Zespołów!

Lilith zrobiła kwaśną minę. Bitwa Zespołów?

W tym roku nie głosowała na temat balu maturalnego, ale trudno jej było uwierzyć, że jej koledzy i koleżanki ze szkoły wybrali coś, co brzmiało nawet całkiem interesująco. I wtedy przypomniała sobie, że Chloe King grała w zespole, a jakimś sposobem tak wyprała mózgi uczniów, że cokolwiek robiła, było modne. Przed rokiem sprawiła, że bingo było czymś, czym popularni uczniowie zajmowali się w każdy czwartkowy wieczór. Lilith, rzecz jasna, nigdy nie wybrała się na Bingo Lasek, jak je nazywano, ale dajcie spokój – kto w wieku od ośmiu do osiemdziesięciu lat rzeczywiście dobrze się bawił, grając w bingo?

Temat balu maturalnego mógł być gorszy. Ale Lilith i tak była przekonana, że Tarkenton i jego podwładni znajdą sposób, by się upewnić, że będzie do niczego.

– A teraz wiadomość od przewodniczącej komitetu organizującego bal, Chloe King – powiedział Tarkenton.

W głośnikach rozległ się zgrzyt, kiedy dyrektor przekazywał mikrofon.

– Cześć, Bulls – powiedziała Chloe głosem, który był jednocześnie energiczny i zmysłowy. – Kupcie bilety na bal maturalny i bądźcie gotowi przetańczyć całą noc w rytm wspaniałej muzyki granej przez waszych wspaniałych przyjaciół. Nie przesłyszeliście się, bal maturalny będzie połączeniem festiwalu muzycznego i telewizyjnego show, łącznie ze złośliwymi sędziami i całą resztą. Sponsorem całości jest King Media... dzięki, tato! Zapamiętajcie datę: środa, piętnasty kwietnia, dokładnie za piętnaście dni! Ja już zgłosiłam swój zespół do bitwy, więc na co czekacie?

Rozległ się trzask wyłączanego mikrofonu. Lilith nigdy nie była na występie Chloe, ale lubiła myśleć, że dziewczyna ma talent muzyczny porównywalny z homarem.

Wróciła myślami do chłopaka, którego spotkała poprzedniego dnia nad strumieniem. Nie wiadomo dlaczego wspomniał o założeniu zespołu. Próbowwała zapomnieć o tym spotkaniu, ale teraz, kiedy Chloe powiedziała o możliwości zagrania na balu, Lilith z zaskoczeniem poczuła żal, że nie ma własnej kapeli.

I wtedy właśnie drzwi do sali się otworzyły – i do środka wkroczył chłopak znad strumienia. Przeszedł spacerowym krokiem wzdłuż sąsiedniego rzędu i zajął miejsce Chloe King.

Lilith zrobiło się gorąco, kiedy wpatrzyła się w jego motocyklową kurtkę i starą koszulkę The Kinks, która opinała jego tors. Zastanawiała się, gdzie w Crossroads sprzedawali takie ciuchy. Na pewno w żadnym sklepie, który знаła. Nigdy nie spotkała kogoś, kto ubierałby się tak jak on.

Odsunął ciemne włosy z oczu i spojrzał na nią.

Lilith podobał się wygląd Cama, ale nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył. W jego oczach migotały iskierki, które wywoływały w niej niepokój. Jakby znał wszystkie jej tajemnice. Pewnie patrzył tak na wszystkie dziewczyny, a niektóre bez wątpienia to uwielbiały. Lilith nie – zupełnie – ale zmusiła się, by wytrzymać jego

spojrzenie. Nie chciała, by pomyślał, że denerwuje się z jego powodu.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała pani Richards.

– Jestem tu nowy – odparł Cam, nie odrywając wzroku od Lilith. – Jakie są zasady?

Kiedy pokazał swoją legitymację ucznia Trumbull, Lilith poczuła się tak zaskoczona, że aż dostała ataku kaszlu. Zażenowana próbowała zapanować nad sobą.

– Cameron Briel. – Pani Richards odczytała nazwisko z legitymacji i obejrzała Cama od stóp do głów. – Zasady są takie, że siadasz tutaj i jesteś cicho.

Wskazała na stolik z dala od Lilith, która wciąż kaszła.

– Lilith – odezwała się pani Richards – czy znasz statystyki wzrostu zachorowań na astmę ze względu na zwiększoną emisję dwutlenku węgla w ciągu ostatniego dziesięciolecia? Kiedy skończysz kaszleć, chciałabym, żebyś wyjęła kartkę i napisała list do swojej kongresmenki z żądaniem reformy.

Naprawdę? Wpakowała się w tarapaty z powodu kaszlu?

Cam dwa razy uderzył Lilith lekko w plecy, jak to miała w zwyczaju matka, kiedy Bruce dostawał ataku. Następnie pochylił się, podniósł pieluchę i z mrugnięciem wcisnął ją do torebki Chloe.

– Może jej później potrzebować.

Uśmiechnął się do Lilith, idąc w stronę swojego miejsca po drugiej stronie sali.

Trumbull nie było dużą szkołą, ale na tyle dużą, by Lilith była zaskoczona, kiedy Cam pojawił się również na lekcji poezji. Poczuła jeszcze większe zaskoczenie, kiedy pan Davidson wskazał mu miejsce w pustej ławce obok niej – Kimi Grace była na zwolnieniu lekarskim.

– Hej – powiedział Cam, zajmując miejsce.

Lilith udawała, że go nie słyszy.

Dziesięć minut później, kiedy pan Davidson czytał wiersz miłosny włoskiego poety Petrarke, Cam nachylił się i upuścił liścik na jej stolik.

Lilith spojrzała na kartkę, później na Cama, a następnie w prawo, przekonana, że to wiadomość dla kogoś innego. Ale Paige nie wyciągała ręki, żeby odebrać jej liścik, a Cam z uśmiechem wskazał na wierzch wiadomości, na którym ładnym charakterem pisma, czarnym

atramentem napisał *Lilith*.

Otworzyła ją i poczuła dziwne uniesienie, jak wtedy, gdy zabierała się za czytanie naprawdę dobrej książki albo po raz pierwszy słyszała świętą piosenkę.

W ciągu dziesięciu minut zajęć Psor był zwrócony twarzą do tablicy przez imponujące osiem minut i czterdzieści osiem sekund. Zgodnie z moimi obliczeniami moglibyśmy się wyslizgnąć następnym razem, kiedy się odwróci, a zdążylibyśmy dotrzeć nad strumień, zanim ktokolwiek zauważyłby naszą nieobecność. Zamrugaj dwa razy, jeśli jesteś za.

Lilith nawet nie wiedziała, od czego zacząć. Zamrugać dwa razy? Raczej trzy razy paść trupem, to mu chciała powiedzieć. Kiedy podniosła wzrok, jego twarz miała dziwny, spokojny wyraz, jakby byli przyjaciółmi, którzy ciągle robili takie rzeczy, jakby w ogóle byli przyjaciółmi. Najdziwniejsze, że Lilith ciągle uciekała z lekcji – poprzedniego dnia zrobiła to dwa razy, na wychowawczej i biologii. Ale nigdy nie uciekała dla zabawy. Zawsze było to jedyne możliwe rozwiązanie, mechanizm, który pozwalał jej przetrwać. Cam sprawiał wrażenie, że wie, kim ona jest i jak żyje, a to ją irytowało. Nie chciała, by w ogóle o niej myślał.

Nie, odpisała nad wiadomością Cama. Zmiała ją i rzuciła w niego następnym razem, kiedy pan Davidson się odwrócił.

Reszta dnia była długa i monotonna, ale przynajmniej Lilith uwolniła się od Cama. Nie widziała go podczas przerwy obiadowej ani na żadnych innych zajęciach. Doszła do wniosku, że jeśli ma z nim spędzić dwie lekcje, to najlepiej od razu obie z samego rana i mieć już za sobą ten dziwny niepokój, który w niej wywoływał. Dlaczego zachowywał się wobec niej tak swobodnie? Wydawało się, że sądzi, że ona lubi jego obecność. Coś w nim wywoływało w niej wściekłość.

Kiedy zabrzmiał ostatni dzwonek i Lilith marzyła tylko o tym, by prześlizgnąć się między konarami szarańczyny i zagrać na gitarze nad brzegiem strumienia, powlokła się odsiedzieć swoje po lekcjach.

Sala, w której miała odbyć karę, była skromnie wyposażona – jedynie kilka biurek i jeden plakat na ścianie, przedstawiający kociaka trzymającego się pazurkami gałęzi drzewa. Po raz tysięczny Lilith

przeczytała słowa wydrukowane pod jego cętkowanym ogonem:
MASZ TYLKO JEDNO ŻYCIE

ALE JEŚLI WYKORZYSTASZ JE WŁAŚCIWIE,
JEDNO WYSTARCZY.

Sposobem, by przeżyć karę, było wejście w trans. Lilith wpatrywała się w plakat z kociakiem, aż zaczął się wydawać czymś nadnaturalnym. Kociak robił wrażenie przerażonego, z całej siły wbijał pazurki w gałąź. Czy to miało symbolizować „właściwe wykorzystanie życia”? Nawet wystrój wnętrza tej szkoły nie miał sensu.

– Sprawdzam salę! – ogłosił trener Burroughs, wpadając do środka.

Sprawdzał ją co kwadrans, dokładnie jak w zegarku. Asystent trenera koszykówki miał siwe włosy, które zaczesywał do tyłu w stylu pompadour, przez co wyglądał jak podstarzały sobowtór Elvisa. Uczniowie mówili na niego Krocze Burroughs, ze względu na przykrótkie szorty.

Choć tego dnia Lilith została po lekcjach sama, Burroughs szedł powoli, jakby dyscyplinował całą salę pełną niewidzialnych przestępców. Kiedy dotarł do Lilith, położył na jej stoliku plik kartek związanych zszywką.

– Test z biologii, wasza wysokość. Inny niż ten, z którego uciekłaś wczoraj.

Ten sam czy inny, bez znaczenia – Lilith wiedziała, że i tak go obleje. Zastanawiała się, dlaczego nigdy nie dostała zaproszenia do gabinetu szkolnego pedagoga, dlaczego nikogo nie interesowało to, że koszarne oceny zmniejszają jej szanse na dostanie się do koledżu.

Kiedy drzwi się otworzyły i do środka wkroczył Cam, Lilith uderzyła się dłonią w czoło.

– Żartujesz sobie? – mruknęła pod nosem, kiedy wręczył Burroughsowi żółtą karteczkę z poleceniem zostania po lekcjach.

Burroughs skinął Camowi głową, wskazał mu stolik po drugiej stronie sali i spytał:

– Masz jakieś zadania, żeby nie marnować czasu?

– Nawet nie ma pan pojęcia, jak wiele mam do zrobienia.

Burroughs przewrócił oczami.

– Te dzisiejsze dzieciaki myślą, że tak im ciężko. Nie wiedziałbyś, co to prawdziwa praca nawet gdyby ugryzła cię w tyłek. Wrócę za piętnaście minut. Mikrofon jest włączony, więc w gabinecie dyrektora słyszeć wszystko, co się tu dzieje. Zrozumiano?

Cam mrugnął ze swojego miejsca do Lilith. Odwróciła się twarzą do ściany. Nie byli tak blisko, żeby do siebie mrugać.

Kiedy drzwi zamknęły się za Burroughsem, Cam podszedł do biurka nauczyciela, wyłączył mikrofon i przeniósł się na krzesło przed Lilith. Usiadł i położył stopy na jej stoliku, trącąc jej palce butami.

Odepchnęła jego nogi na bok.

– Mam test do napisania. Przepraszam.

– A ja mam lepszy pomysł. Gdzie twoja gitara?

– Jak udało ci się dostać karę pierwszego dnia w szkole? Chcesz pobić rekord? – spytała, żeby nie powiedzieć tego, co naprawdę myślała, czyli: „Jesteś pierwszym nowym uczniem, którego pamiętam. Skąd pochodzisz? Gdzie robisz zakupy? Jaka jest reszta świata?”.

– Tym się nie martw. Wróćmy do twojej gitary. Nie mamy dużo czasu.

– I mówisz to dziewczynie, która ma spędzić całą wieczność w szkole.

– Taka jest twoja wizja wieczności? – Cam rozejrzał się, zatrzymał wzrok na plakacie z kociakiem. – Nie byłaby na pierwszym miejscu na mojej liście – powiedział w końcu. – Poza tym, kiedy człowiek dobrze się bawi, nie zauważa wieczności. Czas istnieje jedynie w sporcie i w smutku.

Cam wpatrywał się w nią tak długo, że przeszedł ją dreszcz. Poczwała, że się rumieni – nie wiedziała, czy z zażenowania, czy ze złości. Wiedziała, co robił – próbował ją zmiękczyć, rozmawiając o muzyce. Myślał, że tak łatwo z nią pogrywać? Poczwała kolejny niewytłumaczalny przyпіływ wściekłości. Nienawidziła tego chłopaka.

Wyjął z torby przedmiot wielkości jednorazowego pudełka płatków śniadaniowych i położył go na biurku Lilith.

– Co to? – spytała.

Cam pokręcił głową.

– Będę udawać, że nie zadałaś tego pytania. To miniaturowy wzmacniacz gitarowy.

Pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć „oczywiście”.

– Po prostu nigdy nie widziałam takiego, no...

– Kwadratowego? – dokończył Cam. – Teraz potrzebujemy jeszcze tylko gitary, do której moglibyśmy go podłączyć.

– Burroughs wróci za piętnaście minut. – Lilith spojrzała na zegar.

– Dwanaście. Nie wiem, na czym polegały kary w twoich okolicach, ale tutaj nie można grać na gitarze.

Cam był nowy, a jednak zachowywał się, jakby był właścicielem tego miejsca.

Lilith tkwiła tu przez całe życie, wiedziała, jak działa ta szkoła i jak bardzo jest do niczego, więc Cam mógł po prostu sobie odpuścić.

– Dwanaście minut, tak? – Wrzucił miniaturowy wzmacniacz z powrotem do torby, wstał i wyciągnął rękę. – Lepiej się pośpieszmy.

– Nie idę z tobą... – zaprotestowała Lilith, kiedy pociągnął ją w stronę drzwi.

Później znaleźli się na korytarzu, gdzie było cicho, więc milczała. Przez krótką chwilę patrzyła na swoją dłoń w jego dłoni, zanim się wyrwała.

– Widzisz, jakie to łatwe?

– Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Cam wyglądał, jakby uderzyła go w brzuch. Zmarszczył czoło i powiedział:

– Chodź.

Lilith wiedziała, że powinna wrócić do sali, w której odbywała karę, ale podobał jej się pomysł narobienia zamieszania – nawet jeśli nie lubiła swojego towarzysza.

Mamrocząc pod nosem, ruszyła za Camem, trzymając się blisko ściany, jakby mogła wtopić się w narysowane przez uczniów plakaty wspierające żalostną drużynę koszykówki Trumbull. Cam wyciągnął z torby flamaster i dopisał HIT na końcu hasła głoszącego DALEJ, BULLS!

Lilith była zaskoczona.

– No co? – Uniósł brew. – Jak już się zacznie gadać bzdury, nie

można skończyć.

Wspięli się na piętro i dotarli do drzwi z tabliczką SALA PRÓB. Jak na kogoś, kto spędził dopiero jeden dzień w szkole, Cam dobrze się orientował. Sięgnął do klamki.

– A jeśli w środku ktoś jest?

– Zespół ma próbę na pierwszej lekcji. Sprawdziłem.

Ale w środku rzeczywiście ktoś był. Jean Rah był pół Francuzem, pół Koreańczykiem i, podobnie jak Lilith, wyrzutkiem. Powinni zostać przyjaciółmi – podobnie jak ona miała świra na punkcie muzyki, a do tego był wredny i dziwny. Ale nie zostali przyjaciółmi. Lilith marzyła, by Jean Rah po prostu przestał istnieć, a w jego oczach widziała, że on pragnął, by to samo przytrafiło się jej.

Jean podniósł wzrok znad perkusji – właśnie stroił werbel. Umiał grać na każdym instrumencie.

– Wynocha. Albo wezwę pana Mobleya.

Cam uśmiechnął się szeroko. Lilith widziała, że od razu polubił tego ponurego chłopaka w okularach w stylu Buddy’ego Holly’ego, co sprawiło, że jeszcze bardziej znienawidziła ich obu.

– Czy wy się znacie? – spytał Cam.

– Bardzo się staram, żeby go nie znać – odparła Lilith.

– Jestem niepoznawalny – stwierdził Jean – dla idiotów takich jak ty.

– Mów tak dalej, a oberwiesz.

Lilith cieszyła się, że jej złość znalazła cel. Napięła się i zanim zorientowała się, co robi, rzuciła się na Jeana...

Cam chwycił ją w pasie.

– Prr, prr, prr.

Szarpała się w jego mocnych ramionach i nie wiedziała już, którego chłopaka chciała uderzyć jako pierwszego. Cam ją zdenerwował, przerwał jej spokojną karę, przyprowadził tutaj... I te mrugnięcia. Znow się wściekła, przypominając sobie, jak do niej mrugał.

– Puść. Mnie.

Aż gotowała się ze złości.

– Lilith – powiedział Cam cicho. – Nic się nie dzieje.

– Zamknij się. – Wyrwała się. – Nie chcę twojej pomocy ani twojej

litości, czy cokolwiek próbujesz zrobić.

Cam pokręcił głową.

– Ja wcale nie...

– Ależ tak. I lepiej przestań.

Aż ją swędziała dłoń, żeby spoliczkować Cama. Nawet wyraz jego twarzy, na której zdeorientowanie w niepokojący sposób łączyło się z bólem, nie sprawił, że złagodniała. Nie uderzyła go tylko dlatego, że Jean patrzył.

– Yyy... – Jean uniósł brwi i spojrzał najpierw na Lilith, a później na Cama. – Wy dwoje naprawdę mnie denerwujecie. Idę po Mobleya.

– Proszę bardzo – warknęła Lilith. – Zrób to.

Ale chłopak był tak wstrząśnięty, że został na miejscu.

Pierwszym impulsem Lilith było natychmiast wyjść z sali prób, ale – co dziwne – odkryła, że pragnie zostać. Nie wiedziała, dlaczego nie przyszła tu nigdy wcześniej. Wszystkie te instrumenty ją uspokajały. Nawet jeśli były w kiepskim stanie – trąbki porysowane, skóra na bębnach tak wytarta, że wręcz przezroczysta, trójkąty pokryte warstwą rdzy – nic innego w tej szkole nie było nawet w połowie tak interesujące.

Na twarzy Cama pojawił się uśmiezek.

– Chyba wpadłem na pomysł.

– Pewnie pierwszy w życiu – mruknął Jean.

– Wybacz nam, jeśli nie jesteśmy pod wrażeniem. – Lilith z zaskoczeniem odkryła, że stanęła po stronie Jeana.

– Oboje macie wspólnego wroga – stwierdził Cam.

Lilith prychnęła.

– Szybko zauważasz, że ludzie cię nie cierpią. Zajęło ci to, ile, dziesięć minut?

– Nie mnie. Mam na myśli szkołę. Miasto. – Przerwał na chwilę. – Świat.

Lilith nie umiała ocenić, czy Cam jest mądry, czy powtarza frazesy.

– Do czego zmierzasz?

– Może połączycie siły i ukierunkujecie swoją wściekłość? – Cam podał Lilith gitarę ze stojaka i położył dłoń na ramieniu Jeana. – Razem z Lilith zakładamy zespół.

– Wcale nie – sprzeciwiła się Lilith. Co było nie tak z tym gościem?

– Ależ tak. – Cam zwrócił się do Jeana, jakby to było już ustalone.
– Bal maturalny jest za piętnaście dni, a my potrzebujemy perkusisty, jeśli mamy zwyciężyć w Bitwie Zespołów.

– Jak się nazywa wasz zespół? – spytał Jean sceptycznie.

Cam mrugnął do Lilith. Znowu.

– Diabelski Interes.

Lilith jęknęła.

– Nie ma mowy, żebym zagrała w zespole o nazwie Diabelski Interes. Jeśli kiedyś założę kapelę, będzie się nazywała Zemsta.

Nie zamierzała wypowiedzieć tego wszystkiego na głos. Powiedziała prawdę, ale utrzymywała tę nazwę w tajemnicy od lat, od kiedy doszła do wniosku, że najlepszą zemstą na wszystkich dupkach ze szkoły byłoby zdobycie sławy i założenie prawdziwego zespołu z prawdziwymi muzykami. I nikt z Crossroads już nigdy by jej nie zobaczył, poza koncertami, które i tak musieliby oglądać w internecie, bo jej zespół nigdy, przenigdy nie zagrałby w jej rodzinnym miasteczku.

Ale nigdy nie wypowiedziała tej nazwy na głos.

Cam otworzył szerzej oczy.

– Zespół o takiej nazwie będzie potrzebował cholernie wielkiego syntezatora. I kuli dyskotekowej.

Jean zmrużył oczy.

– Chciałbym się wysyntezytorować w cholerę z tej szkoły – powiedział po chwili. – Wchodzę w to.

– A ja nie – stwierdziła Lilith.

Cam uśmiechnął się do niej.

– Ona też wchodzi.

Odpowiedz uśmiechem, Lilith. Inne dziewczyny tak by zrobiły, ale Lilith nie przypominała żadnej dziewczyny, jaką знаła. W żołądku czuła pulsującą kulę wściekłości, na samozadowolenie Cama, jego pewność siebie. Skrzywiła się i bez słowa wyszła z sali prób.



– Umieram z głodu – powiedział Cam, wychodząc za nią ze szkoły.

Wrócili na miejsce i zdążyli włączyć mikrofon, zanim Burroughs po raz ostatni zajął do sali. Oddała test, w większości pusty, i oboje dostali pozwolenie, by wyjść.

Dlaczego Cam nie mógł zostawić jej w spokoju.

W prawej ręce trzymał futerał na gitarę, którą wypożyczył z sali prób. Płócienną torbę przerzucił przez ramię.

– Gdzie chodzą jeść?

Lilith wzruszyła ramionami.

– W przytulnym lokalu zwanym „nie twój interes”.

– Brzmi egzotycznie. Gdzie jest?

Kiedy szli, musnął gładkimi koniuszkami palców jej pokryte odciskami dłonie. Cofnęła się natychmiast, odruchowo i popatrzyła na niego z miną świadcząca, że jeśli nie był to przypadek, nie powinien tego powtarzać.

– Idę tam.

Wskazała w stronę strumienia i natychmiast pożałowała, że wyjawiała swój plan. Nie zaproponowała, by jej towarzyszył.

Ale Cam i tak to zrobił.



Na skraju lasu odsunął na bok gałąź szarańczynu, żeby mogła pod nią przejść. Lilith patrzyła, jak przygląda się gałęzi, jakby nigdy wcześniej nie widział takiego drzewa.

– W twoich okolicach nie ma szarańczynów? – W Crossroads rosły wszędzie.

– I tak, i nie. – Mamrotał coś pod nosem, kiedy szła w stronę swojego drzewa.

Usiadła i patrzyła na wodę ciurkającą po kamieniach wystających z dna. Cam po chwili dołączył do niej.

– A skąd właściwie pochodzisz? – spytała.

– Z okolicy?

Cam wsunął rękę między wygięte gałęzie, gdzie Lilith schowała swoją gitarę. Czasami przychodziła tutaj, by pograć, kiedy odpuszczała sobie lunch – dzięki temu mniej myślała o tym, jak bardzo jest głodna.

– Tajemniczy? – Naśladowała ton jego głosu.

Odebrała mu gitarę.

– To nie jest wcale tak fajne, jak się wydaje. Poprzednią noc spędziłem w wejściu do zakładu naprawy telewizorów.

– O’Malley’s na High Street? – Lilith zaczęła stroić gitarę. – To dziwne. Raz tam spałam, kiedy miałam szlaban, a musiałam uciec od Janet. – Poczula na sobie jego wzrok. Dawał jej do zrozumienia, że prosi o wyjaśnienie. – Janet to moja matka. – Woląta nie mówić więcej, więc zmieniła temat. – A jak ty tu wylądowałaś?

Cam zacisnął zęby, a na jego czole, między oczyma, pojawiła się pulsująca żyłka. Wyraźnie nie chciał o tym rozmawiać, co Lilith wydało się podejrzane. Ukrywał coś, tak samo jak ona.

– Dość gadaniny. – Cam otworzył futerał, który zabrał z sali prób, i wyjął zielonego fendera jaguara, własność szkoły Trumbull. – Zagrajmy coś.

Lilith kichnęła i zacisnęła ręce na brzuchu. Głód był jak zardzewiałe nożyce wbite we wnętrności.

– Kichnięcie z głodu. Szkoda, że jednak nie poszliśmy zjeść. Dobrze, że jesteś ze mną.

– Dlaczego?

– Bo dobrze się dogadujemy. – Odsunął ciemne włosy z oczu. – I ponieważ wożę ze sobą wyjątkowe przekąski.

Z płóciennej torby wyjął paczkę krakersów i płaski słoik z napisami w obcym języku. Zacisnął dłoń na pokrywce i spróbował ją przekręcić. Nie poruszyła się. Spróbował po raz drugi. Na jego czole znów pojawiła się żyłka.

– Daj.

Lilith wzięła od niego słoik i przesunęła nim po strunach gitary, aż jedna z nich poluzowała pokrywkę. Raz tak zrobiła w domu, kiedy Bruce był głodny, a ostatnim, co pozostało do zjedzenia, był słoik pikli.

Bez trudu odkręciła pokrywkę.

Cam przeciągnął czubkiem języka po zębach i lekko pokiwał głową.

– Obluzowałem ją wcześniej.

Lilith zajrzała do słoika. W środku było pełno malutkich, wilgotnych, czarnych jajeczek.

– Ossetra – wyjaśnił. – Najlepszy kawior.

Lilith nie miała pojęcia, co zrobić z kawiozem. Skąd go wziął – zwłaszcza jeśli poprzednią noc przespał na ulicy? Cam otworzył torebkę krakersów i za pomocą jednego z nich wydobył ze słoika sporą porcję błyszczącej czarnej zawartości.

– Zamknij oczy i otwórz usta.

Nie chciała, ale głód był silniejszy.

Krakers był kruchy, a kawior miękki. Później uderzył ją słonawy smak jajeczek i z początku wydawało jej się, że jej nie odpowiada. Pozwoliła jednak, by przez chwilę pozostał na języku, a jej usta wypełniły bogate doznania, maślane, ale z ostrą nutą. Przełknęła i poczuła, że już jest uzależniona.

Kiedy otworzyła oczy, Cam uśmiechał się do niej.

– Czy to drogie? – spytała z poczuciem winy.

– Smakuje najlepiej, jeśli się go je powoli.

Kiedy jedli, zapadło między nimi milczenie. Była wdzięczna za jedzenie, ale przeszkadzało jej, że ten gość zachowuje się, jakby byli sobie bliżsi niż w rzeczywistości.

– Powinnaś wracać do domu. Mam szlaban.

– W takim wypadku powinnaś tu zostać najdłużej, jak się da.

Cam przechylił głowę i popatrzył na nią tak, jak na filmach faceci patrzyli na dziewczyny, które zamierzali pocałować. Pozostał tak przez chwilę, po czym wziął jej gitarę.

– Ej! – powiedziała Lilith, kiedy rozległ się pierwszy akord.

Gitara była jej najcenniejszą własnością. Nie dotykał jej nikt poza nią. Ale kiedy palce Cama muskały struny, a on zaczął nucić, patrzyła na niego urzeczona. Jego piosenka była piękna – i znajoma. Nie pamiętała, gdzie słyszała ją wcześniej.

– Ty to napisałeś?

Nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Może. – Przestał grać. – Potrzebuje kobiecego głosu.

– Jestem pewna, że Chloe King jest wolna.

– A skoro o tym mowa, co z tematem balu maturalnego? Bitwa Zespołów? – Odchylił głowę do tyłu. – Może być fajnie.

– Fajne to ostatnie określenie, jakiego bym użyła.

– Zgłoszę się, jeśli ty się zgłosisz.

Lilith wybuchła śmiechem.

– I to ma mnie skusić? Czy ktokolwiek ci powiedział, że jesteś odrobinę zarozumiała?

– Nie w ciągu ostatnich pięciu minut. Tylko o tym pomyśl. Mamy dwa tygodnie na stworzenie przyzwoitego zespołu. Mogłoby się nam udać. – Przerwał. – Tobie mogłoby się udać. A wiesz, co mówią o Zemście.

– Co? – spytała, oczekując w odpowiedzi czegoś, co znów ją rozzłości.

Wpatrzył się w przestrzeń, jakby na coś, co bardzo go zasmucało. Kiedy znów się odezwał, mówił cicho.

– Jest słodka.

CZTERY



CZEKANIE

CAM *CZTERNAŚCIE DNI*

Kiedy następnego ranka nad wzgórzami wzeszło słońce, Cam podniósł się z dachu sali gimnastycznej Trumbull, na którym przespał noc. Zesztywniał mu kark, potrzebował gorącego prysznica, by go rozluźnić. Rozejrzał się dookoła, upewnił się, że nikt go nie widzi, a wtedy poszybował w dół, aż znalazł się na wysokości okien pod sufitem sali. Znalazł jedno, które było otwarte, i wślizgnął się do środka.

W szatni chłopców panowała cisza. Cam zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się swojemu odbiciu w lustrze. Jego twarz wydawała się... starsza – rysy były bardziej kanciaste, oczy bardziej zapadnięte. Przez tysiąclecia wielokrotnie zmieniał wygląd, by wtopić się w otoczenie, pozwalał, by słońce nadało brązowy odcień bladej skórze, lub nabierał mięśni, ale zawsze to on sam wprowadzał te zmiany. Nie działały się samoczynnie. Nigdy wcześniej jego własne odbicie go nie zaskoczyło.

Co się działo?

To pytanie dręczyło go przez cały czas, kiedy brał prysznic, kradł czystą białą podkoszulkę z szafki jakiegoś dzieciaka, wkładał dzinsy i motocyklową kurtkę i wychodził na zewnątrz, by zaczekać na autobus Lilith.

W pobliżu pętli, gdzie zatrzymywały się autobusy, oparł się o osłoniętą taflę szkła tablicę informacyjną reklamującą różne zajęcia dodatkowe dostępne w szkole. O trzeciej spotykało się kółko języka niemieckiego. NAUCZ SIĘ, JAK PO NIEMIECKU ZAPROSIĆ DZIEWCZYNĘ NA BAL MATURALNY! – głosiła ulotka. Na innej

znajdował się harmonogram kwalifikacji do drużyny biegów przełajowych. **NABIERZ FORMY I WYGLĄDAJ ŚWIETNIE NA BALU MATURALNYM!** – obiecywała. Na samym środku wisiała błyszcząca ulotka reklamująca koncert zespołu Chloe King, Rzekome Zniewagi, który miał się odbyć w następnym tygodniu. Byli supportem dla miejscowej kapeli Nuda. **BĘDZIECIE MOGLI POWIEDZIEĆ, ŻE WIDZIELIŚCIE ICH, ZANIM WYGRALI BITWĘ ZESPOŁÓW NA BALU!**

Cam spędził w Crossroads zaledwie jeden dzień, a już dotarło do niego szkolne szaleństwo na punkcie balu maturalnego. Na balu był tylko raz, przed wieloma laty, z uroczą dziewczyną z Miami, która się w nim podkochiwała. Choć wyłączyli alarm przeciwpożarowy i spędzili większość wieczoru na dachu, oglądając spadające gwiazdy, zatańczyli też kilka szybkich tańców, a Cam dobrze się bawił. Oczywiście musiał odlecieć, zanim sprawy zaszły zbyt daleko.

Zastanawiał się, co Lilith myślała o balu, czy miała ochotę na niego pójść. Nagle uświadomił sobie, że musiałby ją poprosić, by mu towarzyszyła. Cała idea wydawała mu się uroczo staroświecka. Musiał nadać balowi wyjątkowy charakter. Nie mógł popełnić błędu.

W tej chwili czuł, że jeśli chodzi o zdobycie miłości Lilith, jest skazany na przegraną. Lucyfer miał rację, nienawidziła go. Ale dziewczyna, w której się zakochał, kryła się gdzieś pod tym całym cierpieniem. Musiał po prostu do niej dotrzeć.

Pisk hamulców wytrącił go z zamyślenia. Odwrócił się i patrzył, jak pod szkołę podjeżdża karawana żółtych autobusów. Uczniowie zaczęli wysiadać. Większość szła w stronę budynku dwójkami i trójkami.

Tylko Lilith była sama. Szła ze spuszczoną głową, rude włosy zakrywały jej twarz, a białe przewody słuchawek wisiały luźno. Pochyliła ramiona, przez co wyglądała na drobniejszą, niż była w rzeczywistości. Kiedy nie widział ognia w jej oczach, wydawała się taka przybita, że aż nie mógł tego znieść. Dogonił ją, kiedy wchodziła przez drzwi na główny korytarz szkoły.

Poklepał ją po ramieniu. Obróciła się.

– Hej – powiedział.

Nagle zaparło mu dech w piersi. Nie był przyzwyczajony, by przebywać tak blisko niej po tak długim czasie spędzonym tak daleko. Różniła się od dziewczyny, którą pokochał w Kanaanie, ale była równie cudowna. Kiedy założył się z Lucyferem, nie przewidział, jak trudno mu będzie powstrzymać się od dotykania jej tak jak kiedyś. Musiał hamować każdy impuls, by wyciągnąć do niej rękę, pogłaskać ją po policzku, wziąć w ramiona, całować i nie wypuszczać z objęć.

Lilith spojrzała na niego i wzdrygnęła się. Kiedy wyjmowała słuchawki z uszu, na jej twarzy pojawiło się obrzydzenie albo coś gorszego. W tym życiu nic jej nie zrobił, ale ona była zaprogramowana, by nim gardzić.

– Co? – spytała.

– Czego słuchasz?

– Niczego, co by ci się spodobało.

– Sprawdźmy.

– Nie, dziękuję. Mogę już sobie pójść, czy nadal masz ochotę prowadzić boleśnie niezręczną niezobowiązującą rozmowę?

Cam zauważył kolejną ulotkę koncertu Rzekomych Zniewag przyklejoną do pobliskiej szafki. Oderwał ją i podstawił Lilith pod nos.

– Grają w przyszłym tygodniu. Pójdziemy razem?

Spojrzała na ulotkę i pokręciła głową.

– Nie moja muzyka. Ale jeśli lubisz przesłodzony pop, baw się dobrze.

– Zniewagi to support. Słyszałem, że Nuda jest całkiem niezła – skłamał. – Myślę, że byłoby fajnie. – Zawahał się. – Myślę, że byłoby fajnie pójść tam z tobą.

Lilith zmrużyła oczy i poprawiła pasek plecaka na ramieniu.

– Na randkę?

– Dobrze mnie wyczułaś.

– Absolutnie cię nie czuję. – Zaczęła odchodzić. – Odpowiedź brzmi „nie”.

– Daj się namówić. – Cam ruszył za nią. Na korytarzu wokół szafek kłębili się uczniowie, przygotowujący się do rozpoczęcia dnia, wyjmujący książki, nakładający błyszczki i plotkujący o balu. – A gdybyśmy mogli wejść za scenę?

Cam wątpił, by na tym koncercie w ogóle coś się działo za sceną, ale pociągnąłby za wszystkie możliwe sznurki, byle tylko Lilith się zgodziła.

– Czy ktoś tu powiedział „za scenę”? – zapytał ktoś melodyjnym głosem. – Mam wejściówki za dowolną scenę, jaką tylko sobie wybieriecie.

Lilith i Cam zatrzymali się i odwrócili. Za nimi, pośrodku korytarza, stał chłopak o kasztanowej czuprynie i kanciastej, niemal przystojnej twarzy, na której malował się uśmiech. Miał na sobie powycierane džinsy, koszulkę w romby z dyskretnymi czaszkami pośrodku i cienki złoty łańcuszek na szyi. W dłoni trzymał tablet.

Lucyfera miało tu nie być. To nie była część ich zakładu.

– Kim jesteś? – spytała Lilith.

– Luc z King Media. Współpracujemy z Trumbull, by zorganizować najlepszy bal maturalny, jaki widziała ta szkoła. Jestem stażystą, ale mam nadzieję, że zatrudnią mnie na pełny etat...

– Nie idę na bal maturalny – powiedziała oschle Lilith. – Marnujesz czas.

– Ale interesujesz się muzyką, prawda?

– Skąd wiesz?

Luc się uśmiechnął.

– Po prostu tak wyglądasz. – Wystukał hasło na tablecie i wywołał elektroniczny formularz zapisu. – Ułatwiam uczniom zapisywanie się na Bitwę Zespołów. – Spojrzał na Cama. – Zapiszesz się, bracie?

– Nie sądzisz, że to niegodne nawet ciebie?

– Ach, Cam, jeśli będziesz odmawiał robienia rzeczy, które są ciębie niegodne, wiele na tym świecie nie osiągniesz.

Lilith wpatrzyła się w Cama.

– Znasz tego gościa?

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi – odparł Luc. – Ale gdzie moje maniery? – Wyciągnął rękę. – Miło cię poznać, Lilith.

– Znasz moje imię?

Lilith wpatrywała się w Luca z miną jednocześnie zaskoczoną i pełną obrzydzenia. Cam znał perwersyjny urok szatana. To on sprawiał,

że szeregi jego sług były pełne.

– A jak inaczej mogłabyś mieć na imię? Albo też... King Media starannie gromadzi informacje – dodał z uśmiechem, kiedy Lilith niezręcznie uściśnęła jego dłoń.

Cam stężał. To niesprawiedliwe. Miał dwa tygodnie, by skłonić Lilith, by go pokochała. I jeszcze tylko mu brakowało ingerencji Lucyfera.

– Co ty tu robisz? – zwrócił się do Lucyfera, nie kryjąc złości w głosie.

– Powiedzmy, że brakowało mi wyzwania. A później dostałem ten staż w King Media...

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

Luc uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Wszystkie pytania i wątpliwości związane z balem i Bitwą Zespołów przechodzą przeze mnie. Chcę, żeby uczniowie mnie poznali, postrzegali mnie jako przyjaciela, nie autorytet. Nim dojdzie do balu, wszyscy będziemy najlepszymi kumplami.

Radiowęzeł włączył się z trzaskiem, przez co na korytarzu zapanował jeszcze większy hałas.

– Dzień dobry, Bulls!

Luc wskazał palcem na sufit.

– Naprawdę powinniście wysłuchać tego ogłoszenia.

– O szóstej wieczorem w bufecie organizujemy otwarty mikrofon. Jest otwarty dla wszystkich, ale obowiązkowy dla uczniów z klasy poezji pana Davidsona.

Lilith jęknęła.

– Wolałabym raczej umrzeć niż przeczytać publicznie jakiś ponury wiersz – powiedziała żałośnie. – Ale zajęcia pana Davidsona to jedyne, które zaliczam... i to z trudem.

– Słyszałaś Tarkentona. Otwarty mikrofon. Nie musisz czytać wiersza, możesz go zaśpiewać. Dziś wieczorem moglibyśmy zorganizować pierwszy koncert Zemsty.

– My niczego nie zrobimy, bo my nie mamy zespołu.

Korytarz w większości opustoszał. Jeszcze minuta, a spóźnią się na lekcję. Ale Cam czuł się jak przyklejony do podłogi – był dość blisko, by

czuć zapach jej skóry, a z tęsknoty aż zakręciło mu się w głowie.

– Do diabła z godziną wychowawczą. Ucieknijmy i chodźmy poćwiczyć.

Dawno temu, w Kanaanie, muzyka połączyła Lilith i Cama – potrzebował, by tutaj, w Crossroads, znów zdarzył się cud. Gdyby tylko mogli zagrać razem, chemia między nimi zburzyłaby mur na dość długo, by znów mógł zdobyć serce Lilith. Wiedział, że tak by się stało. A jeśli musiał pójść na bal maturalny, żeby znów z nią zagrać, niech i tak się stanie.

– Jeśli o mnie chodzi, bardzo chciałbym usłyszeć, jak śpiewasz, Lilith – wtrącił Luc.

– Trzymaj się od tego z dala. Nie powinienes sobie iść? Zdeprawować paru pierwszaków albo co?

– Pewnie. Ale najpierw dopiszę Lilith do listy. – Znów podał jej tablet i czekał, aż wpisze swój adres mailowy. Później zamknął okładkę i ruszył w stronę drzwi. – Na razie, ofiarno – zawołał do Cama. – Lilith, odezwę się do ciebie.



Dzień mijał szybko. Za szybko.

Lilith ignorowała Cama na wychowawczej i poezji, a przez resztę dnia jej nie widział. W porze lunchu wyslizgnął się nad strumień z nadzieją, że znajdzie ją tam brzdąkającą na gitarze, ale jedynym, co usłyszał, było mało melodyjne ciurkanie strumienia.

Żadnych śladów Lilith.

Po dzwonku kręcił się wokół sali prób z nadzieją, że może wróci tam po lekcjach.

Nie zrobiła tego.

Kiedy słońce zaczęło opadać ku zachodowi, ruszył w stronę otwartego mikrofonu. Przeszedł przez ponury kampus w stronę bufetu, krztusząc się dymem. Płonące wzgórza – ledwie zamaskowane ognie Piekła Lilith – otaczały całe Crossroads, ale nikt się tym nie przejmował. Cam widział tego ranka wóz strażacki jadący w stronę pożaru i zauważył puste twarze strażaków. Pewnie spędzali cały dzień, polewając wodą te tłące się drzewa, i wcale się nie przejmowali, że ogień nigdy nie dogasał.

Wszyscy w tym mieście byli pionkami Lucyfera. Nic w Crossroads nie mogło się zmienić, o ile szatan nie zapragnął zmiany.

Cam miał nadzieję, że nie dotyczy to Lilith.

Kiedy dotarł do bufetu, przytrzymał drzwi parze trzymającej się za rękę. Chłopak szepnął coś dziewczynie do ucha, a ona zaśmiała się i pocałowała go. Cam odwrócił wzrok, czując ukłucie w piersi. Wcisnął rękę do kieszeni kurtki i wszedł do środka.

Nikt nie podjął większego wysiłku, by zmienić monotony wystrój bufetu. Na jednym końcu ustawiono prowizoryczną scenę, za którą między dwoma słupami rozwieszono poszarpane czarne kotary. Na środku sceny stał pan Davidson z mikrofonem w ręce.

– Witajcie – powiedział, poprawiając okulary. Na oko był po trzydziestce, miał gęstą ciemnobrązową czuprynę, a jego chuda sylwetka wręcz emanowała nerwowością. – Nie ma nic bardziej ekscytującego niż odkrywanie nowych, ważnych dzieł sztuki. Nie mogę się doczekać, aż wszyscy podzielicie się swoją twórczością z pozostałymi. – Przy akompaniamencie jęków i narzekań widowni dodał: – A poza tym musicie dziś wystąpić albo dostaniecie zero. Dlatego bez większych ceregieli, przywitajcie oklaskami naszą pierwszą wykonawczynię, Sabrinę Burke!

Kiedy widownia zaklaskała słabo, Cam zajął wolne miejsce obok Jeana Raha, który przybił z nim piątkę. Cam od razu polubił Jeana – gość był pełen złości, zabawny, choć w głębi duszy życzliwy. Zastanawiał się, co Jean zrobił, by trafić do królestwa Lucyfera. Niektórzy najbardziej interesujący śmiertelnicy – i aniołowie – mieli talent do wnerwiania Tronu.

Na scenie Sabrina sięgnęła drżącymi rękami po mikrofon.

– Dziękuję – szepnęła i rozłożyła kartkę z napisanym odręcznie wierszem. – Ten wiersz ma tytuł „Małżeństwo”. Dziękuję panu, panie Davidson, za pomoc. Jest pan najlepszym z nauczycieli.

Odchrząknęła i zaczęła czytać:

*Ślub to prehistoryczny rytuał dla dwojga ludzi
mężczyzny i kobiety...*

TAK W KAŻDYM RAZIE MÓWIĄ!

Podniosła wzrok znad kartki.

*NIE ODBIERZECIE MI WOLNOŚCI!
WOLNA? GŁUPIA!*

Jestem kobietą, patrzcie, jak się wznoszę!

Spuściła wzrok.

– Dziękuję.

Reszta uczniów zaklaskała.

– To takie odważne – powiedziała dziewczyna siedząca obok Cama. – Takie prawdziwe.

Cam rozglądał się po widowni, aż zobaczył Lilith. Siedziała w trzecim rzędzie i obgryzała paznokcie. Wiedział, że wyobraża sobie, jak stoi na scenie, samotna. Lilith, którą pamiętał, była urodzoną artystką, kiedy już przemogła treść związaną z wejściem na scenę.

Ale ta Lilith była inna.

Teraz widownia powitała oklaskami ogromnego czarnoskórego chłopaka, który z dużą pewnością siebie wyszedł na scenę. Nawet nie poprawił mikrofonu, który był dla niego umieszczony stanowczo zbyt nisko. Po prostu otworzył laptopa i wyświetlił obraz.

– To swego rodzaju haiku – powiedział.

Niektóre ptaki nigdy nie lądują.

Muszą załatwiać wszystkie swoje sprawy

Pośród chmur.

Gromadka dziewcząt w tylnym rzędzie pokrzykiwała i wiwatowała, wołając do chłopaka:

– Jesteś świetny, James!

Pomachał do nich, jakby spotykał się z taką reakcją, kiedy kupował sobie picie albo wysiadał z samochodu, i zszedł ze sceny.

Po krótkim monodramie i trzech kolejnych poetach pan Davidson znów wszedł na scenę.

– Dobra robota. Kto następny? Lilith.

W bufecie rozległo się kilka gwizdów, pan Davidson usiłował je uciszyć. Lilith zajęła miejsce na scenie. Reflektor sprawiał, że jej włosy wydawały się bardziej jaskrawe, a twarz bledsza, kiedy z czarnym dziennikiem pod pachą weszła na scenę, gotowa odczytać swój wiersz. Odchrząknęła. Rozległ się odgłos sprzężenia.

Kilku uczniów zasłoniło uszy. Jeden krzyknął:

– Złaż ze sceny! Jesteś do niczego!

– Przestańcie! – zawołał pan Davidson. – To nieładne.

– Yyy... – Lilith próbowała poprawić mikrofon, ale nagrodziło ją jedynie kolejne sprzężenie.

Cam zerwał się ze swojego miejsca i wbiegł na scenę.

Lilith spiorunowała go wzrokiem.

– Co ty wyprawiasz? – spytała szeptem.

– To.

Zwinnym ruchem ręki poprawił mikrofon tak, że znajdował się w idealnej odległości od ust Lilith. Teraz nie musiała się już kulić. Mogła mówić swoim cichym, naturalnym głosem, a i tak usłyszą ją wszyscy na sali.

– Zejdź ze sceny. – Osłoniła mikrofon dłonią. – Wstyd mi przez ciebie. – Zwróciła się do widowni. – Yyy, jestem Lilith i...

– I jesteś do dupy! – krzyknęła dziewczyna z tyłu.

Lilith westchnęła i przerzuciła kartki notatnika. Cam widział wyraźnie, jak bardzo inni uczniowie jej nie znosili i jak koszmarne się czuła z tego powodu. Nie chciał być kolejną przyczyną jej złego samopoczucia.

Zaczął schodzić ze sceny, kiedy wyraz jej oczu zmusił go do zatrzymania się.

– O co chodzi?

– Nie uda mi się – powiedziała bardzo cicho.

Cam znów podszedł bliżej, ale zatrzymał się, zanim instynkt wziął nad nim górę i objął ją.

– Poradzisz sobie.

– Wolę dostać zero. – Cofnęła się od mikrofonu, wciąż ściskając notatnik. – Nie potrafię nic przeczytać przed wszystkimi tymi ludźmi, którzy mnie nienawidzą.

– To nie rób tego.

Pod krzesłem na widowni, na którym siedziała wcześniej Lilith, Cam zauważył futerał. Całe szczęście dziś nie ukryła go nad strumieniem.

– Że co?

– Lilith – zawołał pan Davidson z tyłu – jakiś problem?

– Tak – odpowiedziała.

– Nie – odezwał się w tej samej chwili Cam.

Zeskoczył ze sceny, otworzył srebrne zatrzaski futerału i wziął piękny, popękany instrument na ręce. Usłyszał parsknięcia w tłumie i zobaczył błysk flesza, gdy ktoś fotografował Lilith stojącą na scenie i sparaliżowaną tremą.

Zignorował ich wszystkich. Włożył gitarę w ręce Lilith i ostrożnie przełożył pasek przez jej ramię, pilnując, by nie zaczepić o długie rude włosy dziewczyny. Zabrał jej dziennik – był ciepły w miejscach, w których dotykały go jego dłonie.

– To katastrofa.

– Większość wspaniałych rzeczy zaczyna się w taki sposób – odpowiedział tak cicho, by tylko ona mogła go usłyszeć. – A teraz zamknij oczy. Wyobraź sobie, że jesteś sama. Wyobraź sobie, że zachodzi słońce, a ty masz przed sobą całą noc.

– Znajdźcie sobie jakiś ką! – krzyknął ktoś. – Oboje jesteście do niczego!

– To się nie uda – powiedziała Lilith, ale Cam zauważył, że jej palce uniosły się nad struny.

Gitara była jak tarcza między nią a widownią. Czuła się już o wiele swobodniej niż jeszcze przed chwilą.

Dlatego Cam mówił dalej.

– Wyobraź sobie, że właśnie wymyśliłaś tę nową piosenkę i jesteś z niej dumna...

Lilith chciała mu przerwać.

– Ale...

– Pozwól sobie na dumę. Nie dlatego, że twoim zdaniem jest lepsza niż wszystkie inne piosenki, ale ponieważ doskonale wyraża to, jak właśnie się czujesz i co jest dla ciebie ważne.

Lilith zamknęła oczy. Nachyliła się nad mikrofonem. Cam wstrzymał oddech.

– Bu! – krzyknął ktoś.

Lilith gwałtownie otworzyła oczy. Jej twarz pobladła.

Cam zauważył Luca pośrodku widowni, z dłońmi uniesionymi do ust, szydzącego z Lilith. Nigdy wcześniej nie uderzył szatana, ale nie

przerażała go myśl, że tego wieczoru może się to zmienić. Spojrzał chłodno na widownię, uniósł obie ręce i pokazał wszystkim środkowy palec.

– Wystarczy, Cam – powiedział pan Davidson. – Proszę, zejść ze sceny.

Odgłos bardzo cichego śmiechu sprawił, że Cam odwrócił się do Lilith. Patrzyła na niego i chichotała, a na jej twarzy malował się ślad uśmiechu.

– Pokazujesz im, kto tu rządzi?

Pokręcił głową.

– Zagraj na gitarze i sama im to pokaż.

Lilith nie odpowiedziała, ale zmiana wyrazu jej twarzy świadczyła, że wybrał właściwe słowa. Znowu pochyliła się nad mikrofonem, mówiła cicho i wyraźnie.

– Nazywa się „Wygnanie”.

Gdzie miłość wiedzie mnie, prowadzę

Rymy moje, rymy moje,

Co myśli śledzą udręczone

Myśli moje, myśli moje.

Cóż jest ostatnim, cóż jest pierwszym?

Czy mam utonąć w tym pragnieniu?

Piosenka wypływała z jej ust, jakby narodziła się, by ją zaśpiewać. Stojąc przy mikrofonie z zamkniętymi oczami, Lilith nie wydawała się tak ogarnięta gniewem. Widział ślad dziewczyny, którą kiedyś była, w której kiedyś się zakochał.

Dziewczyny, którą wciąż kochał.

Kiedy skończyła, Cam drżał. Jej piosenka była wersją tej, którą nucił, kiedy opuścił Troję. Wciąż ją znała. Jakieś ślady ich miłości wciąż w niej pozostały. Na to właśnie liczył.

Lilith uniosła palce znad strun gitary. Widownia milczała. Lilith czekała na oklaski, w oczach miała nadzieję.

Ale dostała tylko śmiech.

– Twoje piosenki są jeszcze gorsze niż ty! – ryknął ktoś, rzucając

w stronę sceny pustą butelką.

Uderzyła Lilith w kolana, a nadzieja w oczach dziewczyny zgasła.

– Przestańcie! – Pan Davidson wrócił na scenę. Odwrócił się do Lilith. – Dobra robota.

Lilith zbiegła ze sceny i wypadła z bufetu. Cam pobiegł za nią, ale ona była zbyt szybka, a na zewnątrz było zbyt ciemno i nie widział, w którą stronę się skierowała. Znała to miejsce lepiej od niego.

Drzwi zamknęły się za nim, uciszając głos kolejnego ucznia czytającego poezję. Cam westchnął i oparł się o otynkowaną ścianę. Myślał o Danielu, który przeżył tak wiele ponurych chwil, kiedy tęsknota za Luce go pochłaniała i kazała mu marzyć o śmierci i ucieczce przed klątwą, a jego jedyną nagrodą było jedno muśnięcie jej dłoni w następnym życiu, zanim znów odeszła.

„Czy warto?” – pytał często przyjaciela.

Teraz Cam zrozumiał niezmienną odpowiedź Daniela.

„Oczywiście, że tak” – odpowiadał. „To jedyne, co nadaje wartość mojemu istnieniu”.

– Błąd początkującego.

Cam odwrócił się i zobaczył Luca wyłaniającego się spośród cieni.

– Co? – mruknął Cam.

– Zbytnią pewność siebie pierwszego dnia – warknął Lucyfer. – Zostały nam jeszcze dwa tygodnie razem, a ty możesz przegrać na tak wiele różnych sposobów.

Cam wcale nie czuł się pewny siebie. Gdyby szatan wygrał, nie tylko Cam by przegrał.

– Daj z siebie wszystko – powiedział Lucyferowi przez zaciśnięte zęby. – Jestem gotów.

– Jeszcze zobaczymy, jaki jesteś gotów.

Lucyfer prychnął i zniknął, pozostawiając Cama samego.

INTERLUDIUM



ISKRY

PLEMIĘ DANITÓW, PÓŁNOCNY KANAAN *OKOŁO 1000 R. P.N.E.*

Jasnowłosy chłopak zanurkował w Jordanie w blasku księżyca. Miał na imię Dani, a choć spędził w wiosce zaledwie miesiąc, o jego urodzie opowiadano w całej okolicy aż po Beer-Szebę.

Z brzegu rzeki przyglądała mu się ciemnowłosa dziewczyna, bawiła się naszyjnikiem. Następnego dnia miała skończyć siedemnaście lat.

Cam z kolei przyglądał się jej – z ukrycia. Wydawała się piękniejsza, od kiedy zakochała się w nocnym pływaku. Cam, rzecz jasna, znał los dziewczyny, ale nic nie mogło powstrzymać jej przed miłością do Daniego. Jej miłość, jak myślał Cam, była czysta.

– On jest jak religia – powiedział ktoś cicho za jego plecami.

Odwrócił się i ujrzał oszałamiającą rudowłosą dziewczynę.

– Ona go wyznaje.

Cam zrobił krok w stronę dziewczyny na brzegu. Nigdy nie widział takiej śmiertelniczki. Jej długie do pasa rude włosy błyszczały jak granaty. Dorównywała mu wzrostem i była pełna wdzięku nawet kiedy stała bez ruchu. Na smukłych ramionach i gładkich policzkach miała piegi. Zadziwiła go bliskość w jej niebieskich oczach, jakby oboje już byli współnikami w jakiejś zachwycającej psocie. Kiedy się uśmiechnęła, niewielka szpara między jej przednimi zębami sprawiła, że przeszedł go dreszcz, jakiego nigdy nie zaznał.

– Znasz ich? – spytał.

Ta cudowna dziewczyna rozmawiała z nim tylko dlatego, że

przyłapała go na obserwowaniu Daniela i Lucindy. Jej śmiech był czysty jak deszczówka.

– Liat znam od dziecka. A Daniego znają wszyscy, choć dotarł do naszego plemienia zaledwie pod koniec ostatniego księżyca. Jest w nim coś niezapomnianego, nie sądzisz?

– Być może. Jeśli podoba ci się ten typ.

Dziewczyna wpatrywała się w niego.

– Czy przybyłeś tu na tej ogromnej gwieździe, która wczorajszej nocy spadła z nieba? Siedziałam z siostrami przy ognisku i wszystkim nam się wydawało, że gwiazda ma zadziwiający kształt mężczyzny.

Cam wiedział, że dziewczyna się z nim droczy, flirtuje, ale był pod wrażeniem, że dobrze zgadła. Skrzydła przyniosły go tu poprzedniej nocy – gonił za ogonem spadającej gwiazdy.

– Jak masz na imię?

– Przyjaciele mówią mi Lilith.

– A jak nazywają cię wrogowie?

– Lilith – warknęła, odsłaniając zęby.

I roześmiała się.

Kiedy Cam również się roześmiał, pod nimi Liat odwróciła się gwałtownie.

– Kto tam jest?! – zawołała z brzegu w mrok.

Lilith wyciągnęła rękę do Cama.

– Chodźmy stąd.

Ta dziewczyna była zadziwiająca. Gwałtowna, pełna życia. Wziął jej rękę i pozwolił, by go poprowadziła, obawiając się nieco, że będzie tak robił przez wieczność, podążał za nią, dokądkolwiek się uda.

Lilith poprowadziła go wzdłuż wijącej się rzeki, aż dotarli do zakola porośniętego kosaćcami, po czym sięgnęła w głąb pnia olbrzymiego szarańczynu i wyciągnęła lirę. Usiadła pośród kwiatów i nastroiła instrument na słuch, tak zręcznie, że wyraźnie musiała robić to codziennie.

– Zagrasz dla mnie?

Pokiwała głową.

– Jeśli mnie posłuchasz.

I zaczęła grać kolejne nuty, które splatały się ze sobą jak

kochankowie, wiły się jak zakola rzeki. Cudownym sposobem jej wspaniała, nucona melodia przybrała kształt słów.

Śpiewała smutną piosenkę miłosną, która sprawiła, że wszystko zniknęło z jego umysłu.

Otulony jej pieśnią przestał się przejmować Lucyferem i Tronem, Danielem i Lucindą. Istniała tylko oszałamiająca, unosząca się w powietrzu pieśń Lilith.

Czy skomponowała ją tutaj, nad rzeką wśród kosaćców? Co przyszło do niej jako pierwsze, melodia czy tekst? Kto był inspiracją?

– Ktoś złamał ci serce? – spytał, próbując ukryć zazdrość.

Wziął lirę z jej rąk, ale jego palce były niezgrabne. Nie umiał zagrać niczego, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało piękną muzykę, która wypływała spod palców Lilith.

Nachyliła się do Cama i opuściła powieki, spoglądając na jego wargi.

– Jeszcze nie. – Sięgnęła po instrument i zagrała melodyjny akord.

– Nikt też jeszcze nie złamał mojej liry, ale ostrożności nigdy dosyć.

– Nauczysz mnie grać?

Pragnął spędzić więcej czasu z Lilith – dziwne uczucie, jak na niego. Pragnął siedzieć blisko i patrzeć, jak promienie słońca migoczą w jej włosach, zapamiętać wdzięczne ruchy jej palców, kiedy ze strun i drewna wydobywała piękno. Pragnął, by patrzyła na niego tak, jak Liat patrzyła na Daniego. I pragnął całować te wargi każdego dnia, przez cały czas.

– Coś mi mówi, że już umiesz grać. Spotkaj się tu ze mną jutro wieczorem. – Spojrzała na niego. – Kiedy księżyc znajdzie się na tym samym miejscu, ty znajdź się na tym samym miejscu.

Później zaśmiała się, schowała lirę w pniu drzewa i odbiegła, pozostawiając ciemnowłosego, zielonookiego anioła, który po raz pierwszy szaleńczo się zakochał.

PIĘĆ



NAZNACZONA

LILITH
TRZYNAŚCIE DNI

Lilith nie spodziewała się, że jej świat się zmieni po występie przy otwartym mikrofonie. I tak się też nie stało. Nie w rzeczywistości.

Życie wciąż było do niczego.

– Lilith?! – wrzasnęła matka, zanim jej budzik zdążył zadzwonić. – Gdzie jest mój nagietkowy kardigan z cętkowanymi łatami na łokciach?

Lilith jęknęła i ukryła głowę pod poduszką.

– Policja modowa zajrzała wczoraj, żeby go zgarnąć – mruknęła pod nosem. – Był niebezpieczny dla otoczenia.

Trzy ciche stuknięcia w drzwi sprawiły, że Lilith podniosła głowę. Tak pukał jej brat.

– Cześć, Bruce – powiedziała do rozczochranego chłopca pogryzającego nierozmrożonego gofra.

– Mama myśli, że ukradłaś jej najmodniejszy żółty sweter z przeceny. Zaczęła wpadać w szała jak Niesamowity Hulk.

– Naprawdę myśli, że w „nagietkowym” nie spaliłabym się ze wstydu? – spytała Lilith, a Bruce się roześmiał. – Jak się czujesz, dzieciaku?

Bruce wzruszył ramionami.

– W porządku.

Ludzie często nazywali młodszego brata Lilith kruchym, ponieważ był bardzo chudy i blady. Ale Bruce był najpotężniejszą siłą w życiu Lilith. Wbrew wszystkiemu miał nadzieję. Dobrze się czuła, po prostu siedząc z nim na kanapie. Umiał ją rozśmieszyć. Żałowała, że nie miał

lepszego życia.

Usiadła na łóżku.

– Tylko w porządku?

Bruce ponownie wzruszył ramionami.

– Nie świetnie. Dziś znów mam niski poziom tlenu, więc muszę zostać w domu. – Westchnął. – Ty to masz szczęście.

Lilith zaśmiała się z goryczą.

– Mam szczęście?

– Codziennie możesz chodzić do szkoły i spotykać się z przyjaciółmi.

Bruce był tak szczery, że Lilith nawet nie próbowała opisywać ze szczegółami wszystkich sposobów, na jakie cała szkoła ją nienawidziła.

– Moim jedynym przyjacielem jest Alastor – dodał Bruce, a pies na dźwięk swojego imienia wbiegł do pokoju Lilith. – A on tylko robi kupę na dywan.

– O nie, nie ma mowy.

Lilith podniosła kundelka zanim zabrudził stertę prania, którego jeszcze nie złożyła. W środku była jej jedyna para czystych dżinsów. W drodze do łazienki dotknęła ramienia brata.

– Może jutro będziesz miał wyższy poziom tlenu. Zawsze jest nadzieja.

Kiedy weszła pod prysznic – znów mieli wodę, ale od czasu, kiedy była wyłączona, śmierdziała rdzą – zaczęła myśleć o tym, co powiedziała Bruce'owi. Od kiedy to wierzyła, że zawsze była nadzieja i jutro może być lepsze?

Musiała to powiedzieć, bo próbowała go pocieszyć. Braciszek sprawiał, że ukazywała łagodniejszą stronę swojej osobowości, o której nie wiedział nikt inny. Bruce miał takie dobre serce i tak rzadko wychodził z domu, że tylko Lilith i matka czuły jego ciepło. Sprawiał, że Lilith nie potrafiła w jego obecności uzalać się nad sobą.

Ubrała się, zamknęła drzwi i zanuciła piosenkę, którą śpiewała poprzedniego wieczoru. I wtedy przypomniała sobie tęsknotę, jaką widziała w oczach Cama, kiedy podał jej gitarę. Jakby była dla niego ważna. Jakby jej potrzebował – albo potrzebował czegoś od niej.

Skrzywiła się. Czegokolwiek pragnął od niej Cam, nie zamierzała

mu tego dać.



– Z drogi, pozerko.

Jakiś muskularny futbolista z kwadratową szczęką popchnął Lilith bokiem na rząd podniszczonych szafek. Nikt nawet nie zamrugał.

– Auć.

Lilith rozmasowała ramię.

Jarzeniówka nad jej głową buczała i migiała. Lilith uklękła na brudnozielonych płytkach, żeby wprowadzić kod i wyjąć książki. Kilka szafek dalej Chloe King pokazywała swojemu najnowszemu chłopakowi i dużej gromadce przyjaciół nowy tatuaż w kształcie anielskiego skrzydła na prawym ramieniu.

Kiedy Chloe zauważyła Lilith, na jej twarzy pojawił się szeroki, podejrzany uśmiech.

– Doskonały występ, Lil! – zanuciła.

Chloe nie mogła być miła. Lilith wiedziała, że powinna się oddalić, zanim zrobi się paskudnie.

– Dzięki.

Lilith pośpiesznie otworzyła szafkę.

– Mój Boże, myślałaś, że mówiłam poważnie? To był żart. Jak twój występ.

Chloe wybuchnęła śmiechem, a cała jej paczka wkrótce jej zawtórowała.

– I... kolejny koszmarny dzień – mruknęła Lilith, znów odwracając się do szafki.

– Nie musi taki być.

Lilith podniosła wzrok.

Nad nią stał Luc, stażysta, którego poznała poprzedniego dnia. Opierał się o szafki i bawił dziwną złocistą monetą, podrzucał ją i łapał.

– Słyszałem, że zawsze spóźniasz się do szkoły.

Lilith nie sądziła, by jej nagminne spóźnienia były dobrym materiałem na plotki. Poza Tarkentonem, paroma nauczycielami, Jeanem, a teraz Camem, nikt inny w Trumbull nie zwracał uwagi na Lilith.

– Jeśli spodziewałeś się, że się spóźnię, dlaczego czekasz na mnie przed dzwonkiem?

– Przecież właśnie tak się robi w szkole średniej, prawda? – Luc rozejrzał się po korytarzu. – Czekam przy szafce koleżanki z nadzieją, że zostanie się zaproszonym na bal maturalny?

– Nie jesteś moim kolegą. I mam nadzieję, że nie próbujesz mnie skłonić do zaproszenia cię na bal maturalny. Bo będziesz długo czekał.

Lilith otworzyła szafkę i wrzuciła do środka kilka książek. Luc oparł łokcie na otwartych drzwiach i patrzył na nią z góry. Spiorunowała go wzrokiem, czekając, aż się przesunie, żeby mogła zamknąć szafkę.

– Słyszałaś kiedyś o Czterech Jeźdźcach?

– Wszyscy o nich słyszeli. – Chloe King porzuciła swoich wielbicieli i zwróciła się do Luca. Włosy splotła w niezliczone cieniutkie warkoczyki, a srebrna kredka do oczu podkreślała jej idealną ciemną skórę. Spojrzała z góry na Lilith. – Nawet takie śmieci jak ona.

– A od kiedy to ty słuchasz Czterech Jeźdźców? – spytała Lilith.

Czterej Jeźdźcy śpiewali niepokojące i głębokie teksty. Ich rockowe ballady były mądre i smutne, a każdy kolejny album różnił się od poprzedniego, więc prawdziwi fani dostrzegali ewolucję ich stylu. Wokalista, Ike Ligon, pisał piosenki, które sprawiły, że Lilith zapragnęła zostać muzykiem. Niemożliwe, by dziewczyna taka jak Chloe mogła zrozumieć ból, który wyrażali w swojej muzyce.

– Budzenie jej nadziei jest okrutne – powiedziała Chloe do Luca i zaczęła nucić refren najnowszego singla zespołu, „Kolejność wydarzeń”.

Lilith zamknęła szafkę i wstała.

– Budzenie mojej nadziei na co?

– Gdybyś tak często nie uciekała ze szkoły – Luc zwrócił się do Lilith – mogłabyś usłyszeć wieści.

– Jakie wieści?

– Czterej Jeźdźcy będą ostatnim zespołem na balu maturalnym – powiedziała Chloe.

Z tyłu jej trzy przyjaciółki zapiszczały. Jedna z nich nosiła na ramieniu miękki futerał na gitarę i Lilith uświadomiła sobie, że te dziewczyny są pewnie w zespole Chloe.

Lilith czuła pulsowanie krwi w uszach.

– Niemożliwe.

– Wytatuuję sobie tutaj imię Ike’a. – Chloe odwróciła się znów do swojego chłopaka i jego kumpli i rozpięła guzik na dekolcie, żeby pokazać miejsce przyszłego tatuażu. – Tuż nad sercem. Widzicie?

Chłopcy bez wątpienia zobaczyli.

– Czterej Jeźdźcy przyjeżdżają do Crossroads? – dopytywała się Lilith. – Dlaczego?

Chloe wzruszyła ramionami, jakby nie umiała sobie wyobrazić, dlaczego wspaniały zespół nie miałby odwiedzić ich żalosego miasteczka.

– Pomogą Tarkentonowi oceniać Bitwę Zespołów.

– Zaraz, zaraz. Chcecie powiedzieć, że Czterej Jeźdźcy będą oglądać występy szkolnych zespołów? Na balu?

Luc pokiwał głową, jakby rozumiał, jak bardzo ta wiadomość zmieniała świat niektórych osób.

– Sam podrzuciłem ten pomysł Ike’owi.

– Znasz Ike’a Ligona? – Lilith zamruwała.

– Wczoraj wieczorem wymienialiśmy SMS-y. Mam nadzieję, że to nie jest dla ciebie zawstydzające, ale po twoim wczorajszym występie na otwartym mikrofonie pomyślałem, że cudownie by było, gdyby Czterej Jeźdźcy zagrali utwór napisany przez ucznia Trumbull.

Luc był tam poprzedniego wieczoru? Lilith miała zamiar zapytać dlaczego, ale udało jej się wykrztusić jedynie:

– O rany.

W końcu to do niej dotarło. Czterej Jeźdźcy przyjeżdżają do Crossroads. Do Trumbull. Nigdy wcześniej nie była tak bliska tego, by w miejscu publicznym zacząć pisać.

– Ike’owi bardzo się spodobał ten pomysł – stwierdził Luc. – Od dzisiaj przyjmujemy teksty, a nawet MP3 z materiałami napisanymi przez uczniów, a Ike zaśpiewa zwycięską piosenkę na zakończenie balu.

– Tato sądzi, że to sposób, żeby bal był bardziej dla wszystkich – dodała Chloe. – Oczywiście, pomijając dziwadła takie jak ty.

Ale Lilith właściwie nie słuchała Chloe.

Oczyma duszy widziała zmęczoną twarz Ike’a Ligona rozjaśniającą

się na widok jej tekstów. Przez ułamek sekundy wyobrażała sobie nawet spotkanie z nim, a wkrótce fantazja przeniosła ją do prawdziwego studia nagraniowego, w którym Ike produkował jej pierwszy album.

Chloe zmrużyła oczy.

– Przepraszam. Czy ty może wyobrażasz sobie, że to jedna z twoich piosenek zostanie wybrana?

Chloe odwróciła się do przyjaciółek i zaśmiała.

Lilith poczuła, że się rumieni.

– Ja nie...

– Nawet nie masz zespołu. A mój ma już trzy single, którymi Ike na pewno się zachwyci. – Chloe zatrzasnęła drzwi szafki. – To będzie cudowne, zostać królową balu, wygrać bitwę i usłyszeć jedną z moich piosenek w wykonaniu Czterech Jeźdźców.

– Chciałaś chyba powiedzieć jedną z naszych piosenek? – spytała dziewczyna z gitarą.

– Jasne. – Chloe prychnęła. – Nieważne. Chodźmy.

Pstryknęła palcami i ruszyła korytarzem, a przyjaciółki deptały jej po piętach.

– Ona nie wygra – szepnął Luc do ucha Lilith, kiedy Chloe odeszła.

– Ona zawsze wygrywa – mruknęła Lilith, zrzucając plecak na ramię.

– Nie to. – Coś w głosie Luca sprawiło, że Lilith zatrzymała się i odwróciła. – Masz prawdziwą szansę na zwycięstwo, tylko... Nieważne.

– Co?

Luc zmarszczył czoło.

– Cam. – Spojrzał na innych uczniów mijających ich w drodze na zajęcia. – Wiem, że wczoraj cię naciskał, żebyś założyła z nim zespół. Nie rób tego.

– Nie zamierzałam. Ale co cię to obchodzi?

– Nie znasz Cama tak dobrze jak ja.

– Nie. Ale nie muszę go znać, żeby wiedzieć, że go nienawidzę.

Dopiero wypowiedzenie tych słów na głos sprawiło, że uświadomiła sobie, jak dziwnie to brzmiało. Naprawdę nienawidziła

Cama, a nawet nie wiedziała dlaczego. Niczego jej nie zrobił, a jednak sama myśl o nim sprawiała, że Lilith sztywniała i miała ochotę coś zniszczyć.

– Nie mów nikomu, że ci to powiedziałem – Luc nachylił się do niej – ale jakiś czas temu Cam był w zespole z taką lasią na wokalu...

– Lasią na wokalu?

Lilith zmrużyła oczy. Faceci byli żałośni.

– To znaczy z wokalistką. – Luc przewrócił oczami. – Ona pisała wszystkie piosenki. I była w nim zakochana.

Lilith nie była zainteresowana Camem, ale wcale nie dziwiło jej, że podobał się innym dziewczynom. Rozumiała to – Cam był seksowny i pociągający, ale nie w jej typie. Kiedy zaczynał zalewać ją swoim urokiem, gardziła nim jeszcze bardziej.

– A kogo to obchodzi?

– Ciebie powinno. Szczególnie, jeśli zamierzasz się z nim spiknąć... to znaczy muzycznie.

– Nie zamierzam się spiknąć z Camem w żadnym tego słowa znaczeniu. Chcę, żeby zostawił mnie w spokoju.

– Dobrze. – Luc uśmiechnął się tajemniczo. – Bo Cam jest... jak by to ująć? Niestaly w uczuciach.

Lilith zrobiło się niedobrze.

– I co z tego?

– I pewnego dnia, choć wydawało się, że wszystko idzie dobrze... a w każdym razie tak myślała ta dziewczyna... Cam po prostu zniknął. Przez wiele miesięcy nikt nie miał od niego wieści. Ale w końcu o nim usłyszeliśmy. Pamiętasz tę piosenkę, „Śmierć gwiazd”?

– Tę, którą nagrała Dymorfia? – Lilith skinęła głową. Słyszała tylko ten jeden singiel, ale bardzo jej się podobał. – Poprzedniego lata ciągle puszczali ją w radio.

– To przez Cama. – Luc zmarszczył czoło. – Ukradł tekst tej dziewczyny, stwierdził, że jest jego, i sprzedał piosenkę wytwórni Lowercase Records.

– Dlaczego miałby to zrobić?

Wróciła myślami do tamtej chwili poprzedniego dnia, kiedy łagodnie wyrwał ją z tremy i skłonił do zaśpiewania. Nie cierpiała go,

a jednak... to była najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek dla niej zrobił.

Zadzwoił dzwonek i tłumy na korytarzu rozproszyły się, kiedy uczniowie zaczęli rozchodzić się na lekcje. Ponad ramieniem Luca Lilith zobaczyła Tarkentona rozglądającego się w poszukiwaniu spóźnialskich.

– Muszę iść – powiedziała.

– Mówię tylko – Luc zaczął odchodzić – że twoje piosenki są dobre. Zbyt dobre, by pozwolić Camowi na kolejny atak.



Lilith szła w stronę sali, w której miała godzinę wychowawczą, a w jej głowie kłębiły się myśli. Jak mogła marnować czas na lekcjach, kiedy czekał konkurs na najlepszą piosenkę, którą miał wybrać Ike Ligon? Nie obchodziło jej nawet, że wszystko wydarzy się na balu maturalnym. Mogłaby przyjść tylko na Bitwę Zespołów. Nie potrzebowała partnera ani sukienki. Wystarczy, że znajdzie się w tym samym pomieszczeniu co Ike Ligon.

Powinna teraz ćwiczyć. Powinna pisać kolejne piosenki.

Zanim się zorientowała, stopy poprowadziły ją do sali prób.

Cam siedział na podłodze i stroił smukłą zieloną elektryczną gitarę, na której grał poprzedniego dnia. Jean Rah wystukiwał rytm pałeczkami na swoich dzinsach. Co oni tu robili?

– Właśnie o tobie rozmawialiśmy – powiedział Jean.

– Nie powinno was tu być – stwierdziła Lilith.

– I ciebie też nie.

Cam posłał jej kolejne irytujące mrugnięcie.

– Masz jakiś tik? Drgający mięsień w oku?

Cam wydawał się zaskoczony.

– To się nazywa mrugnięcie, Lilith. Niektórzy ludzie uważają je za czarujące.

– Inni ludzie sądzą, że wyglądasz z nim jak zbok.

Przyjrzał jej się uważnie, a ona czekała na kolejny złośliwy komentarz, Cam jednak powiedział tylko:

– Przepraszam. To się nie powtórzy.

Lilith westchnęła. Musiała skupić się na muzyce, a Cam ją

rozpraszał. Wszystko w nim ją rozpraszało, od sposobu, w jaki jego palce muskały gitarę, aż po nieprzenikniony uśmiech w zmrużonych zielonych oczach, kiedy na nią patrzył. Nie podobało jej się to.

I nigdy nie lubiła Jeana. Chciała, żeby obaj wyszli. Wykrzywiła usta.

– Wyjdźcie, proszę. Obaj.

– Byliśmy tu wcześniej – sprzeciwił się Jean. – Jeśli ktoś miałby wyjść, to ty.

– Uspokójcie się oboje – odezwał się Cam. – Poimprovizujemy trochę. Zaczekaj tylko, aż usłyszysz ten rytm, który właśnie wymyśliliśmy.

– Nie. Przyszłam tu nad czymś popracować. Sama. Nawet nie mam gitary.

Cam już zajął do magazynu i wyciągnął jedną z futerału. Podszedł do Lilith, podał jej gitarę i przerzucił pasek przez jej szyję. To był les paul, z wąskim gryfem i pomalowaną srebrną farbą podstrunnica. Nigdy wcześniej nie miała w rękach takiej ładnej gitary.

– Jakie masz teraz usprawiedliwienie? – spytał cicho Cam.

Jego palce pozostały na jej karku dłużej, niż było to konieczne, jakby nie chciał się cofnąć.

Wobec czego ona to zrobiła.

Uśmiech zniknął z ust Cama, jakby zrobiła mu przykrość.

Nawet jeśli, powiedziała sobie, że jej to nie obchodzi. Nie wiedziała, dlaczego był tak bezpośredni, o co mu chodziło, kiedy zachęcał ją do grania.

Pomyślała o Chloe King, która była tak niemiła, kiedy mówiła o jej występie. Poprzedniego wieczoru Lilith po raz pierwszy grała publicznie. Trzymając tę gitarę, zrozumiała, że nie chce, żeby to był ostatni raz.

Co nie oznaczało, że zakładali zespół. Mogli po prostu, jak to powiedział Cam, poimprovizować.

– Co mam zrobić?

Czuła się odsłonięta. Nie podobało jej się bycie na łasce kogokolwiek – a szczególnie Cama.

Cam bez słowa przesunął jej rękę w górę ciepłego gryfu gitary.

Jego prawa dłoń podążała za jej dłonią po strunach. Lilith zachwiała się lekko.

– Wiesz, co robić.

– Nie. Ja nigdy... z innymi ludźmi... ja...

– Po prostu zacznij grać. Dokądkolwiek się udasz, podążymy za tobą.

Skinął na Jeana, który cztery razy stuknął palcami. Cam chwycił smukłą gitarę basową ze staromodnym ramieniem tremolo.

A Lilith, jakby to nie było niczym wielkim, uwolniła palce.

Jej gitara dopasowała się do rytmu bębna taktowego Jeana niczym bicie serca. Szorstkie akordy Cama pulsowały na tle mocnego rytmu niczym skrzyżowanie Kurta Cobaina i Joego Strummera. Od czasu do czasu Jean muskał palcami krótki, czarny syntezator Mooga, który stał obok jego perkusji. Akordy z syntezatora bzyczały jak tłuste, przyjazne pszczoły, a ich wibracje znajdowały bezpieczne schronienie w przestrzeni pozostawionej przez inne instrumenty.

Po chwili Cam uniósł ręce. Lilith i Jean przestali grać. Wszyscy wyczuwali, że do czegoś dochodzą.

– Przejdźmy do wokalu.

– To znaczy teraz? Tak po prostu?

– Tak po prostu. – Cam nacisnął przełącznik, postukał palcem w mikrofon, skierował go w stronę Lilith, a sam się cofnął. – Może piosenka, którą śpiewałaś wczoraj?

– „Wygnanie”. – Serce Lilith zabiło szybciej.

Wyciągnęła dziennik, ten, w którym zapisywała wszystkie teksty, ale później powróciła myślami do poprzedniego dnia i tego, jak bardzo wszystkim nie podobał się jej występ. Co ona właściwie wyprawiała? Występ przed wszystkimi innymi mógł jedynie jeszcze bardziej ją upokorzyć.

A później pomyślała o Ike’u Ligonie śpiewającym jej piosenkę przed całą szkołą.

– Jestem gotowa.

Cam odliczył cicho, on i Jean zaczęli grać. Cam gestem zachęcił Lilith, by zaczęła śpiewać.

Nie mogła.

– Co się stało? – spytał Cam.

„Wszystko”, miała ochotę odpowiedzieć. Jedynym, co Lilith знаła, było rozczarowanie. W życiu nic jej nie wychodziło. To przeważnie nie było wielkim problemem, bo nigdy nie pozwalała sobie, by na cokolwiek oczekiwać, więc tak naprawdę nigdy się nie przejmowała.

Ale to? Muzyka?

Liczyła się dla niej. Gdyby zaśpiewała i była kiepska, gdyby jej piosenka nie została wybrana do bitwy albo gdyby ona, Cam i Jean założyli zespół, który by się rozpadł, straciłaby jedyne, co ją obchodziło. Stawka była zbyt wysoka.

Lepiej wycofać się teraz.

– Nie mogę – powiedziała.

– Dlaczego nie? Dobrze sobie razem radzimy. Wiesz, że...

– Nie wiem tego.

Spojrzała Camowi w oczy i poczuła napięcie, jakby była drutem, który miał zaraz pęknąć. Przypomniała sobie, co rano powiedział Luc, i w jej głowie rozległ się refren „Śmierci gwiazd” Dymorfii:

Tej nocy gwiazdy masz na twarzy

Tej nocy wszystko się wydarzy.

– O co chodzi?

Czy powinna go spytać o piosenkę? I dziewczynę? Czy to wariactwo?

A jeśli Cam był złodziejem tekstów? A jeśli to był prawdziwy, ukryty pomysł, dla którego chciał założyć z nią zespół? Poza gitarą piosenki Lilith były jedynym, co miało dla niej wartość.

– Muszę iść. – Odłożyła gitarę i wzięła torbę. – I nie zgłoszę swoich tekstów do konkursu. To koniec.

– Zaczekaj! – zawołał Cam, ale ona już wyszła z sali prób.

Znalazłszy się na zewnątrz, Lilith przeszła przez szkolny parking w stronę zadymionych lasów. Zakaszłała, próbując nie myśleć o tym, jak przyjemnie było grać z Camem i Jeanem. Improvizowanie z nimi było głupotą, nadzieja na cokolwiek była głupotą, bo ona była Lilith, wszystko zawsze było do dupy i nigdy przenigdy nie dostała niczego,

czego pragnęła od życia.

Inne dzieciaki się nie wahały, kiedy ktoś pytał o marzenia. „Studia”, mówiły, „a później kariera w bankowości”. Albo „dwa lata z plecakiem po Europie”, albo „wstąpić do marines”. Zupełnie jakby wszyscy poza Lilith dostali mail, który wyjaśniał im, do jakich szkół powinni złożyć dokumenty, jak później zapisać się do bractwa studenckiego i co zrobić, jeśli chciało się zostać lekarzem.

Lilith chciała zostać muzykiem, piosenkarką śpiewającą własne piosenki – ale wiedziała, że to niemożliwe.

Usiadła na swoim miejscu nad strumieniem, rozpięła plecak i sięgnęła po dziennik. Próbowwała go wymacać. Sięgnęła głębiej, odsuwając na bok podręcznik do historii, piórnik, klucze. Gdzie był jej dziennik? Otworzyła szerzej torbę i wyrzuciła jej zawartość na zewnątrz, ale czarnej książeczki nie było.

I wtedy przypomniała sobie, że wyjęła ją w sali prób, kiedy myślała, że zaśpiewa. Wciąż tam była. Z Camem.

Lilith zerwała się gwałtownie i pobiegła z powrotem do sali prób, biegła szybciej, niż sądziła, że to możliwe. Otworzyła drzwi, z trudem łapiąc oddech.

Sala prób była pusta. Cam i Jean zniknęli, a wraz z nimi jej czarny notatnik.

SZEŚĆ



IDĄC NA DNO

CAM
DWANAŚCIE DNI

Następnego ranka czarny notatnik Lilith leżał otwarty na ławce w szatni chłopców, gdzie Cam ubierał się do szkoły. Kiedy poprzedniego dnia Lilith wybiegła z sali prób, zamierzał natychmiast oddać jej dziennik. Szukał dziewczyny nad brzegiem strumienia, ale jej tam nie było, a nie mógł podrzucić go do jej domu, bo nie wiedział, gdzie mieszkała.

Im dłużej trzymał dziennik w dłoniach, tym silniejsza stawała się pokusa, żeby go otworzyć. O zachodzie słońca złamał się i pozostał na dachu sali gimnastycznej Trumbull przez całą noc, w blasku komórki czytając raz za razem błyskotliwe i genialne piosenki Lilith.

Wiedział, że postępuje źle. Narusza jej prywatność. Ale nie mógł się powstrzymać. Miał wrażenie, że ktoś podniósł aksamitny sznur wokół serca Lilith i dał mu dostęp dla VIP-a. Kiedyś, przed wielu laty, Cam dotknął tego łagodnego, delikatnego aspektu Lilith, ale teraz widział go jedynie przez jej piosenki.

A te piosenki? Łamały mu serce. Każdą, od „Żalonych miłości”, przez „Stojąc nad urwiskiem”, po jego ulubioną, „Cudzy blues”, przepełniło cierpienie, upokorzenie i poczucie bycia zdradzonym. Najgorsza była absolutna pewność, skąd brał się cały ten ból. Dźwiganie wspomnień ich dwójki było udręką.

Sposób, w jaki Lilith patrzyła na niego teraz, jakby był obcy, też była udręką. Cam mógł w końcu zrozumieć Daniela, który za każdym razem musiał zaczynać z Lucindą od nowa.

Włożywszy kolejny ukradziony podkoszulek, dzinsy i skórzaną kurtkę, Cam odkrył, że trudno mu spojrzeć sobie w oczy w lustrze, tak bardzo wstydził się bólu, jaki sprawił Lilith. Przeczesał palcami wilgotne włosy i z zaskoczeniem stwierdził, że są nieco rzadsze. A kiedy się nad tym zastanowił, poczuł, że dzinsy nieco cisną go w pasie.

Przyjrzał się uważnie swojemu odbiciu w lustrze i z zaskoczeniem zauważył kilka przebarwień w pobliżu granicy włosów – która, jak się zorientował, cofnęła się o dobry centymetr. Co się działo?

I wtedy zrozumiał – Lucyfer. Manipulował śmiertelnym wyglądem Cama, by zdobycie miłości Lilith stało się jeszcze trudniejsze. Jakby i tak nie było już dość trudne.

Jeśli szatan powoli pozbawiał go atrakcyjności, którą Cam uważał za oczywistą, jaka przewaga mu jeszcze pozostała? Musiał bardziej się postarać. Jego wzrok padł na dziennik Lilith i Cam nagle zrozumiał, co musi zrobić.

Ponura, zakurzona biblioteka była jedynym miejscem na całym terenie Trumbull, w którym było porządne Wi-Fi. Cam zajął miejsce przy oknie, żeby widzieć, kiedy przyjedzie autobus Lilith. Był sobotni rano, co oznaczało, że w innych okolicznościach Lilith mogłaby jeszcze spać, ale w Crossroads sobota nic nie znaczyła. Lucyfer chełpił się, że w Piekło nie ma weekendów. Żaden z uczniów nie zwracał na przykład uwagi i nie przejmował się, że ich bal maturalny odbędzie się w środę.

Camowi było ich żal. Nie znali szczególnej radości godziny szesnastej w piątek albo hedonistycznego dreszczyku przejażdżki kradzionym samochodem w sobotnią noc, po której przez całą niedzielę wracało się do siebie – i nigdy ich nie poznają.

Przez okno biblioteki Cam widział pomarańczową łunę pożarów lasów otaczających Crossroads. Wiedział, że atak wściekłości Lilith byłby równie gorący, gdyby odkryła, co zamierzał zrobić, ale musiał zaryzykować.

Wyszukał w Google Czterech Jeźdźców i wkrótce znalazł adres mailowy Ike'a Ligona. Nie mógł mieć pewności, że jego wiadomość dotrze do wokalisty, a nie jakiegoś asystenta, ale inny sposób dotarcia do Ike'a – przez Lucyfera – nie wchodził w grę.

Wszystkie pozostałe piosenki zgłoszone na konkurs miały zostać

ocenione przez Luca. Cam wiedział, że Czterej Jeźdźcy niczego nie ocenią i że Lilith, przynajmniej poprzedniego dnia, nie zamierzała zgłosić własnej piosenki. Była bardziej utalentowana niż wszyscy w Crossroads razem wzięci, a Cam chciał, by jej ulubiony piosenkarz usłyszał jej muzykę – nie będąc pod wpływem szatana.

Usiadł wygodniej i wczuwając się w Lilith, zaczął pisać mail na komórkę.

*Szanowny Panie Ligon,
mam nadzieję, że nie obrazi się Pan, iż piszę do Pana
bezpośrednio, ale Pańskie piosenki zawsze mnie inspirowały, więc
chciałam się podzielić z Panem jednym ze swoich tekstów. Nie mogę się
doczekać Pańskiego występu w Crossroads. Załączam swój biogram
i tekst do Bitwy Zespołów. Dziękuję za wszystko.*

Czarny dziennik spoczywał na kolanach Cama, on jednak odkrył, że nie musi go otwierać. Z pamięci wystukał tekst swojej ulubionej piosenki, „Cudzego bluesa”.

*Śniłam, że życie było snem,
Który ktoś inny we mnie śni.
Na zewnątrz byłam, patrząc w głąb,
A kłamstwem były moje dni.
To nie jest wcale moje życie,
I to nie ja w nim bawię się.*

Cam zapisał cały tekst piosenki, pozostając pod wrażeniem umiejętności Lilith. Biogram był trudniejszy. Żaden muzyk nie pisał go szczerze. Wymieniali swoje albumy, może wspominali, kto wywarł na nich największy wpływ albo czy ich piosenki znalazły się na listach przebojów, później pisali, gdzie mieszkają, i tyle.

Ale Cam odkrył, że nie umie opisać obiektywnie życia Lilith i jej wyjątkowej sytuacji. Dlatego napisał:

*Napisałam tę piosenkę nad strumieniem za szkołą, gdzie uciekam,
kiedy świat robi się zbyt duszący. Chodzę tam codziennie.*

*Zamieszkałabym tam, gdybym mogła. Napisałam tę piosenkę, kiedy
złamano mi serce, ale nie od razu. Zostałam zraniona tak mocno, że*

minęło dużo czasu, nim umiałam ująć w słowa to, co czułam. W moim złamanym sercu wciąż kryją się pewne rzeczy, których nie rozumiem i nie wiem, czy kiedykolwiek mi się to uda. Ale muzyka pomaga. Dlatego piszę i dlatego przez cały czas słucham muzyki. Cokolwiek to znaczy, Pańskie piosenki są moimi ulubionymi.

Nie spodziewam się, że wygram w tym konkursie. Nauczyłam się nigdy niczego się nie spodziewać. Ale byłoby dla mnie zaszczytem, gdyby przeczytał Pan coś, co napisałam.

Kiedy pisał ostatnie słowa, nagle zaczął widzieć niewyraźnie. W oczach miał łzy.

Nie zapłakał, kiedy został wygnany sprzed oblicza Tronu i kiedy spadał przez Pustkę. Nie płakał nawet kiedy przed tysiącami lat po raz pierwszy stracił Lilith.

Ale teraz nie mógł się powstrzymać. Lilith tak wiele wycierpiała. A przyczyną był on sam. Wiedział, że cierpiała, kiedy się rozstali – jak mógłby tego nie wiedzieć? – ale nie spodziewał się, że ból i złość pozostaną z nią tak długo, tak bardzo ją zdominują. Duch dziewczyny, którą pokochał, wciąż tam był, ale bezlitośnie udręczony.

Łzy płynęły bezustannie. Cieszył się, że jest sam w bibliotece.

Zzzzz.

Kiedy jedna z łez Cama padła na stół, rozległo się skwierczenie. Patrzył, jak wypala dziurę w laminacie, a później w dywanie. Znad podłogi uniósł się czarny dym.

Cam zerwał się na równe nogi i otarł łzy rękawem kurtki – na jego oczach łzy przeżarły również skórę. Co się działo?

– Demony nie powinny płakać.

Cam odwrócił się i zobaczył Luca, który siedział przy stoliku z tyłu ze słuchawkami bezprzewodowymi na głowie i grał w *Dooma* na tablecie. Od jak dawna tam był?

Szatan gwałtownym ruchem zerwał słuchawki.

– Nie wiesz, czym są łzy demonów?

– Nigdy nie miałem powodu się nad tym zastanawiać.

– Paskudztwo. Skrajnie toksyczne. Dlatego bądź ostrożny. Albo nie, twój wybór.

Cam spojrział na komórkę. Ucieszył się, że jego łzy na nią nie

padły. Szybko kliknął „Wyślij”. Lucyfer zagwizdał pod nosem.

– Przegrywasz. Lilith zniechęci cię za to, co właśnie zrobiłeś.

– Jeśli się wtrącis, unieważnisz nasz zakład.

Lucyfer się roześmiał.

– Sam wystarczająco sobie szkodzisz, chłopie. Nie potrzebujesz mojej pomocy. – Zawahał się. – Właściwie, jak na razie radzisz sobie tak żałośnie, że aż mi ciebie żal. Dlatego rzucę ci kość.

Szatan wyciągnął żółtą karteczkę samoprzylepną, którą Cam złapał.

– Co to?

– Adres Lilith. Będzie ci chciała przywalić, kiedy oddasz jej dziennik. Może lepiej, żebyście zrobili to w cztery oczy, a nie przed całą szkołą.

Cam chwycił swoją torbę listonoszkę, przecisnął się obok szatana i wypadł z biblioteki. Pozostała godzina do dzwonka. Może Lilith wciąż jeszcze była w domu.

Pobiegł na tył szkoły, zaczekał, aż przejedzie śmieciarka, i rozwinął skrzydła. Wtedy czuł się najlepiej. Włosy mogły mu się przerzedzić, a pas pogrubieć pod wpływem kaprysów Lucyfera, ale jego skrzydła zawsze były w nim najpiękniejsze. Szerokie, silne i migoczące w zadymionym świetle...

Skrzywił się, kiedy zobaczył, że czubki jego skrzydeł są cienkie i skórzaste, bardziej przypominają skrzydła nietoperza niż wspaniałego upadłego anioła. Kolejny atak Lucyfera na jego próżność. Nie mógł pozwolić, by go to sparaliżowało. Pozostało mu dwanaście dni z Lilith i o wiele zbyt dużo do zrobienia.

Kiedy wzniósł się w niebo, jego skrzydła otoczyły kłęby popiołu. Poczuł, że gorąco płonących wzgórz muska jego ciało, więc wzniósł się wyżej, aż nagle niebo nad jego głową zaczęło wyglądać, jakby się zakrzywiało, a przed sobą ujrzał przezroczystą barierę, zupełnie jak szkło otaczające szklane kule, które Lucyfer pokazał mu w Aevum.

Dotarł do górnej granicy Piekła Lilith.

Z tego miejsca widział wszystko. Czyli niewiele. Główne ulice miasta – nawet autostrada biegnąca obok szkoły – były pętlami, co oznaczało, że samochody jeździły po nich dookoła. Za najszerszym

kręgiem drogi znajdował się krąg płonących wzgórz.

Klaustrofobia sprawiła, że zadrżały mu skrzydła. Musiał uwolnić Lilith z tego miejsca.

Cam skręcił w lewo i poszybował w dół, w stronę podupadłego osiedla na końcu High Meadow Road. Zatrzymał się gwałtownie i pozostał nieruchomo w powietrzu kilka metrów nad domem Lilith. Dach zapadał się w kilku miejscach, a ogród wyglądał na porzucony przed dziesięcioleciem. W tej części miasta powietrze było wyjątkowo gęste od dymu. To musiało być koszmarnie miejsce do dorastania.

Usłyszał jej głos dochodzący z dołu. Wydawała się wściekła. Zawsze wydawała się wściekła. Szybko złożył skrzydła i wylądował na martwej brązowej trawie za jej domem.

Lilith siedziała na ganku z małym chłopcem, który musiał być jej bratem. Na widok Cama wychodzącego za rogu, podniosła się i zacisnęła rękę w pięści.

– Gdzie mój dziennik?

Cam bez słowa sięgnął do torby i podał jej czarną książkę. Ich palce zetknęły się, kiedy ją odbierała, a Cama przeszył dreszcz.

Nagle pożałował, że musi jej oddać dziennik. Kiedy poprzedniej nocy miał go przy sobie, czuł się niemal tak, jakby miał u boku Lilith. Tę noc znów miał spędzić w samotności.

– Kto to? – spytał jej brat, wskazując na Cama.

Cam wyciągnął rękę do chłopca.

– Jestem Cam. Jak się nazywasz?

– Bruce – odpowiedział chłopiec wesoło, zaraz jednak dostał ataku kaszlu.

Jego dłonie i stopy były duże w porównaniu z resztą ciała, jakby powinien być o wiele większy, ale nie udało mu się urosnąć.

– Nie rozmawiaj z nim – powiedziała Lilith do brata, jedną ręką obejmując Bruce'a, a w drugiej ściskając swój dziennik. Spojrzała na Cama. – Widzisz, co narobiłeś?

– Czy on się dobrze czuje?

– Jakby cię to obchodziło. – Przeniosła wzrok na dziennik. – Nie przeczytałeś go, prawda?

Zapamiętał każde słowo.

– Oczywiście, że nie.

Cam nie chciał, żeby okłamywanie jej weszło mu w nawyk, ale tu chodziło o coś innego. Zasłużyła, żeby wygrać w konkursie na tekst. Gdyby tak się stało, Cam chciał, żeby była zaskoczona. Jeśli nie – ze względu na ingerencję Lucyfera – nie chciał, żeby była rozczarowana.

– W takim razie dlaczego go zabrałeś?

– Żeby ci go oddać – stwierdził, co było prawdą. – Wiem, że jest dla ciebie ważny. – Odważył się podejść krok bliżej i patrzył, jak słońce odbija się od jej włosów. – A skoro już tu jestem, chciałem również przeprosić.

Lilith przechyliła głowę i spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nie mam czasu wysłuchiwać wszystkich rzeczy, za które powinieneś przeprosić.

– To pewnie prawda. Wiem, że bywam czasem obcesowy. Ale kiedy nie daję ci spokoju, mówiąc o założeniu zespołu, robię to dlatego, że wierzę w ciebie i twoją muzykę. Lubię z tobą grać. Ale wycofam się. A przynajmniej spróbuję. Jeśli chcesz. – Spojrzał jej w oczy. – A chcesz?

Przez chwilę Cam miał wrażenie, że widzi promień światła w oczach Lilith. Ale może tylko to sobie wyobrażał.

– Myślałam, że nigdy nie spytasz – powiedziała chłodno. – Chodź, Bruce. Czas sprawdzić poziom tlenu.

Chłopiec przestał już kaszleć. Bawił się z małym białym pieskiem, który wybiegł z domu.

– Jesteś chłopakiem Lilith?

Cam uśmiechnął się szeroko.

– Lubię tego dzieciaka.

– Zamknij się.

– To jest nim czy nie? Bo jeśli jest twoim chłopakiem, mnie też będzie musiał do siebie przekonać. Zabierać mnie na flipery i lody albo, na przykład, nauczyć rzucać piłką do bejsbola.

– Dlaczego mamy się ograniczać? Nauczę cię kopać w nogę, walić pięścią, grać w pokera, a nawet – Cam spojrzał na Lilith – wytrącać najfajniejsze dziewczyny z równowagi.

– Poker – szepnął Bruce.

Lilith odwróciła się do Cama.

– A może nauczyłbyś sam siebie wyrafinowanej sztuki odchodzenia?

Cam usłyszał głos kobiety wołający w domu Lilith. Dziewczyna wstała i poprowadziła Bruce'a w stronę drzwi.

– Miło było cię poznać, Bruce.

– Ciebie też, Cam. Nigdy wcześniej nie słyszałem tego imienia. Zapamiętam je.

– Nie zwracaj sobie głowy. – Lilith spiorunowała Cama wzrokiem, po czym wprowadziła chłopca do domu. – Nigdy więcej go nie spotkasz.

SIEDEM



MIŁOŚĆ NAS ROZDZIELI

LILITH *JEDENAŚCIE DNI*

Lilith już dawno doszła do wniosku, że stołówka w Trumbull była ni mniej, ni więcej, tylko komnatą tortur, ale następnego ranka Cam wsunął do jej szafki kartkę z prośbą o spotkanie w sali prób w porze lunchu – więc się tam nie wybierała. A choć strumień zawsze ją wzywał, tego dnia rzeczywiście była głodna.

Poszła więc na stołówkę. Tuż przed dwunastą znalazła się w hałaśliwym labiryncie lepkich stolików. W chwili, gdy weszła do środka, rozmowy ucichły, a ławki zaczęły trzeszczeć.

Przez sekundę zobaczyła siebie ich oczyma. Wrogi grymas na zaciśniętych wargach. Wściekłe spojrzenie niebieskich oczu. Tanie czarne dżinsy, tak poprzecierane, że składały się bardziej z dziur niż z tkaniny. Rozczochrane rude włosy, nad którymi nie panowała żadna szczotka. Nawet Lilith nie chciałaby jeść lunchu z Lilith.

– Znalazłaś dolara na ulicy? A może przyszłaś błagać o resztki? – spytała Chloe King, stając jej na drodze.

Chloe trzymała swoją tacę od niechcienia jedną ręką. Paznokcie miała pomalowane na liliowo. Jej liczne warkoczyki poruszały się z cichym szelestem, kiedy szła.

– Daj mi spokój.

Lilith precyzyjnie się obok niej, wytrącając tacę z rąk Chloe. Hamburger i frytki spadły na ziemię, a kartonik z mlekiem poleciał na obcisłą sukienkę z białego zamszu.

– Ciesz się, że jest biała, bo inaczej twoja splukana mamuśka

stałaby w kolejce do banku z prośbą o pożyczkę, żeby kupić mi nową.

Dziewczyny z zespołu Rzekome Zniewagi stanęły u jej boku. Wszystkie miały na sobie takie same obcisłe sukienki, choć w różnych pastelowych odcieniach. Nagle, jakby padł na nie blask reflektora, Lilith wyobraziła sobie na scenie. Pewnie nie umiały grać, ale zespół Chloe wygra bitwę, bo wszyscy uznają, że wyglądają seksownie. I choć Lilith nawet nie miała zespołu, myśl o zwycięstwie Chloe doprowadziła ją do wściekłości.

– Słuchasz mnie w ogóle? Halo? – Chloe trąciła hamburger czubkiem buta. – Może powinniśmy podziękować Lilith za przypomnienie nam, że nie powinniśmy jeść tego taniego gówna, które tu podają.

Jej przyjaciółeczki, rzecz jasna, się roześmiały.

Kątem oka Lilith zobaczyła Cama wchodzącego na stołówkę. W ręku trzymał futerał na gitarę.

– Chyba nie myślicie, że wybieram się na bal maturalny. Nie biorę udziału w Bitwie Zespołów, więc nawet ktoś, kto śpiewa tak jak wy, ma szansę.

– Poprzedniego wieczoru twoja matka przyszła do nas, szukając pracy – powiedziała Chloe. – Tacie zrobiło się jej żal. Zaproponowałam, że pozwolę jej wyczyścić moją toaletę...

– Kłamstwo – warknęła Lilith.

– Ktoś musi płacić rachunki tego chorego kurdupła, twojego brata.

– Zamknij się.

– Oczywiście tato nie dał twojej mamie ani grosza. – Chloe zaczęła polerować paznokcie o sukienkę. – Umie rozpoznać złą inwestycję, a każdy widzi, że ten dzieciak nie ma szans.

Lilith rzuciła się do przodu, chwyciła Chloe za warkocze i szarpnęła mocno.

Głowa Chloe poleciała do tyłu, a dziewczyna osunęła się ze łzami w oczach na kolana.

– Przestań. Proszę, przestań.

Lilith szarpnęła mocniej. Ludzie mogli mówić o niej, co tylko chcieli, ale nikt nie poniżał jej brata.

– Puszczaj, ty bestio! – wrzasnęła blondynka, Kara, kołysząc się na

palcach, jakby ktoś ją nakręcił.

– Mam to sfilmować? No wiesz, żeby był dowód? – spytała przyjaciółka Chloe, June, wyciągając telefon.

– Lilith...

Cam oparł dłoń na jej karku. Jego dotyk sprawił, że znieruchomiała.

I wtedy jej mózg zaczął działać. To nie była sprawa Cama. Od kiedy go zobaczyła, widziała, że jest gościem, który krzywdzi ludzi. Wyładowała wściekłość na głowie Chloe, mocniej szarpiąc ją za warkoczyki.

– Odejdź, Cam.

Nie zrobił tego. „Jesteś ponad to”, dawał do zrozumienia jego dotyk.

Cam nie znał bólu, stresu i upokorzeń, z którymi Lilith musiała sobie radzić każdego dnia. W ogóle jej nie znał.

– Co? – Odwróciła się do niego. – Czego chcesz?

Skinął na Chloe.

– Skop jej tyłek.

June upuściła komórkę i skoczyła na Lilith, ale Cam wślizgnął się między nie i ją powstrzymał. June wgryzła się w jego ramię jak pirania.

– Puść ją! – krzyknęła Kara do Cama. – Dyrektor Tarkenton? Ktokolwiek? Pomocy!

Lilith nie wiedziała, czy Tarkenton był na stołówce. Trudno było cokolwiek zobaczyć ponad głowami około dwudziestki uczniów, która zebrała się wokół nich.

– Walczcie! Walczcie! Walczcie! – skandował tłum.

I wtedy – niespodziewanie – poczuła, że to wszystko jest głupie.

Bójka z Chloe niczego by nie zmieniła. Nie mogła uczynić życia Lilith lepszym. Jeśli już, to uczyniłaby je gorszym. Mogłaby zostać wyrzucona, a wtedy znaleźliby jeszcze gorszą szkołę, do której by ją wysłali. Lilith rozluźniła palce i puściła Chloe, która osunęła się na ziemię i zaczęła rozmasowywać skórę głowy.

Kara, June i Teresa podbiegły, by pomóc Chloe wstać.

– Kochanie, nic ci nie jest? – spytała Kara.

– Jak ręka, którą grasz? – spytała Teresa, unosząc prawą dłoń

Chloe i poruszając nią.

Chloe podniosła się i spojrzała na Cama i Lilith, odsłaniając przy tym zęby.

– Może byście tak uciekli razem i zaczęli wspólne bezwartościowe życie? Słyszałam, że wzywa was laboratorium z metą. – Dotknęła skroni i syknęła. – Masz najwyższą pozycję na mojej czarnej liście, Lilith. Lepiej uważaj.

Chloe odeszła z resztą zespołu. Tłum rozproszył się powoli, rozczarowany, że bójka nie trwała dłużej.

Lilith stała obok Cama, nie czuła potrzeby, by się odezwać. Powinna pozwolić, by obelgi Chloe po niej spłynęły, jak każdego dnia. Matka się wścieknie, kiedy o tym usłyszy.

Cam pociągnął Lilith do najbliższego stolika, by przepuścić paru uczniów. Ale kiedy ci już przeszli, nie puścił jej. Czuła jego dłoń na plecach i z jakiegoś powodu nie zrzuciła jej.

– Nie pozwól, żeby te suki cię zdołowały.

Lilith przewróciła oczyma.

– Być ponad dziewczyny, które uważają się za lepsze ode mnie, udając, że jestem lepsza od nich? Dzięki za radę.

– Nie o to mi chodziło.

– Ale nazwałeś je sukami.

– Chloe odgrywa rolę, jak aktorka.

– Co ty robisz, Cam? – spytała, czując nagłe zmęczenie. –

Dlaczego zachęcałeś mnie do walki z Chloe? Dlaczego teraz próbujesz mnie pocieszać? Dlaczego udajesz, że interesujesz się moją muzyką? Nie znasz mnie, więc co cię obchodzi?

– A nie przyszło ci na myśl, że może chciałbym cię poznać?

Lilith założyła ręce na piersi i spuściła wzrok, czując się niezręcznie.

– Nie ma czego poznawać.

– Wątpię. Na przykład... o czym myślisz, zanim wieczorem zaśniesz? Jak bardzo przypalone tosty lubisz? Gdzie byś się udała, gdybyś mogła pojechać dokądkolwiek na świecie? – Zniżył głos tak, że mówił niemal szeptem. Dotknął jej twarzy pod lewą kością policzkową. – Skąd się wzięła ta blizna? – Uśmiechnął się lekko. – Widzisz?

Mnóstwo fascynujących tajemnic.

Lilith otworzyła usta. Zamknęła je. Mówił poważnie?

Wpatrzyła się w jego twarz. Była spokojna, jakby choć raz nie próbował jej do niczego przekonać, jakby czuł się zadowolony, po prostu stojąc obok niej. Mówił poważnie, uznała. A ona nie miała pojęcia, jak zareagować.

Poczuła, jak coś w jej wnętrzu się porusza. Wspomnienie, iskra rozpoznania, nie była pewna. Ale coś w Camie nagle wydało jej się dziwnie znajome. Spuściła wzrok i zauważyła, że jej dłonie drżą.

– Możesz mi zaufać – powiedział.

– Nie – odparła cicho. – Ja nie ufam.

Cam przechylił głowę tak, że niemal zetknęli się czubkami nosów.

– Nigdy cię nie skrzywdzę, Lilith.

Co się działo? Lilith zamknęła oczy. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Kiedy je otworzyła, Cam był jeszcze bliżej. Jego wargi zbliżyły się...

Tę chwilę bliskości przerwał głos Jeana Raha.

– Hej, ludzie.

Lilith cofnęła się, potykając się o własne nogi. Kolana jej zmiękły, a serce biło bardzo szybko. Spojrzała na Cama, który otarł czoło wierzchem dłoni i odetchnął głęboko. Jean Rah był nieświadomy czegokolwiek, co mogło się wydarzyć.

Uniósł telefon.

– Sala prób jest otwarta do pierwszej. Tak tylko mówię.

Rozległ się sygnał wiadomości tekstowej. Jean uniósł brwi.

– Poszarpałaś Chloe King za kudły, a ja tego nie widziałem?

Lilith roześmiała się i wtedy wydarzyło się coś szalonego – Jean jej zawtórował, a później Cam i nagle we trójkę śmiali się do łez, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

Jakby byli przyjaciółmi.

Byli przyjaciółmi? Śmiech był przyjemny, tyle Lilith wiedziała. Czuła się lekko, jak na wiosnę, pierwszego dnia, kiedy wyszła na dwór bez kurtki. Spojrzała na Jeana i nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego kiedyś go nie znosiła.

I nagle wszystko się skończyło. Przeszli się śmiać. Powróciła ponura rzeczywistość.

– Lilith – odezwał się Cam – możemy porozmawiać w cztery oczy?

Sposób, w jaki zadał to pytanie, sprawił, że miała ochotę się zgodzić. Ale „tak” niespodziewanie wydało jej się niebezpiecznym słowem. Lilith nie chciała zostać sam na sam z Camem. Nie teraz.

Cokolwiek próbował zrobić przed chwilą, tego było dla niej zbyt wiele.

– Jean? – powiedziała.

– Tak?

– Chodźmy poimprowizować.

Jean wzruszył ramionami i wyszedł za Lilith ze stołówki.

– Na razie, Cam.



W sali prób chudy, ciemnowłosy pierwszak w marmurkowym podkoszulku męczył się z zamontowaniem wielkiego miedzianego kotła na podstawie. Dzieciak miał włosy tak długie, że niemal zasłaniały mu oczy, i skórę o barwie migdałów. Jean z zainteresowaniem przyglądał się spektaklowi. Podrapał się po brodzie.

– Elo, Luis. Potrzebujesz pomocy?

– Radzę sobie – wykrztusił chłopak.

Jean odwrócił się do Lilith, patrząc na nią, jakby była skomplikowanym problemem z rachunku różniczkowego, do którego nie wiedział nawet, jak podejść.

– Naprawdę chcesz poimprowizować czy próbowałaś wzbudzić zazdrość w Camie?

– Dlaczego nasza wspólna gra miałaby wzbudzić zazdrość w Camie? – zapytała Lilith. – Naprawdę chcę pograć.

– Świetnie. Wiesz, byłem na tym głupim otwartym mikrofonie. Twoja piosenka była dobra.

Lilith poczuła, że się rumieni.

– Tłumy były wprost zachwycone – powiedziała ponuro.

– Pieprzyć tę szkołę. – Jean wzruszył ramionami. – Ja ci klaskałem.

– Wskazał na Luisa. – Nasza trójka powinna założyć zespół. Wciąż jest czas, żeby zapisać się na bal...

– Nie idę na bal.

W ostatnich dniach wiele rzeczy ją dezorientowało, ale tej jednej prawdy była pewna.

Jean zmarszczył czoło.

– Ale musisz. Jesteś fantastyczna.

Komplement był tak bezpośredni, że Lilith nie wiedziała, jak zareagować.

– To znaczy, nieważne. Opuść sobie balową część balu, zabierz chłopaka albo baw się sama, ale przynajmniej przyjdź na bitwę. Ja muszę iść na całość, bo moja zwariowana dziewczyna od naszej pierwszej randki rozwodzi się nad „długą sukienką z żurawinowej satyny”. Widzisz? Właśnie teraz przysłała mi wiadomość.

Uniósł telefon. Zablokowany ekran ukazywał zdjęcie Kimi Grace, robiącej wrażenie pół Koreanki, pół Meksykanki, która siedziała obok niej na poezji. Lilith nie wiedziała, że są z Jeanem parą – ale teraz miało to dla niej mnóstwo sensu.

Na zdjęciu Kimi uśmiechała się promiennie i trzymała kartkę, na której wielkimi literami napisała **JEDENAŚCIE DNI DO NAJLEPSZEJ NOCY NASZEGO ŻYCIA.**

– Jest urocza – powiedziała. – I podekscytowana.

– Jest zupełnie zwariowana. Chodzi mi o to, że wszyscy robią wielką aferę z tego, że bal maturalny to taka epicka impreza. Cóż, cały ten szum może się okazać prawdziwy, jeśli się pojawisz i zagrasz kawał epickiej muzyki.

Lilith przewróciła oczyma.

– Nic w Trumbull nie jest „epickie”... Przysięgam.

Jean uniósł brew.

– Może jeszcze nie. – Poklepał Luisa po ramieniu. Pierwszak odrzucił głowę do tyłu, odsuwając trochę włosów z twarzy. – Ten tu Luis gra na perkusji, nie najgorzej.

– Ano. Jest, jak mówi.

– Luis – spytał Jean – masz dziewczynę na bal maturalny?

– Rozważam możliwości. – Chłopak poczerwieniał. – Znam parę dziewczyn z ostatniej klasy, które mogłyby mnie zaprosić. Ale jeśli nie, przyjdę, żeby zagrać. Nie ma wątpliwości. Serio umiem walić

w perkusję.

– Widzisz? Jest oddany sprawie. Czyli Luis na perkusji – Jean przejrzał instrumenty w magazynie i wyjął czarny syntezator Mooga – ty śpiewasz i grasz na gitarze. A ja dorzucę syntezator. Dla mnie brzmi jak zespół.

Rzeczywiście brzmiało jak zespół. A Lilith zawsze marzyła, by zagrać w kapeli. Ale...

– Dlaczego się wahasz? – spytał Jean. – Przecież to pewna sprawa. Może Jean miał rację. Może ta decyzja rzeczywiście była prosta. Parę dzieciaków. Parę instrumentów. Zespół. Zagryzła wargę, by Jean nie zobaczył jej uśmiechu.

– Dobra. Zróbmy to.

– Uroczo! – krzyknął Luis. – To znaczy... super.

– Jasne – potwierdził Jean. – Super. A teraz bierz gitarę z magazynu.

Lilith wypełniła jego polecenie i patrzyła, jak Jean Rah ustawia gitarę na stojaku, a później podciąga stojak do mikrofonu. Zniknął w magazynku, by po chwili wyłonić się z brązowym stolikiem. Postawił go obok Lilith, na nim umieścił syntezator.

– Spróbuj – powiedział.

Lewą ręką zagrała C na klawiaturze. Jej gitara zagrała dynamiczne C. Jej palce zatańczyły na klawiaturze w szybkim riffie, a gitara zareagowała idealnie.

– Nieźle, co? – powiedział Jean. – Widownia nie będzie miała chwili oddechu.

– Pewnie. – Lilith była pod wrażeniem muzycznej pomysłowości Jeana. – Zdecydowanie.

– Ej, jak się nazywa nasz zespół? – spytał Luis. – Nie jesteśmy zespołem, jeśli nie mamy nazwy.

Lilith odetchnęła i powiedziała:

– Zemsta.

Uśmiechnęła się, ponieważ nagle, po raz pierwszy, była częścią czegoś większego od niej samej.

– Ostro.

Luis uniósł pałeczki i uderzył w werbel najmocniej, jak umiał.

Dźwięk wciąż jeszcze odbijał się echem w sali prób, kiedy drzwi otworzyły się i do środka wszedł dyrektor Tarkenton. Popatrzył na nich spode łba.

– Do mojego gabinetu, Lilith. Natychmiast.



Matka Lilith weszła pośpiesznie do gabinetu Tarkentona, zignorowała ją i uścisnęła dyrektora.

– Tak mi przykro, Jim.

Jej matka przebywała na terenie szkoły, gdyż zastępowała nauczyciela francuskiego, więc w ciągu kilku minut znalazła się w gabinecie Tarkentona na nadzwyczajnym spotkaniu z dyrektorem.

– To nie twoja wina, Janet. – Tarkenton poprawił krawat. – Miałem do czynienia z wieloma zakałami i umiem rozpoznać je od razu.

Lilith rozejrzała się po gabinecie. Jego ściany pokrywały zdjęcia przedstawiające dyrektora łowiącego ryby w jedynym żalonym jeziorze Crossroads.

– Twoja córka zaczęła bójkę z jedną z naszych najbardziej obiecujących uczennic. Jak sądzę, z zazdrości.

– Słyszałam. – Matka poprawiła różową apaszkę w kwiatowy wzór, którą ciasno obwiązała szyję. – A Chloe to taka miła dziewczynka.

Lilith wpatrzyła się w sufit i próbowała nie okazywać po sobie, jak bardzo ją bolało, że matka nigdy nawet nie próbowała stanąć po jej stronie.

– A ojciec Chloe ma duże wpływy w mieście – mówiła dalej matka – i mam tylko nadzieję, że nie będzie osądzał reszty mojej rodziny. Mój Bruce, biedaczyna, nie potrzebuje dodatkowych kłopotów.

Gdyby Bruce tu był, przewróciłby oczami. Przez całe życie wszyscy poza Lilith traktowali go jak ducha, a on tego nie znosił.

– Zostawanie po lekcjach najwyraźniej na nią nie wpływa – stwierdził Tarkenton. – Ale jest inne rozwiązanie, szkoła dla krnąbrnych uczniów.

Przesunął ulotkę po blacie. Lilith przeczytała napisaną gotycką czcionką nazwę: *Szkoła poprawcza Sword & Cross*.

– Ale co z balem maturalnym? – spytała Lilith.

Dopiero założyła zespół i nawet jeszcze nie zgłosiła się na bal maturalny – ale chciała. Bardziej niż czegokolwiek od bardzo dawna. Może kiedykolwiek. Żałowała, że nie ma matki, która by to zrozumiała, matki, której mogła się zwierzyć ze swoich obaw i marzeń. Zamiast tego miała Janet, która wciąż była przekonana, że Lilith zabrała jej głupi żółty sweter.

– A od kiedy to wybierasz się na bal maturalny? Jakiś chłopak cię zaprosił? Czy to ten, z którym rozmawiałaś wczoraj przed domem? Ten, który nawet nie zadzwonił, żeby się przedstawić?

– Mamo, proszę – jęknęła Lilith. – Tu nie chodzi o chłopaka, tylko o Bitwę Zespołów. Chcę zagrać.

Tarkenton spojrział na listę zapisów, która leżała na jego biurku.

– Nie widzę cię tutaj, Lilith.

Chwyciła kartę i szybko dopisała nazwę swojego zespołu. Teraz był prawdziwy. Wpatrzyła się w nią i przełknęła ślinę.

– Zemsta? – prychnął Tarkenton. – To brzmi dość buntowniczo.

– Ja nie... nie o to chodzi w naszym zespole. Proszę, dajcie mi jeszcze jedną szansę.

Pragnęła jedynie móc grać swoją muzykę, zobaczyć Czterech Jeźdźców, stać na scenie i śpiewać, i przez kilka minut zapomnieć o koszmarnym życiu. Występy nie były czymś, o czym by w ogóle myślała, zanim poznała się z Jeanem Rahem i Luisem, ale teraz nie umiała myśleć o niczym innym.

Później Tarkenton i jej matka mogli zrobić z nią, co tylko zechcą.

Kiedy omawiali przyszłość Lilith i potencjalne działania dyscyplinarne, dziewczyna wyjrzała przez okno na parking.

Luc szedł właśnie w stronę czerwonej corvette zaparkowanej blisko budynku. Co on tu robił? Luc wsiadł za kierownicę i głośno przegazował.

– Co to było? – spytał Tarkenton, odwracając się w stronę źródła dźwięku.

– Bardzo głośne. – Matka zmrużyła oczy. – Czy to... corvette?

Lilith z zaciekawieniem spoglądała na Luca. Widział ją przez okno?

– Kim jest ten chłopak? Wygląda na zbyt starego, żeby chodzić do

szkoły średniej. Znasz go, Lilith?

Dziewczyna spojrzała na matkę, zastanawiając się, jak odpowiedzieć na to pytanie. Kiedy znów spojrzała na parking, Luc zniknął, jakby w ogóle go na nim nie było.

– Nie. – Lilith znów skupiła się na karcie na biurku Tarkentona. – Proszę, czy mogłabym wziąć udział w bitwie?

Patrzyła, jak jej matka i dyrektor wymieniają spojrzenia. W końcu Tarkenton odchylił się do tyłu na fotelu i powiedział:

– Dam ci jeszcze jedną szansę. Ale najmniejszy błąd i koniec z tobą. Słyszysz?

Lilith pokiwała głową.

– Dziękuję panu.

Serce biło jej mocno w piersiach. Oficjalnie została muzykiem.

INTERLUDIUM



IZOLACJA

PLEMIĘ DANITÓW, PÓŁNOCNY KANAAN *OKOŁO 1000 R. P.N.E.*

Cam od wielu godzin wpatrywał się w księżyc, w myślach poganiając go w wędrówce po niebie nad pustynią. Minął już prawie dzień od chwili, kiedy pożegnał się z Lilith przy szarańczynie. Wszystko wydawało się takie urocze, kiedy ułożyła plan i zaprosiła Cama na ponowne spotkanie nad rzeką w blasku księżyca, ale czekanie przez tak wiele godzin, by znów ją zobaczyć, było dla niego nową udręką.

A Cam nie zamierzał pozwolić, by śmiertelna dziewczyna go zatrzymała.

– Żałosne – mruknął, rozwijając białe skrzydła. Poczłł niezwykle wolność, gdy wyciągnęły się w stronę nieba.

Kim on właściwie był? Danielem Grigorim?

Nie chciał być przywiązany do nikogo i niczego. Ale w przypadku Lilith nie umiał nad sobą zapanować. Sprawiała, że chciał pozostać.

Wzniósł się w niebo i poleciał w stronę wioski Lilith. Szybko wylądował, złożył skrzydła i wszedł do namiotu winiarni w pobliżu oazy – ostatniego miejsca, w którym mógłby ją spotkać. Postanowił nie zjawić się na randkę. Zajął miejsce w ciemnym kącie, nawiązał rozmowę z dwoma miejscowymi mężczyznami i poczęstował się zawartością ich kamionkowego dzbana.

Nim Cam i jego dwaj nowi przyjaciele osuszyli dzban, księżyc wisiał nisko nad horyzontem. Cam spodziewał się, że poczuje ulgę – teraz nic już nie mógł zrobić. Lilith mogła mu wybaczyć, ale z pewnością teraz już by mu nie zaufała ani się w nim nie zakochała.

Tego właśnie pragnął, czyż nie?



Rano Lilith otworzyła oczy i usiadła, zanim ukłuło ją wspomnienie. Dlaczego Cam zgodził się na spotkanie, jeśli nie planował się pojawić? A może wydarzyło się coś, co nie pozwoliło mu przybyć na miejsce? Wiedziała jedynie, że kiedy księżyc wisiał wysoko pośrodku nieba, ona była na umówionym miejscu – a on nie.

Jeśli chciała się dowiedzieć, musiała go spytać, a uznała, że jedynym miejscem, w którym miała szansę go spotkać, była studnia. Prędzej czy później każdy z jej plemienia się tam udawał. Nuciała, idąc wąską, zapyloną ścieżką przez środek wioski. Niebo było czyste, wysoka trawa muskała koniuszki jej palców, a gorące powietrze przygniatało jej ramiona.

W miejscu, gdzie ścieżka prowadząca na północ spotykała się ze ścieżką wiodącą na zachód, znajdowała się wioskowa studnia. Otaczała ją cembrowina z ubitej, wypalanej gliny, a drewniane wiadro spuszczano w dół na grubej, chropowatej linie. Woda była chłodna i czysta nawet w najbardziej upalny letni dzień.

Lilith z zaskoczeniem ujrzała dwoje ludzi, których nie widziała nigdy wcześniej, czerpiących wodę ze studni – żylastą dziewczynę o kruczoczarnych włosach i błyszczących oczach oraz ciemnoskórego chłopaka wygrywającego dziwną melodię na niewielkim flecie z kości.

– Musieliście przybyć z daleka – powiedziała, kołysząc się w rytm melodii. – Nigdy wcześniej nie słyszałam takiej pieśni.

– A jakie jest najdalsze miejsce, które potrafisz sobie wyobrazić? – spytała żylasta dziewczyna, popijając wodę z czerpaka.

Lilith posłała jej spojrzenie.

– Umiem sobie wyobrazić światy stworzone z samej muzyki, w których nasze ciężkie ciała by nie przetrwały.

– Muzyk, tak? – Chłopak wyciągnął do niej flet. – Zobaczmy, jak sobie poradzisz z tym.

Lilith wzięła flet i przyjrzała mu się uważnie, dotknęła palcami otworów. Uniosła go do warg, zamknęła oczy i dmuchnęła.

Zdawało jej się, że dziwna melodia pojawiła się sama z siebie,

jakby jakiś duch oddychał płucami Lilith i poruszał jej palcami. Z początku była zaskoczona, ale po chwili rozluźniła się i podążyła za meandrami melodii. Kiedy skończyła, otworzyła oczy. Obcy patrzyli na nią z otwartymi ustami.

– Ja nigdy... – powiedziała dziewczyna.

– Wiem – zgodził się chłopak.

– O co chodzi? – spytała Lilith. – To z pewnością magiczny flet.

Każdy, kto na nim gra, musi brzmieć w taki sposób.

– I o to właśnie chodzi – wyjaśniła dziewczyna. – Nigdy wcześniej nie spotkał się nikogo poza Rolandem, który w ogóle potrafiłby na nim zagrać.

Roland kiwnął głową.

– Musisz mieć wielką duszę.

Dziewczyna objęła Lilith ramieniem i oparła się o studnię.

– Pozwól, że się przedstawię. Jestem Arriane. Przebyliśmy długą drogę.

– Mam na imię Lilith.

– Lilith, widziałaś może w tych okolicach jasnowłosego chłopaka?

– spytał Roland. – Który pojawił się całkiem niedawno?

– Trochę zadufanego w sobie i próżnego? – dodała Arriane.

– Daniego?

Lilith spojrzała w stronę rzeki na wschodzie, gdzie widziała go po raz ostatni. Szarańczyny kołysały się na wietrze, zrzucając na trawę swoje słodkie nasiona.

– O niego chodzi! – zapiszczała Arriane. – Gdzie go znajdziemy?

– Jest gdzieś w okolicy. I pewnie chodzi za nim Liat.

Roland skrzywił się.

– Naprawdę mam nadzieję, że on ma plan.

Arriane trąciła Rolanda.

– On chciał powiedzieć, że mamy nadzieję, iż z Danim wszystko w porządku... no wiesz, dobrze się miewa. Pośród was i w ogóle. Muszę się napić.

Dziewczyna zanurzyła czerpak i znów pociągnęła łyk.

Lilith popatrzyła na nieznanomych i zmarszczyła czoło.

– Czy wy dwoje jesteście... kochankami?

Arriane gwałtownie wypluła wodę.
– Kochankami? – powtórzył Roland ze śmiechem i podniósł się, żeby usiąść na cembrowinie. – A dlaczego pytasz?
Lilith westchnęła.
– Ponieważ potrzebuję rady.
Roland i Arriane wymienili spojrzenia.
– Wiesz co – powiedział Roland. – Naucz mnie, jak grać tę melodię, a zobaczymy, co da się zrobić.



Lira Lilith leżała na brzegu obok fletu, który z kolei leżał obok większości ubrań, jakie mieli na sobie, kiedy spotkali się przy studni.

Chlapali się w Jordanie, unosili na plecach na powierzchni i patrzyli na promienie słońca odbijające się od wody. Muzyka i rozmowa uczyniły cuda i nieznajomi zostali przyjaciółmi. Lilith bez trudu podzieliła się z nimi wspomnieniem przykrego incydentu z poprzedniej nocy.

– Taki facet – powiedziała Arriane, zanim wypluła wielkim łukiem strumień wody z rzeki. – Traktuj go, jakby nie istniał. Mądra kobieta nie próbuje powstrzymać złego mężczyzny przed zniknięciem.

Roland pozwolił, by prąd zaniósł go bliżej Lilith.

– Tego kwiatu pół świata, a ty na pewno jeszcze sobie znajdziesz innego, więc równie dobrze możesz spróbować o nim zapomnieć.

– Mądre – stwierdziła Arriane. – Bardzo mądre.

Lilith patrzyła, jak słońce odbija się od ramion Rolanda i twarzy Arriane. Nigdy wcześniej nie poznała nikogo takiego jak ta dwójka, może za wyjątkiem Cama.

I wtedy właśnie na brzegu coś zaszeleściło.

– Czyż to nie romantyczne? – spytał ktoś z zarośli.

Cam wyszedł na brzeg i spojrzał na Lilith, marszcząc czoło.

– Wszystkie swoje podboje prowadzisz w to miejsce?

– Zaraz zaraz – odezwała się Arriane. – To jest ten chłopak, o którym rozmawialiśmy?

Lilith była jednocześnie podekscytowana i zawiedziona.

– Znacze go?

– To nie ma nic wspólnego z tobą, Arriane – powiedział Cam.

– Sądziłam, że rozmawiamy o młodzieńcu pełnym głębi i skomplikowanym – odparowała Arriane. – Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy dowiedziałam się, że chodzi o ciebie.

Cam skrzywił się i zanurkował, jego ciało wzniosło się wysoko w powietrze, nim zanurzyło się w wodzie. Kiedy wypłynął, był tak blisko Lilith, że ich twarze niemal się stykały. Wpatrywała się w krople wody na jego górnej wardze. Pragnęła ich dotknąć. Ustami. Była na niego zła, ale gniew ten blakł w obliczu przyciągania.

Wziął ją za rękę. Pocałował jej dłoń.

– Przepraszam za wczoraj.

– Co cię zatrzymało? – spytała cicho, choć dotyk jego warg na skórze sprawił, że już mu wybaczyła.

– Nic, co mogłoby powstrzymać mnie ponownie. Wynagrodzę ci to, obiecuję.

– Jak? – spytała Lilith z zapartym tchem.

Cam uśmiechnął się i spojrział na rzekę, a później na błękitne niebo. Uśmiechnął się do dwójki przyjaciół, którzy kręcili głowami. Później uśmiechnął się do Lilith, kusząco. Tym uśmiechem sprawił, że ich ciała zbliżyły się pod wodą, i zrozumiała, że jej życie zmieni się na zawsze.

– Impreza. – Cam objął ją i zaczął kręcić nią w wodzie. Zawroty głowy były tak oszałamiające, że Lilith nie mogła powstrzymać śmiechu.
– Obiecuj mi, że przyjdiesz.

– Tak – odparła zdyszana. – Przyjdę.

Arriane pochyliła się do Rolanda.

– To się nie skończy dobrze.

OSIEM



GORZKI PŁACZ

CAM
DZIESIĘĆ DNI

– Dzień dobry, uczniowie.

Kolejny ranek. Cam odchylił się do tyłu na krześle, słuchając dochodzącego przez głośniki trzeszczącego głosu dyrektora.

– Na początek dzisiejszych ogłoszeń: drużyna piłki nożnej po lekcjach organizuje zbiórkę pieniędzy w zamian za mycie samochodów. Proszę, pomóżcie im. Jak już wiecie, bilety na bal maturalny są dostępne w bufecie do piątku, a za chwilę ogłoszę kandydatów na króla i królową balu.

Na sali, na której jeszcze przed chwilą panował zgiełk, zapadła cisza. Cam od bardzo dawna nie widział takiego skupienia w grupie nastolatków. Przejmowali się balem. Spojrzał w stronę Lilith i zastanawiał się, czy ona w głębi duszy też się nim przejmuje.

Kiedy Jean Rah poprzedniego dnia powiedział mu, że Lilith zgłosiła się, by zagrać na balu, Cam był tak podekscytowany, że uniósł pięści i podskoczył, na całe trzy sekundy tracąc panowanie nad sobą.

– A niech mnie, stary – powiedział Jean ze śmiechem. – Pamiętasz, że nie jesteś w zespole, prawda?

– Jeszcze nie. – Cam odrzucił włosy na bok.

Jean wzruszył ramionami.

– Pogadaj o tym z szefową. Zemsta to naprawdę zespół Lilith.

– Nie mam nic przeciwko.

Dzisiaj zamierzał ją poprosić – nie tylko o przyjęcie do zespołu, ale także o to, by poszła z nim na bal. Jak na randkę. Poprzedniego dnia

w bufecie, tuż po bójce z Chloe, Lilith jakby złagodniała. Na chwilę dopuściła do siebie Cama, nie odepchnęła go, nawet kiedy odważył się na kilka słodkich słówek.

Żałował, że teraz nie patrzyła mu w oczy, przez całą salę, ale była skupiona na czarnym dzienniku.

– Kandydatki na królową balu – powiedział Tarkenton przez głośniki – to Chloe King, June Nolton, Teresa Garcia i Kara Clark.

Chloe – która miała teraz podgolone boki głowy – natychmiast zerwała się ze swojego miejsca.

– Zniewagi znowu górą.

Chloe i dziewczyny z zespołu objęły się ze śmiechem i łzami, a ich krótkie pastelowe sukienki podjechały wysoko na udach.

Pani Richards przeszła przez salę i rozdzieliła je, prosząc, by wróciły na swoje miejsca.

– Jeśli chodzi o króla balu – powiedział Tarkenton – nominowani są Dean Miller, Terrence Gable, Sean Hsu i Cameron Briel.

Cam skrzywił się, kiedy paru uczniów wokół niego zaczęło gwizdać i klaskać. Lilith oczywiście nie podniosła wzroku.

Cam nie próbował się zaprzyjaźnić z żadnymi uczniami Trumbull poza Lilith i Jeanem. Ta nominacja z pewnością była dziełem Lucyfera – najwyraźniej uznał, że Lilith będzie zdegustowana każdym, kto przejmował się rolą króla balu.

Tarkenton wyliczył następnie obowiązki kandydatów na królową i króla balu, a Cam zaczął się zastanawiać, od ilu głupich spotkań będzie się musiał wymigać w ciągu następnych dziesięciu dni. Wtedy drzwi sali się otworzyły, przyciągając jego uwagę.

Do środka wsunął się Luc, wciąż z tabletem pod pachą, i podszedł do pani Richards. Szepnął jej coś do ucha.

Nauczycielka wskazała na Lilith, co zaniepokoiło Cama, ale wcale go nie zaskoczyło.

– To ona, w drugim rzędzie.

Luc uśmiechnął się z wdzięcznością i podszedł do Lilith, jakby wcale się nie znali.

– Panna Foscor?

– Tak?

Lilith była wyraźnie zaskoczona widokiem wysokiego chłopaka stojącego przy jej biurku. Przykryła to, co pisała w dzienniku.

– To potwierdzenie, że twoje zgłoszenie zostało przyjęte.

Luc upuścił kopertę na jej stoliku.

– Moje zgłoszenie do czego?

Kiedy Lilith rozerwała kopertę, Luc uniósł kciuk do góry w stronę Cama i zniknął za drzwiami sali.

Cam nachylił się, kiedy wyjęła zawartość – jedną kartkę.

Rozpaczliwie pragnął ją przeczytać, by wiedzieć, jak zareagować na traumę, którą szatan z pewnością zgotował Lilith. Pochylił się tak bardzo, że dziewczyna siedząca przed nim obejrzała się przez ramię, zmarszczyła nos i odepchnęła jego stolik kilkanaście centymetrów do tyłu.

– Tylko spróbuj, zboczeńcu. – Wpatrzyła się w jego skórę, plamy na linii włosów. – Fuj. Ile razy oblałeś pierwszą klasę, piętnaście?

Zignorował ją. Patrzył, jak palce Lilith zaczynają drżeć, a krew odpływa z jej policzków. Podniosła się ze swojego miejsca, zabrała rzeczy i wybiegła za drzwi.

Cam ruszył za nią, ignorując panią Richards grożącą zawieszeniem, wyrzuceniem, listem do jego rodziców. Dogonił Lilith na korytarzu i chwycił ją za łokieć.

– Hej...

Odepchnęła jego rękę.

– Cofnij się.

– Co się stało?

– Ostrzegał mnie przed tobą.

– Kto?

– Luc. – Lilith zamknęła oczy. – Jestem taka głupia.

Kiedy podetknęła mu kartkę przed nos, zobaczył, że to wydruk jego maila do Ike'a Ligona, razem z tekstem „Cudzego bluesa”.

Jedynym, czego nie zawierał, był biogram napisany przez Cama, słowa, które doprowadziły go do łez.

– Ukradłeś mój tekst i zgłosiłeś go do konkursu.

Cam odetchnął głęboko.

– To nie takie proste.

– Naprawdę? Przejrzałeś mój dziennik, wziąłeś mój tekst i zgłosiłeś go do konkursu czy nie?

Jak mógł wyjaśnić, że zrobił to, by jej pomóc? Że Lucyfer próbował wbić klin między nich? Patrzył, jak jej twarz wykrzywia odraza.

– Wiem, że postąpiłem źle...

– Jesteś niewiarygodny! – krzyknęła Lilith.

Wyglądała, jakby miała zamiar go udusić. Próbował wziąć ją za rękę.

– Zrobiłem to dla ciebie.

Znów go odepchnęła.

– Nie mów. I przestań mnie dotykać.

Uniósł rękę.

– Wysłałem tekst jako ty, nie jako ja.

– Co takiego?

– Ta piosenka jest genialna. A ty sama nie zamierzałaś się zgłosić do konkursu. To wielka okazja, by twoja muzyka stała się szerzej znana, Lilith. Nie mogłem pozwolić, byś ją przegapiła.

Wpatrywała się w wydruk.

– Luc powiedział...

– Nie słuchaj Luca, dobrze? Celem jego życia jest zwrócenie cię przeciwko mnie.

Lilith zmrużyła oczy.

– A dlaczego niby?

Cam westchnął.

– Trudno to wyjaśnić. Posłuchaj, masz wszelkie prawo być na mnie wściekła, ale proszę, nie pozwól, by to zaszkodziło twojej muzyce. Możesz wygrać, Lilith. Powinnaś wygrać.

Wtedy właśnie Cam uświadomił sobie, jak blisko siebie stoją. Centymetry dzieliły ich ramiona. Słyszał jej oddech. W oczach Lilith było tyle cierpienia. Zrobiłby wszystko, by znów była tą szczęśliwą, wolną od wszelkich trosk dziewczyną, którą kiedyś znał.

– Obiecałeś, że się wycofasz – przypomniała.

Przełknął ślinę.

– Zrobię to. Ale proszę, pomyśl o tym, co powiedziałem. Jesteś

zbyt utalentowana, żeby nie spróbować.

Lilith zarumieniła się i spuściła wzrok jak ktoś nieprzyzwyczajony do komplementów. Widział wszystkie te drobiazgi, które się na nią składały – plamy atramentu na dłoniach, odciski na czubkach palców. Była wielkim talentem, jasną gwiazdą. Jej muzyka była jedynym, co łączyło ją z Lilith, którą pokochał przed tak wielu laty, dlatego musiał ją przekonać, że jego intencje były szczerze, kiedy zgłosił jej tekst do konkursu.

– Lilith – szepnął.

Zadzwoił dzwonek.

Zrobiła krok do tyłu i Cam wiedział, że chwila między nimi już minęła. Jej ciało znów było napięte, a w oczach płonęła nienawiść.

– Dlaczego miałabym przyjmować rady od kogoś, kto zrobiłby coś tak podłego?

Wyrwała mu wydruk i odbiegła w chwili, gdy drzwi się otworzyły i uczniowie wypadli na korytarz.

Cam uderzył głową o szafkę. Raczej nie miał szans, by dziś zaprosić ją na bal maturalny.

– Auć – rzucił od niechcienia Luc, przechodzący obok. – I to właśnie w chwili, kiedy myślałem, że zaczyna cię darzyć cieplejszymi uczuciami. Zupełnie jakby jakaś niewidzialna siła przeszkadzała ci na każdym kroku.

Gardłowy śmiech szatana odbijał się echem w uszach Cama długo po tym, jak Luc zniknął za rogiem.



W porze lunchu Cam dowiedział się od Jeana, który z kolei dowiedział się od Kimi, że na trzeciej lekcji Lilith dostała kolejną wiadomość, tym razem z gabinetu dyrektora i z nieznanych powodów została zwolniona z reszty lekcji. Cam miał na czwartej lekcji jakiś żaloszny test z algebry, ale bez wahania się z niego zerwał.

Wyszedł tylnym wyjściem, wsiadł na motocykl, który zdobył poprzedniego dnia, i ruszył w stronę gorszych dzielnic. Wkrótce pukał do drzwi Lilith. Przed garażem stał podniszczony fioletowy minivan, jego drzwi były otwarte.

- Co, do... – odezwała się Lilith, kiedy otworzyła drzwi.
- Wszystko w porządku?
- Co za głupie pytanie.

Mowa ciała Lilith kazała Camowi trzymać się z dala. Próbował to uszanować, ale było mu ciężko. Z przykrością odbierał wściekłość, którą emanowała za każdym razem, kiedy na niego spoglądała.

A tym razem szczególnie mu przeszkadzała, bo w kieszeni miał bilety na bal maturalny, które kupił dla nich dwojga.

- Chciałem cię o coś zapytać – powiedział.
- Słyszałeś o Zemście. Przyszedłeś spytać, czy możesz być w zespole.

Nie mógł pozwolić, by jej bezpośredniość zbiła go z tropu. Zamierzał zrobić to spokojnie, bez naciskania, może nawet spróbować odrobiny romantyzmu, jak planował.

- Przede wszystkim chciałem ci powiedzieć, jak bardzo mnie cieszy, że zgłosiłaś się, żeby zagrać na balu...

- Czy moglibyśmy nie nazywać tego balem?

– Chcesz nadać inną nazwę balowi maturalnemu? Dla mnie żaden problem, ale w Trumbull mogłoby to wywołać zamieszki. Te dzieciaki są naprawdę podekscytowane. „Tylko dziesięć dni do najwspanialszej nocy naszego życia” i inne takie.

- Skreślą cię z listy kandydatów na króla balu, jeśli przyłapią cię na sztydzeniu z niego. To herezja – zauważyła Lilith.

Cam się uśmiechnął. Czyli jednak słuchała, kiedy ogłoszono jego imię.

- Czy to wszystko, co muszę zrobić, żeby zostać skreślonym z listy kandydatów na króla balu? Ale chwileczkę, przecież mieliśmy nie nazywać go balem.

Lilith zastanawiała się przez chwilę.

- Żebyśmy mieli jasność, idę, bo chcę zagrać i posłuchać Czterech Jeźdźców, nie dlatego, że chcę przypiąć wymarzony bukiet albo włożyć długą suknię z żurawinowej satyny.

- Mam szczerą nadzieję. Żurawina jest już niemodna.

Przez chwilę wydawało się, że Lilith się uśmiechnie, jednak jej oczy zaraz znów spochmurniały.

– Jeśli nie przyszedłeś w sprawie zespołu, to dlaczego tu jesteś?
Poproś ją. Na co czekasz? Miał bilety w kieszeni, ale z jakiegoś powodu zamarł. Atmosfera nie była odpowiednia. Nie zgodziłaby się. Powinien poczekać.

Po chwili niezręcznej ciszy Lilith przeszła obok niego i ruszyła przez trawnik w stronę minivana. Zajrzała do środka przez otwarte okno, pociągnęła za dźwignię i cofnęła się, gdy na podjazd opuścił się metalowy podest.

Na ganku pojawiła się matka Lilith. Na pomalowanych różową szminką ustach kobiety malował się szeroki uśmiech, który ani trochę nie ukrywał wyczerpania w oczach. Jej uroda przygasła, ale Cam widział, że w młodości była oszałamiająca, tak samo jak Lilith.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała Cama.

Cam otworzył usta, ale Lilith mu przerwała.

– To kolega ze szkoły. Zajrzał, żeby przywieźć mi pracę domową.

– Obawiam się, że szkoła musi poczekać. Teraz potrzebuję twojej pomocy z Bruce'em.

Wróciła do środka, a po chwili pojawiła się znowu, popychając wózek inwalidzki, na którym siedział Bruce. Drżał i wydawał się bardzo słaby. Kaszlał w ścierkę do naczyń, a jego oczy łzawiły.

– Cześć, Cam – powiedział Bruce.

– Nie wiedziałem, że twój brat choruje.

Lilith zbyła go wzruszeniem ramion, podeszła do Bruce'a i przeczesała jego włosy palcami.

– A teraz już wiesz. Czego chcesz, Cam?

– Ja...

– Nieważne. Ze wszystkich powodów, jakie mógłbyś mieć, żeby tu przyjść, żaden w tej chwili się nie liczy.

Cam musiał się z nią zgodzić. Ale co miał zrobić – rozwinąć skrzydła i powiedzieć jej prawdę, że jest upadłym aniołem, który kiedyś złamał jej serce tak bardzo, że nigdy nie wróciła do siebie? Że szatan skazał ją na tysiąclecia w kolejnych piekłach? Że jej wściekłość na Cama sięgała o wiele głębiej niż złość z powodu ukradzonego tekstu piosenki? Że utraci wszystko, jeśli nie odzyska jej miłości?

– Lilith, czas jechać.

Matka, pociągnęła za dźwignię i ruszyła w stronę siedzenia kierowcy.

Kiedy wózek inwalidzki wjeżdżał na tył minivana, Bruce spojrzał Camowi w oczy i zaskoczył go mrugnięciem, jakby chciał powiedzieć „Nie traktuj wszystkiego tak poważnie”.

– Do widzenia, Cam. – Lilith zamknęła tylne drzwi za bratem i sama przeszła na stronę pasażera.

– Dokąd jedziecie? – spytał.

– Na ostry dyżur – zawołała Lilith przez okno.

– Pozwólcie, że pojedę z wami. Mogę pomóc...

Ale samochód z Lilith i resztą jej rodziny już cofał się po podjeździe.

Cam zczekał, aż minivan zniknie za rogiem, po czym znów rozwinął skrzydła.

Słońce już zachodziło, kiedy w końcu odnalazł ich na ostrym dyżurze. Lilith i jej matka spały na korytarzu, siedziały na poplamionych pomarańczowych krzeselkach i opierały się o siebie. Przez chwilę przyglądał się Lilith, zadziwiony jej urodą i spokojem.

Zaczekał, aż ochroniarz zejdzie ze stanowiska, i prześlizgnął się do części dla pacjentów. Zajrzał za kilka parawanów, nim znalazł chłopca, siedzącego na kozetce bez podkoszulka, z rurkami z tlenem w nosie i kroplówką podłączoną do ramienia. Na białej tablicy nad jego głową ktoś napisał niebieskim markerem „Bruce”.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział chłopiec, nie odwracając się.

– A skąd miałbyś to wiedzieć?

– Bo kochasz moją siostrę.

Cam wziął Bruce’a za rękę i nagle uświadomił sobie, że robi to nie tylko dla chłopca, ale i dla siebie. Uderzyło go, że od chwili, kiedy wkroczył do Piekieł Lilith, nie widział żadnej przyjaznej twarzy. Przez cały czas się męczył, nie widział, żeby robił jakiegokolwiek postępy, a nikt nie dodawał mu otuchy. Z wdzięcznością ścisnął dłoń chłopca.

– Kocham ją – powiedział, zagłuszając ciche buczenie maszyn, do których podłączono Bruce’a. – Kocham ją bardziej niż cokolwiek, gdziekolwiek, w tym świecie i poza nim.

– Spokojnie, mówisz w końcu o mojej siostrze.

Bruce uśmiechnął się słabo. Na chwilę jego oddech się zatrzymał. Cam miał już zawołać pielęgniarkę, kiedy pierś chłopca znów zaczęła rytmicznie unosić się i opadać.

– Tylko żartowałem. Cam?

– Tak?

– Myślisz, że pożyję dość długo, żeby też coś takiego do kogoś poczuć?

Cam musiał odwrócić wzrok, bo nie mógł okłamać Bruce'a, że tak, pewnego dnia pokocha dziewczynę równie mocno, jak Cam kocha Lilith. Za półtora tygodnia z tego świata nic nie pozostanie. Niezależnie od tego, jakiego wyboru dokona Lilith i jak rozegra się zakład Cama i Lucyfera, Bruce i wszystkie inne smutne dusze z Crossroads najpewniej zostaną ponownie wykorzystane w innych karach.

Mimo to Cam zapragnął dać chłopcu jakieś pocieszenie w tym krótkim czasie, który mu pozostał. Poczul gułę w gardle i pieczenie skrzydeł na łopatkach. W jego głowie pojawił się pomysł. Był ryzykowny, ale też Cam miał skłonności do ryzyka.

Spojrzał na chłopca, który wyglądał przez okno. Pewnie zostało im tylko kilka minut, zanim do środka zajrzy pielęgniarka, Lilith albo jej matka.

Odetchnął głęboko, zamknął oczy, odchylił głowę i rozłożył skrzydła. Zwykle rozkładał je z rozkosznym zapamiętaniem, ale tym razem bardzo się pilnował, by nie uderzyły w żaden z medycznych sprzętów stabilizujących stan Bruce'a.

Kiedy Cam otworzył oczy, zobaczył, że jego skrzydła wypełniają niewielką oddzieloną parawanami przestrzeń, a ściany migocą złocistym blaskiem. Bruce wpatrywał się w niego z wielkim szacunkiem i tylko odrobiną strachu. Anioł w pełnej chwale był jedną z najbardziej niewiarygodnych rzeczy, jakie mógł zobaczyć śmiertelnik – a Cam wiedział, że tym razem jest to wyjątkowo niezwykle, gdyż poza Lilith Bruce nie widział w swoim życiu wiele piękna.

– Jakies pytania? – spytał Cam. Uznał, że powinien dać dzieciakowi chwilę na zebranie myśli.

Chłopiec lekko pokręcił głową, ale nie krzyknął i nie stanął

w płomieniach. Dobrze, że Bruce był dzieckiem, a jego serce i umysł wciąż pozostawały otwarte na możliwość istnienia aniołów. Na to liczył Cam. Teraz mógł zrobić następny krok.

Przeciągnął dłońmi po wewnętrznej stronie skrzydeł, zaskoczony, że jego nowe białe pióra są inne w dotyku niż te złote. Były grubsze, mocniejsze i, jak sobie uświadomił, doskonałe do tego, co zamierzał zrobić.

Krzywiąc się, wyrwał jedno pióro. W jego dłoni urosło do trzydziestu centymetrów, a było przy tym delikatne jak pocałunek. Zwano je „proporcem”. U nasady pióra, na samym końcu dudki, wisiała pojedyncza kropla opalizującej krwi. Nie dało się ocenić jej koloru, ponieważ była w każdym odcieniu jednocześnie.

– Potrzyмай to.

Podał pióro Bruce’owi, dudką do góry.

– O rany – szepnął chłopiec, przeciągając palcami wzdłuż miękkich białych krawędzi.

Cam podszedł do kroplówki, do której podłączono Bruce’a. Wyciągnął rurkę z butelki i sięgnął po proporec. Zanurzył koniec pióra w kroplówce i patrzył, jak przezroczysty płyn przez chwilę opalizuje milionami barw, zanim anielska krew do końca się w nim rozpuściła. Znowu podłączył rurkę i oddał pióro Bruce’owi. Już go nie potrzebował.

– Czyżbyś właśnie uratował mi życie?

Bruce schował pióro pod poduszkę.

– Na dzisiaj. – Cam próbował mówić z większym entuzjazmem, niż czuł. Złożył skrzydła i ukrył je.

– Dzięki.

– To nasza tajemnica?

– Pewnie – odparł Bruce.

Cam ruszył do drzwi.

– Hej, Cam – zawołał chłopiec cicho, kiedy Cam zamierzał wyjść na korytarz.

– Tak?

– Nie mów jej, że ci to powiedziałem – szepnął chłopiec – ale powinienes powiedzieć Lilith, że ją kochasz.

– Ach tak? A dlaczego?

– Bo myślę, że ona też cię kocha.

DZIEWIĘĆ



KOCHAĆ BARDZIEJ

LILITH *DZIEWIĘĆ DNI*

Następnego ranka przed lekcjami Zemsta spotkała się w sali prób. Kiedy Lilith weszła na salę, trzymając kserokopie swojej najnowszej piosenki „Latając do góry nogami”, Jean wypróbował nowe riffy na syntezatorze, a Luis wyżerał chrupki Doritos z przerośniętej paczki. Wyciągnął ją w stronę Lilith i potrząsnął.

Machnęła ręką.

– Zazwyczaj staram się, żeby nie przyjmować pierwszej dawki sztucznego sera przed dziewiątą rano.

– To pokarm dla mózgu, Lilith – nalegał Luis. – Poczęstuj się.

Jean podszedł i wziął garść chipsów, po czym zabrał się do ustawiania mikrofonu Lilith.

– On ma rację – powiedział z pełnymi ustami.

Lilith poddała się i wzięła chipsa. Była zaskoczona tym, jak pyszny się wydawał. Wzięła drugiego, a później trzeciego.

– Teraz jesteś gotowa dać czadu – stwierdził Luis, kiedy zjadła kilka garści, i miał rację. Nie była już tak głodna i poirytowana.

Uśmiechnęła się do niego.

– Dzięki.

– Żaden problem. – Wskazał głową na jej strój. – Niezłe ciuchy.

Lilith spojrzała na swoją sukienkę. Tego ranka, po raz pierwszy, od kiedy pamiętała, nie miała ochoty włożyć niczego czarnego. Splądrowała szafę matki, w której znalazła obcisłą białą sukienkę w duże zielone grochy, z szerokim paskiem z fioletowej skóry. Zatrzymała się przed

dużym lustrem matki i z zaskoczeniem stwierdziła, że zestaw ten wygląda doskonale z jej zużytymi ciężkimi butami, a zieleń sukienki podkreśla rudy odcień włosów.

Kiedy weszła w tym stroju do kuchni, Bruce podniósł wzrok znad słodkiego tosta i zagwizdał.

Lilith wciąż nie wiedziała, co się dokładnie stało, ale Bruce został szybko wypisany ze szpitala, a kiedy wieczorem wrócili do domu, twierdził, że czuje się lepiej niż kiedykolwiek. Lekarz nie umiał wyjaśnić, dlaczego jej brat zaczął oddychać normalnie, mógł jedynie stwierdzić, że Bruce dawno nie był w tak dobrym stanie.

– Ile razy mam ci powtarzać, że moja garderoba nie jest twoim placem zabaw? – spytała matka, choć Lilith nigdy wcześniej nie splądrowała jej szafy.

Odstawiła kawę i podwinęła rękawy żółtego swetra – tego, o którego kradzież oskarżyła Lilith, a który znalazła na dnie komody.

– Ta sukienka zawsze mi się na tobie podobała – powiedziała Lilith zupełnie szczerze. – Mogłabym ją pożyczyć? Tylko dzisiaj. Będę ostrożna.

Wargi matki zadrzały i Lilith wiedziała, że zaraz usłyszy coś obelżywego, ale może komplement wytrącił Janet z równowagi – zamiast zaatakować, matka przyjrzała się Lilith uważnie i sięgnęła po torebkę.

– Będzie wyglądać jeszcze lepiej, kiedy nałożysz na wargi trochę koloru.

Podawała Lilith matową różową pomadkę.

Teraz, w sali prób, Lilith bardzo się pilnowała, żeby nie pomazać szminką mikrofonu. Zaczekała, aż Jean da sygnał, i zaczęła śpiewać nową piosenkę. Była zdenerwowana, więc zamknęła oczy i pozwoliła, by rytm Luisa i psychodeliczne akordy Jeana dochodziły do niej z ciemności.

Łatwo było jej sobie wyobrazić, jak powinna brzmieć piosenka, kiedy była sama w swoim pokoju, pisała teksty i wymyślała melodie. Ale teraz, gdy śpiewała ją przed ludźmi, czuła się odsłonięta. A jeśli im się nie podobało? Jeśli była do niczego?

Głos jej zadrzał. Miała ochotę przerwać i wybiec z sali.

Otworzyła oczy i spojrzała na Luisa, który skinął jej głową, a na twarzy miał szeroki uśmiech. Jego pałeczki przeskakiwały między werblem a talerzami. Jean przejął grę na gitarze, wygrywał nuty, z których każda zdawała się mieć swoją historię.

Lilith poczuła nagły przypływ energii. Zespół, który przed dwoma dniami jeszcze nie istniał, znalazł bogaty i zmienny dźwięk. Nagle zaczęła śpiewać swoją piosenkę jakby czuła, że jest godna widowni. Nigdy nie śpiewała tak głośno ani tak swobodnie.

Luis też to czuł. Zakończył piosenkę głośnym waleniem w perkusję.

Kiedy wszystko się skończyło, patrzyli po sobie z podobnymi minami – uśmiechniętymi i nieco oszołomionymi.

– Magiczne doritos. – Luis z szacunkiem wpatrzył się w torebkę. – Muszę sobie zrobić zapas przed balem.

Lilith się roześmiała, ale wiedziała, że chodziło o coś więcej niż Doritos. O całą ich trójkę czującą się swobodnie w muzyce, nie tylko jako zespół, ale i przyjaciele. I chodziło o nią samą, a zmiana ta pojawiła się poprzedniego dnia, wraz ze świadomością, że Bruce poczuł się lepiej.

Po wizycie w szpitalu matka Lilith zaproponowała, żeby poszli we trójkę na pizzę, co zdarzało się nie częściej niż raz albo dwa razy do roku. Zjedli razem dużą pepperoni z oliwkami i śmiali się, grając na starym fliperze.

Kiedy Lilith kładła Bruce'a spać, oparł głowę na poduszce i powiedział:

– Cam jest bardzo w porządku.

– O czym ty mówisz?

Bruce wzruszył ramionami.

– Odwiedził mnie w szpitalu. Pocieszył mnie.

Instynktownie chciała się rozzłościć na Cama za to, że bez jej wiedzy odwiedził jej brata. Ale jeszcze przez chwilę siedziała na jego łóżku i patrzyła, jak zasypia, a on wydawał się taki spokojny i tak bardzo nie przypominał chorego chłopczyka, którego znała, że Lilith mogła poczuć jedynie wdzięczność za to, co zrobił Cam.

– Jaką piosenkę chcesz teraz zagrać, Lilith? – spytał Jean. – Musimy dać się ponieść tej fali.

Lilith myślała przez chwilę. Chciała popracować nad „Cudzym bluesem”, ale myślenie o nim i o tym, co zrobił Cam z tekstem, wciąż bolało.

– Możemy spróbować... – zaczęła mówić, ale przerwały jej trzy głośne stuknięcia do drzwi. – Co to?

– Nic takiego! – odparł Luis. – Grajmy dalej.

– Może to Tarkenton – zauważył Jean. – Nie powinno nas tu być. Znowu zabrzmiało pukanie, ale tym razem nie od strony drzwi.

Dochodziło z zewnątrz. Okno.

– Kolesi! – odezwał się Jean. – To Cam.

Chłopcy podbiegli, by otworzyć okno, ale Lilith się odwróciła. Twarz Cama była ostatnim, co chciała zobaczyć. Uczucie, które wypełniało ją jeszcze przed chwilą, kiedy grała swoją muzykę, było proste i dobre. Uczucia, które wywoływał w niej widok Cama, były tak skomplikowane, że nie wiedziała, od czego zacząć. Pociągał ją. Była na niego wściekła. Była mu wdzięczna. Nie ufała mu. A trudno było czuć aż tyle do jednej osoby.

– Co ty tu robisz? – spytał Luis. – Jesteśmy na piętrze.

– Próbuję zgubić Tarkentona. Chce mojej głowy za to, że opuściłem kolejne spotkanie kandydatów na króla i królową balu.

Lilith nie mogła się powstrzymać – zachichotała na myśl o Camie biorącym udział w tych spotkaniach z tymi wszystkimi nadętymi dzieciakami. Kiedy przypadkiem napotkała jego wzrok, uśmiechnął się do niej i wyciągnął rękę, a ona, zanim zorientowała się, co właściwie robi, podeszła bliżej, by pomóc mu wejść przez okno.

Stał w środku, ale nie puszczał jej ręki, co więcej, uściśnął ją. Poczula dreszcz, choć nie wiedziała dlaczego. Cofnęła dłoń, ale najpierw spojrzała na Jeana i Luisa, zastanawiając się, co pomyślą o Camie, stojącym jak jakiś świr i trzymającym ją za rękę. Ale oni w ogóle na nich nie patrzyli. Wrócili do syntezatora Jeana i razem pracowali nad nowym rytmem.

– Cześć – szepnął Cam, kiedy oboje pozostali mniej więcej sami.

– Cześć. – Dlaczego czuła się tak niezręcznie? Spojrzała na Cama i przypomniała sobie, co chciała powiedzieć. – Mój brat był szesnaście razy w szpitalu. Nigdy wcześniej nie odwiedził go nikt poza mamą

i mną. – Zawahała się. – Nie wiem, dlaczego to zrobiłeś...

– Lilith, pozwól, że wyjaśnię...

– Ale dziękuję. Poprawiło mu to humor. Co mu powiedziałaś?

– Właściwie to rozmawialiśmy o tobie.

– O mnie?

– To nieco zawstydzające. – Cam uśmiechnął się do niej, jakby wcale nie był zawstydzony. – Domyślił się, że cię lubię. Jest wobec ciebie bardzo opiekuńczy, ale staram się, żeby mnie nie przestraszył.

Cam ją lubił? Jak mógł mówić takie rzeczy, jakby to nie było niczym wielkim? Słowa spływały z jego języka z taką łatwością, że zastanawiała się, ilu dziewczętom powiedział je wcześniej. Ile serc złamał.

– Nadal mnie słuchasz? – Cam zamachał ręką przed jej twarzą.

– Tak. No... nie lekceważ Bruce'a. Mógłby ci skopać tyłek.

Cam uśmiechnął się.

– Cieszę się, że poczuł się lepiej.

– To jak cud – powiedziała, bo tak właśnie było.

– Ziemia do Lilith. – Głos Luisa wydawał się zniekształcony przez mikrofon, który Jean podłączył do mooga. – Za piętnaście minut dzwonek. Mamy czas na jeszcze jedną piosenkę i musimy ustalić termin następnej próby.

– A skoro o tym mowa. – Cam podrapał się po głowie. – Macie może miejsce w tym zespole dla gitarzysty, który dobrze sobie radzi z akordami tercjowymi?

– No nie wiem, stary. – Jean uśmiechnął się szeroko. – Jesteś niezły, ale o ile mi wiadomo, nasza wokalistka cię nie cierpi. Zachowałeś się jak dupek, kiedy ukradłeś jej dziennik.

– Nawet jeśli to oznacza, że Lilith wygra konkurs na tekst piosenki – dodał Luis. – Osobiście sędzę, że to było mistrzowskie posunięcie.

Lilith go walnęła.

– Ty się trzymaj od tego z dala.

– Że co? – spytał Luis. – Przyznaj się, Lilith. Gdyby nie Cam, sama nigdy nie zgłosiłabyś się do konkursu. Jeśli wygrasz, zespół zdobędzie rozgłos.

– Cóż mogę powiedzieć? – Cam wzruszył ramionami. – Wierzę

w Lilith.

Ostatnie zdanie wypowiedział równie łatwo, jak to, że ją lubił, ale zabrzmiało inaczej, było łatwiejsze do przełknięcia, jakby nie tylko próbował wkraść się w jej łaski. Jakby szczerze w nią wierzył. Zarumieniła się, kiedy Cam pochylił się i podniósł jedną z kserówek, które przyniosła dla Luisa i Jeana. Przeczytał tekst „Latania do góry nogami”, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– To nowy tekst?

Lilith zamierzała wspomnieć o kilku zmianach, które chciała wprowadzić, ale Cam zaskoczył ją, mówiąc:

– Podoba mi się. Nie zmieniaj ani słowa.

– Och.

Cam odłożył kartkę, otworzył torbę i wyjął z niej duży okrągły przedmiot owinięty w szary papier.

– Czy to głowa Tarkentona? – spytał Luis.

Cam spojrzał na młodego perkusistę.

– Masz chore poczucie humoru. Podoba mi się. Możesz zostać w zespole.

– Brachu, jestem jednym z jego założycieli. A ty?

– Najlepszym gitarzystą jakiego widziała ta szkoła. – Jean spojrzał na Lilith i wzruszył ramionami. – Nie obraż się, ale on naprawdę mógłby uzupełnić nasze brzmienie.

– W takim razie może głosowanie? – zaproponował skwapliwie

Cam. – Kto jest za tym, żeby przyjąć mnie do Zemsty?

Trzej chłopcy podnieśli ręce.

Lilith przewróciła oczyma.

– To nie demokracja. Ja nie... ja nie...

– Nie masz żadnego dobrego powodu, żeby się sprzeciwić?

Cam mówił prawdę. Nie miała. Miała za to mnóstwo głupich powodów, żeby kazać mu wyjść z próby i odejść na zawsze. Ale żadnego uzasadnionego.

– Okres próbny – wykrztusiła w końcu przez zaciśnięte zęby. – Jedna próba. Później podejmę ostateczną decyzję.

– Zgoda – stwierdził Cam.

Lilith zerwała szary papier z tajemniczego przedmiotu – i odkryła,

że trzyma błyszczącą dyskotekową kulę. Migotała nawet w przyćmionym świetle sali prób. Spojrzała na Cama i przypomniała sobie, że kiedy po raz pierwszy powiedziała, że chciałaby nazwać swój zespół Zemsta, on się roześmiał i powiedział, że będą potrzebować dużego syntezatora i kuli dyskotekowej. Jean zapewnił mooga, a teraz Cam przyniósł kulę.

– Możemy przestać się gapić na to coś i zagrać? – spytał Luis.

Cam wyciągnął gitarę z magazynka i mrugnął do Lilith. Znów to irytujące mrugnięcie, ale... tym razem tak bardzo jej nie przeszkadzało.

– Dajmy czadu.



– Stoisz mi na drodze, suko – powiedziała Chloe King.

Lilith po raz pierwszy nie mogła się doczekać lunchu na stołówce, bo miała z kim siedzieć. Ze swoim zespołem.

Zapomniała o Chloe.

– Podziwiałam twój nowy tatuaż.

Lilith wskazała głową na pierś Chloe, którą zdobił nowiutki tatuaż.

Otoczająca go skóra wciąż była czerwona i opuchnięta, ale dziewczyna rozpoznała niewyraźny podpis Ike'a Ligona tuż nad głębokim dekoltem koszulki. Uważała, że tatuaż jest brzydki, ale i tak poczuła ukłucie zawiści. Nie miała pieniędzy na tak oczywiste podlizywanie się Czterem Jeźdźcom. Ledwie ją było stać na kanapkę z indykiem, która spoczywała na jej tacy.

Pozostałe trzy dziewczyny z Rzekomych Zniewag stanęły za Chloe. Kara założyła ręce na piersi, a w brązowych oczach Teresy malowała się złość, jakby miała ochotę rzucić się na Lilith, gdyby ta znów zaatakowała Chloe. June jako jedyna nie przykładała się do bycia stereotypową wredną dziewczuchą i w zamyśleniu skubała rozdwojone końce włosów.

Chloe uniosła rękę, by zatrzymać Lilith.

– Jeśli możesz odczytać mój tatuaż, to jesteś za blisko. Po tym, co ostatnio zrobiłaś, powinnam ci załatwić zakaz zbliżania się do mnie.

Część Lilith pragnęła rzucić na ziemię tacę i wyrwać tatuaż Chloe razem ze skórą.

Ale to była mniejsza, cichsza część jej osoby. Większą część Lilith zajmowało rozmyślanie o zespole – zmianach, które chciała wprowadzić w jednym refrenie, solówce na perkusji, do której chciała zmusić Luisa, a nawet – musiała to przyznać – pytaniu, które chciała zadać Camowi na temat jego techniki gry na gitarze. Po raz pierwszy miała w sobie zbyt wiele dobrych myśli, by dać się opanować wściekłości.

„Wierzę w Lilith”, powiedział wcześniej Cam w sali prób. Te słowa z nią zostały. Może nadszedł czas, by sama zaczęła wierzyć w siebie.

– Z ciebie to serio jest sukowaty błazen, Lilith – powiedziała Chloe. – Zawsze był i zawsze będzie.

– A co to w ogóle znaczy? Nieważne. – Lilith przełknęła ślinę. – Przepraszam, że wyrwałam ci włosy. Myślałam, że bronię brata, ale zachowałam się jak dupek.

Kara trąciła June, która przestała skubać włosy i popatrzyła na resztę dziewcząt.

– Wiem. – Chloe wydawała się oszołomiona. – Dziękuję, że to powiedziałaś.

Po chwili przywołała przyjaciółki, skinęła głową Lilith i wyszła z bufetu, pozwalając dziewczynie nacieszyć się nowym doświadczeniem – zjedzeniem w spokoju lunchu.



Kiedy Lilith po lunchu zajrzała do wychowawczynie, pani Richards ostrożnie podniosła wzrok znad komputera.

– Twoje pozostanie po lekcjach nie podlega negocjacom, panno Foscor.

– Nie przyszłam tu, żeby próbować się wymigać. – Lilith przyciągnęła sobie krzesło. – Przyszłam, żeby przeprosić za uciezki z lekcji, częste spóźnienia i ogólnie bycie uczniem, jakiego nie chciałby mieć żaden nauczyciel.

Pani Richards zamrugnęła i zdjęła okulary.

– Co sprawiło, że twoje nastawienie tak się zmieniło?

Lilith nie wiedziała, od czego zacząć. Bruce wrócił do szkoły. Matka traktowała ją jak człowieka. Czuła się dobrze z zespołem.

Spróbowała nawet pogodzić się z Chloe King. Szło tak dobrze, że nie chciała, żeby przestało.

– Mój brat dużo choruje – powiedziała.

– Jestem tego świadoma. Jeśli potrzebujesz zwolnienia z lekcji albo dodatkowego czasu na przygotowanie prac domowych, nauczyciele mogą ci w tym pomóc, ale musisz dostarczyć zaświadczenia podpisane przez matkę albo lekarza. Nie możesz tak po prostu uciekać z lekcji, kiedy przyjdzie ci ochota.

– Wiem. Pomyślałam, że mogłaby mi pani z czymś pomóc. Widzi pani, Bruce czuje się lepiej, a ja chciałabym, żeby tak zostało. Pani wie sporo o środowisku i pomyślałam, że może mogłaby mi pani podpowiedzieć, jakie zmiany mogłabym wprowadzić w domu.

Spojrzenie pani Richards złagodniało, kiedy patrzyła na Lilith.

– Głęboko wierzę, że możemy zmienić świat na lepsze, ale niektóre rzeczy pozostają poza naszą kontrolą, Lilith. Wiem, jak chory jest Bruce. Po prostu nie chciałabym, żebyś spodziewała się cudów. – Uśmiechnęła się, a Lilith widziała, że nauczycielce jest szczerze przykro z jej powodu.

– Oczywiście nie zaszkodzi, jeśli pozbędziesz się z domu żrących środków czystości i zaczniesz gotować porządne, zdrowe posiłki dla całej rodziny. Domowy rosół. Zielone warzywa bogate w żelazo. Takie rzeczy.

Lilith kiwnęła głową.

– Zrobię to. – Nie wiedziała, skąd weźmie pieniądze. Dla jej matki chińska zupka była porządnym, zdrowym posiłkiem. Ale postanowiła, że znajdzie sposób. – Dziękuję.

– Nie ma za co – powiedziała pani Richards, kiedy Lilith ruszyła w stronę drzwi, śpiesząc się na historię. – Dziś i tak musisz zostać po lekcjach. Ale może postaramy się, żeby to był twój ostatni raz.



Kiedy Lilith wyszła w końcu ze szkoły, wielki parking dla uczniów był pusty, przez co okolica robiła nieco upiorne wrażenie. Popiół zbierał się jak szary śnieg przy krawężniku, a Lilith zastanawiała się, czy kiedykolwiek zobaczy prawdziwy śnieg i poczuje jego smak. Idąc w stronę wyjścia ze szkoły, założyła słuchawki, żeby posłuchać starych

piosenek Czterech Jeźdźców o złamanym sercach i straconych marzeniach.

Przyzwyczała się, że jest jednym z ostatnich uczniów wychodzących ze szkoły – kara kończyła się już po zakończeniu treningu piłkarzy nożnych i prób chóru – ale nigdy tak naprawdę się nie zatrzymywała, żeby rozejrzeć się dookoła, kiedy opuszczała teren szkoły. Ostry wiatr zerwał ze ścian kilkanaście plakatów kandydatów na królów i królowe balu. Kłębiły się na chodniku jak opadłe liście o twarzach jej kolegów i koleżanek.

Słońce zachodziło, ale wciąż było gorąco, pożary lasów na wzgórzach szalały bardziej niż zwykle. Lilith zbliżyła się do kępy drzew przy zejściu nad strumień. Od kilku dni nie odwiedzała swojej kryjówki, a potrzebowała spokojnego miejsca, by przed powrotem do domu pouczyć się do testu z biologii.

Usłyszała szelest wśród drzew i rozejrzała się dookoła, ale nikogo nie zobaczyła. Później usłyszała głos:

– Wiedziałem, że nie uda ci się powstrzymać.

Między dwoma szarańczynami pojawił się Luc. Założył ręce na piersi i spoglądał w górę, na widoczne między gałęziami zadymione niebo.

– Nie mogę teraz rozmawiać – stwierdziła Lilith.

W tym stażycie było coś dziwnego. Nie chodziło jedynie o bolesne wspomnienie otwarcia tej koperty i zobaczenia w środku maila ze swoimi tekstami. Dlaczego ciągle kręcił się wokół Trumbull? Staż z pewnością nie wymagał jego ciągłej obecności.

– Nie zabiorę ci dużo czasu. – Luc się uśmiechnął. – Właśnie rozmawiałem z Ikiem Ligonem i pomyślałem, że nasza rozmowa mogłaby cię zainteresować.

Lilith nieświadomie zrobiła krok w stronę Luca.

– Jak wiesz, Czterej Jeźdźcy przyjeżdżają, żeby zagrać na balu maturalnym i oceniać występy podczas Bitwy Zespołów. Wiem, że wszystkie modne dzieciaki idą później na imprezę Chloe, ale...

– Nie wybieram się na imprezę Chloe.

– Dobrze. – Luc znów się uśmiechnął. – Bo pomyślałem, że później zaproszę do siebie parę osób. To będzie kameralne spotkanie.

Chciałabyś przyjść?

– Nie, dzięki...

– Ike Ligon tam będzie.

Lilith odetchnęła głęboko. Jak mogła nie skorzystać z okazji spotkania z Ikiem Ligonem? Mogłaby go spytać, skąd brał pomysły na piosenki, jakie było jego podejście do pisania muzyki... to by było jak przyspieszony kurs na gwiazdę rocka.

– W porządku.

– Świetnie. Ale tylko ty. Nie Cam. Słyszałem, że przyjęłaś go do zespołu. Osobiście uważam to za błąd, który może źle wpłynąć na twoją karierę.

– Jasne, nie cierpisz Cama, rozumiem.

Lilith zastanawiała się, skąd Luc wiedział. Wszystko wydarzyło się tego ranka, a on nawet nie chodził z nimi do szkoły.

– On ma określoną reputację. Nie jest nowicjuszem. Zdarzały mu się też upadki. Zresztą popatrz tylko na niego. Znasz to powiedzenie „żyj szybko, umieraj młodo i pozostaw po sobie przystojnego trupa”? Sądzę, że Cam udowadnia fałszywość tych słów. Jego grzechy się na nim odbijają... nawet wygląda na grzesznika.

– Jak słyszałam, wygląd jest powierzchowny.

– Biorąc pod uwagę skórę Cama, mam nadzieję, że to prawda. – Luc się roześmiał. – Do King Media doszło również, że Cam wysłał twoje teksty na konkurs. Jeśli zrobił to bez twojej zgody, byłaby to podstawa do dyskwalifikacji.

– Nic się nie stało. – Lilith uświadomiła sobie, że nie chce zostać zdyskwalifikowana. – On, no, miał moją zgodę. Mogę cię o coś spytać?

Luc uniósł brew.

– Co tylko chcesz.

– Wydaje mi się, że dobrze znasz Cama. Co się między wami wydarzyło?

Luc przeszył Lilith wzrokiem, a jego głos stał się lodowaty.

– On sądzi, że jest wyjątkiem od każdej reguły. Ale niektóre reguły muszą być przestrzegane, Lilith.

Przełknęła ślinę.

– Brzmisz, jakbyście naprawdę znali się od bardzo dawna.

– Przeszłość jest przeszłością. – Głos Luca znów złagodniał. – Ale jeśli obchodzi cię twoja przyszłość, powinnaś wyrzucić Cama z zespołu.
– Dzięki za radę.

Lilith zostawiła Luca i zanurkowała pod gałęziami. Odnalazła swoje ulubione miejsce nad strumieniem. Kiedy zbliżyła się do szarańczynu, ujrzała coś niezwykłego – obok stał staromodny sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem, podrapany i podniszczony. Miał masywną ramę z kutego żelaza i musiał ważyć tonę. Kto go tu przyniósł? I jak? Kimkolwiek był, rozrzucił na jego blacie płatki kosaćców.

Lilith od dziecka uwielbiała kosaćce, choć widziała jedynie ich zdjęcia w internecie. Wiele razy odwiedzała jedyną kwiaciarnię w Crossroads, Kay's Blooms, żeby kupić bukiet żółtych goździków – ulubionych kwiatów Bruce'a – kiedy brat źle się czuł. Kwiaciarnia należała do pana Kaya i jego synów, a od śmierci pani Kay sprzedawała jedynie najbardziej popularne kwiaty. Czerwone róże, goździki, tulipany. Lilith nigdy nie widziała u nich nic tak egzotycznego jak kosaćce.

Przez chwilę podziwiała żółto-niebieskie kwiaty, po czym ostrożnie usiadła na krześle z niskim oparciem i uniosła zamknięcie. W środku znajdowała się napisana odręcznie wiadomość.

Każdy autor tekstów potrzebuje porządnego biurka. Znalazłem je na krawężniku przed pałacem w Wersalu. Pour toi.

Musiał znaleźć biurko na krawężniku przed jednym z domów w lepszej dzielnicy Crossroads, kiedy czekało na wywiezienie na wysypisko. Ale podobało jej się to, że Cam zobaczył biurko i pomyślał o niej. Podobało jej się, że pewnie je wyczyścił, żeby mogła go używać. Przeczytała ostatnią linijkę wiadomości:

Z miłością, Cam.

– Z miłością – przeczytała na głos, przesuwając palcem po literach.
– Cam.

Nie przypomniała sobie, by ktokolwiek użył tego słowa, zwracając się do niej. Jej rodzina tak nie rozmawiała, a z pewnością Lilith nigdy nie znalazła się tak blisko żadnego chłopaka, by usłyszeć to od niego.

Czy Cam napisał to słowo od niechcenia, jak robił wiele innych rzeczy? Obróciła się niezręcznie przy biurku, z trudem mogła patrzeć na słowo na kartce.

Chciała go spytać, o co chodzi z tą wiadomością, z sekretarzykiem – ale tak naprawdę nie chodziło o kartkę ani biurko, tylko o słowo. Coś z nią robiło, poruszało coś w głębi jej duszy. Sprawilo, że zaczęła się pocić. Chciała skonfrontować się z Camem, ale nie wiedziała, gdzie mieszka. Dlatego wyjęła czarny notatnik i pozwoliła, by z jej wątpliwości powstała piosenka.

To słowo. Co mogło znaczyć?

DZIESIĘĆ



POWOLNE NURKOWANIE

CAM *OSIEM DNI*

Wysoko nad głową Lilith Cam rozłożył skrzydła i patrzył, jak czyta wiadomość, którą zostawił na starym sekretarzyku. Ukradł go samej Chloe King – ze strychu jej rodzinnego domu w dobrej dzielnicy Crossroads. Udałby się do Wersalu, by znaleźć prezent dla Lilith, udałby się dokądkolwiek – ale na razie tkwił w jej Piekło, więc to musiało wystarczyć.

Przyglądał się, jak kilka razy przesuwa palcami po papierze. Patrzył, jak wacha kosańce – wiedział, że zawsze je lubiła – po czym wyjmując z plecaka notatnik. Kiedy zaczęła pisać nową piosenkę, Cam się uśmiechnął. To właśnie sobie wyobrażał, przynosząc dla niej biurko.

Z przyjemnością patrzył na spokojną Lilith. Wydawało mu się, że od kiedy przybył do Crossroads, jedynie łagodził sytuację po interwencjach Lucyfera, które miały na celu sprawienie, by jeszcze bardziej nim gardziła. Nie powinien się skarżyć – w końcu Lilith cierpiała o wiele bardziej i o wiele dłużej od Cama – ale trudno było mu się do niej zbliżyć, skoro tak rzadko okazywała mu cokolwiek poza wściekłością.

Spojrzał w dół z chmur i wiedział, że nawet gdyby każdej godziny każdego dnia zasypywał Lilith prezentami i listami miłosnymi, to by nie wystarczyło. Od czasu do czasu przebijał się do niej – tego dnia na próbie poszło mu całkiem nieźle – i cieszył się tymi chwilami. Ale wiedział, że wkrótce się skończą, że następnego dnia Lucyfer znajdzie sposób, by zepsuć wszystko, co osiągnął Cam, a cykl ten będzie się

powtarzał do dnia, w którym to Piekło Lilith przestanie istnieć.

Porwał pierwszy szkic wiadomości, w której prosił, żeby poszła z nim na bal maturalny. Lilith cofała się szybko za każdym razem, kiedy za bardzo naciskał. Postanowił zostawić to pytanie na później, zaplanować coś specjalnego i spytać ją osobiście. Wypowiedział bezgłośnie zapamiętaną treść wiadomości, którą pozostawił na biurku. Miał nadzieję, że słowo „miłość” jej nie przeraziło.

Pomyślał o Danielu i Lucindzie. Od tak dawna symbolizowali „miłość”, przynajmniej dla upadłych aniołów. Żałował, że nie ma ich teraz u jego boku, odgrywających rolę szczęśliwej pary udzielającej mądrych porad cierpiącemu przyjacielowi.

„Walcz o nią”, powiedzieliby. „Nawet kiedy wydaje się, że wszystko jest stracone, nie rezygnuj z walki o miłość”.

Jak Luce i Daniel robili to przez tak długi czas? Potrzebowali wielkiej siły, a Cam wcale nie był pewien, że ją ma. Ten ból, kiedy mu odmówiła – a jak na razie zawsze mu odmawiała – był ogromny. A jednak wciąż próbował, raz za razem. Dlaczego?

Aby ją ocalić. Pomóc jej. Ponieważ ją kochał. Ponieważ gdyby się poddał...

Nie mógł się poddać.



Kiedy nadszedł świt, Cam poleciał w stronę Trumbull. Z rozłożonymi skrzydłami wylądował na martwym szarańczynie i patrzył, jak słońce wschodzi nad masywną nową budowlą pośrodku boiska do futbolu amerykańskiego. Strząsnął popiół z włosów i usadowił się na końcu długiego, mocnego konara, by przyjrzeć się uważniej.

Na wpół ukończony amfiteatr wzorowano na rzymskim Koloseum. Był wysoki na zaledwie kilka kondygnacji, ale miał te same cechy architektoniczne – trzy rzędy stylizowanych łuków otaczających przestrzeń dorównującą wielkością stołowce. Cam od razu zrozumiał, co zaplanował Lucyfer.

– Podoba ci się?

Lucyfer pojawił się za nim w postaci Luca. Dla ochrony przed słonecznym blaskiem nosił ciemne okulary, a Cam czuł się niepewnie,

kiedy nie mógł widzieć oczu szatana.

– To na bal maturalny?

– King Media uznało, że studenci zasługują na wspanialszą lokalizację dla swojej bitwy gladiatorów. Powstało z popiołu, ale robi wrażenie, co nie? Żaden śmiertelny architekt by tego nie dokonał.

Wielka szkoda. Ten Gehry był obiecujący.

– Chcesz dostać nagrodę?

– Na pewno bym jej nie odrzucił. A ciebie by nie zabiło, gdybyś od czasu do czasu docenił inne moje dokonania.

Szatan wyjął z kieszeni džinsów małe kwadratowe lusterko i uniósł je przed twarzą Cama.

Cam odepchnął je na bok. Nie musiał patrzeć na swoje odbicie, by wiedzieć, co zobaczy. Odczuwał efekty przekleństwa, które szatan rzucił na jego ciało. Był wynędzniały, zdyszany, wyglądał żałośnie.

Dziewczyny z Trumbull, które pierwszego dnia przerywały rozmowy, by na niego popatrzeć, teraz zauważały go jedynie, kiedy stał im na drodze. Nie był do tego przyzwyczajony. Zawsze wyglądał doskonale, jak każdy anioł. Teraz już nie.

Niepokoił się, choć próbował nie okazywać tego po sobie. Musiał stawić czoło temu wyzwaniu i udowodnić, raz na zawsze, że jest kimś więcej niż tylko przystojniakiem.

– Śliczny chłopiec zmienia się w brzydkiego chłopca. – Lucyfer zaśmiał się ponuro. – Zawsze się zastanawiałem, czy masz w sobie jakąś głębię. Bez tych mięśni, co zobaczą w tobie damy?

Cam dotknął brzucha, nigdyś jędrnego i umięśnionego. Już nie, stał się miękki i obwisły. Wiedział, że włosy mu się przerzedzają, twarz się wypełnia, policzki opadają. Nigdy nie uważał się za szczególnie płytkiego, jego pewność siebie zawsze pochodziła z głębi. Ale czy uda mu się przyciągnąć do siebie Lilith z takim wyglądem?

– Lilith nie zakochała się we mnie w Kanaanie z powodu mojego wyglądu – powiedział szatanowi. – Możesz mnie uczynić tak brzydkim, jak tylko zechcesz. Nie powstrzyma jej to przed ponownym zakochaniem się we mnie.

Bardzo się martwił, że to nieprawda, ale nie zamierzał dać Lucyferowi satysfakcji i pokazać po sobie, że dał się wytrącić

z równowagi.

– Pewien jesteś? – Złośliwy śmiech szatana sprawił, że Cama przeszedł dreszcz. – Masz osiem dni, by otworzyć jej serce, a żadne z twoich dawnych czułych spojrzeń nie zmieni teraz jej zdania. Ale jeśli ta łagodna przemiana nie jest wystarczającą przeszkodą, z przyjemnością dowiesz się, że to nie jest jedyna sztuczka, jaką mam w rękawie.

– Oczywiście, że nie – mruknął Cam. – Za łatwo by było.

– Dokładnie tak. – Lucyfer zmrużył oczy. – A oto i ona.

Szatan wskazał między drzewami na Lilith wysiadającą z autobusu z dziewczyną, której Cam nie znał.

Lilith była ubrana na czarno, poza kolorową apaszką. Długie włosy zaplotła w warkocz, zamiast osłaniać nimi twarz. Wydawała się szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej w Crossroads. Wydawało się nawet, że w krokach, które stawia, jest entuzjazm.

Cam z początku się uśmiechnął, ale później w jego głowie pojawiła się ponura myśl. A gdyby stała się tak szczęśliwa, że zatraciłaby wolę buntu, pragnienie ucieczki z Crossroads? A gdyby zaczęło jej się tu podobać?

Zeskoczył z drzewa, zwinął skrzydła i wyjął podkoszulek ze spodni, żeby ukryć brzuch. Czuł na sobie spojrzenia uczniów, kiedy biegł przez parking.

– Lilith...

Zanim Lilith go usłyszała, na parking wjechał czerwony cadillac escalade, a z tylnego siedzenia wysiadła Chloe King. Przez ramię przerzuciła markowy skórzany plecak. Za nią wyszły dziewczyny z jej zespołu, każda z podobnym plecakiem i podobną miną.

– Hej, Lilith – powiedziała Chloe.

Kiedy Cam się do nich zbliżył, poczuł perfumy Chloe, które pachniały jak tort urodzinowy, a skojarzenie było tym mocniejsze, że powietrze pachniało jak zapalone świece.

– Chloe – odparła ostrożnie Lilith.

– Zastanawiałam się, czy nie zostałąś moją techniczną od gitary. Jako królowa balu...

– Chloe, no... – June odchrząknęła. – Nie zostałam jeszcze ogłoszona królową balu.

– Jasne. – Chloe zacisnęła zęby. – Jako kandydatka na królową balu będę miała wiele innych obowiązków i potrzebuję kogoś, kto nastroi gitary mojego zespołu.

– Nie, Lilith, nie... – zaczął mówić Cam.

– A co ty tu robisz?

Lilith obróciła się w jego stronę.

Cam zaczął odpowiadać, ale Chloe mu przerwała.

– Lilith już mi się zwierzyła, że nie idzie na bal maturalny.

Zakładam, że dlatego, że żaden chłopak nie chce z nią iść, a boi się, że wyglądałaby żałośnie, gdyby pojawiła się sama. Wyświadczam jej przysługę. Wciąż doświadczy atmosfery balu, a nie będzie wyglądała na taką ofiarę.

Cam stęzał. Miał ochotę pobić tę dziewczynę, ale powstrzymał się ze względu na Lilith. Wpatrzył się w jej twarz w oczekiwaniu na wybuch wściekłości, który powinny wywołać słowa Chloe. Czekał. Wszyscy czekali.

– To się robi nudne. – June sięgnęła po telefon.

Lilith przez chwilę wpatrywała się w ziemię. Kiedy podniosła wzrok na Chloe, jej twarz była spokojna.

– Nie mogę.

Chloe zmarszczyła czoło.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Zgłosiłam się do bitwy. Mój zespół nazywa się Zemsta.

Chloe spojrzała ostro w lewo, gdzie stała Teresa.

– Wiedziałaś o tym?

Teresa lekko wzruszyła ramionami.

– Nie są konkurencją. Wyluzuj.

– Nie mów mi, żebym wyluzowała – warknęła Chloe. – Twoją robotą jest informować mnie o wszystkim, co się wiąże z bale. – Zamrugła i znów spojrzała na Lilith. – Nieważne, i tak możesz grać w tym swoim „zespołe”. Za to dostaniesz dodatkową kasę. – Uśmiechnęła się i objęła Lilith ramieniem. – Co powiesz?

– Ile płacisz?

Cam nagle zrozumiał, dlaczego Lilith w ogóle wzięła pod uwagę propozycję Chloe. Jej rodzina potrzebowała każdego grosza ze względu

na Bruce'a.

Chloe zastanawiała się przez chwilę.

– Sto dolców.

– A co miałabym robić?

– Przychodzić na nasze próby i upewniać się, że moja gitara jest nastrojona, a struny świeże. Dziś idę na sztangi, ale jutro po szkole mamy próbę w moim domu.

„Jesteś na to za dobra”, chciał powiedzieć Cam. „Jesteś zbyt utalentowana, żeby być techniczną dla Chloe”.

– Rezygnuję – powiedziała Lilith.

– Odmawiasz?

– Jesteś dla mnie konkurencją. Muszę się skupić na swojej muzyce, żeby pokonać was w bitwie.

Chloe zmrużyła oczy.

– Zmiażdżę każde z twoich cennych marzeń. – Obejrzała się przez lewe ramię, a później przez prawe. – Dziewczyny? Idziemy.

Kiedy Rzekome Zniewagi ruszyły gęsiego za liderką, Cam próbował ukryć uśmiech. W chwili, gdy walka z różnymi sztuczkami Lucyfera stawała się dla niego coraz trudniejsza, Lilith nieświadomie sama stawiała mu opór.

– Co się stało? – spytała. – Dlaczego się tak do mnie uśmiechasz?

Cam pokręcił głową.

– Wcale nie.

Spojrzała na wejście do szkoły.

– Idziesz na wychowawczą?

– Nie. – Pozwolił, żeby uśmiech w końcu pojawił się na jego twarzy. – Jestem w zbyt dobrym humorze, żeby iść na lekcje.

– To musi być miłe. – Lilith wsunęła kosmyk włosów za ucho. – Ja próbuję zacząć nowy rozdział w szkole, nie spóźniać się na lekcje i w ogóle.

– Świetnie. Bardzo się cieszę.

– Co będziesz robił przez cały dzień?

Cam wpatrzył się w niebo, na czarny dym nad wzgórzami unoszący się w stronę szarego słońca.

– Trzymał się z dala od kłopotów.

– Jasne.

Lilith stała przed nim, a Cam cieszył się tą spokojną chwilą i próbował nie mieć nadziei na więcej. Powstrzymał się przed dotknięciem jej, jedynie podziwiał nachylenie nosa dziewczyny i niesforny kosmyk, który nieco unosił jej włosy z prawej strony.

– Lilith...

– Dostałam twoją wiadomość. Te kwiaty. To biurko. Nigdy wcześniej nie dostałam biurka. Bardzo... oryginalne.

Roześmiał się.

– Ale ta wiadomość... – zaczęła mówić Lilith.

– Pisałem ją szczerze – odparł pośpiesznie Cam. – Jeśli o to chciałaś zapytać. Nie oczekuję niczego w zamian, ale napisałem ją szczerze. Każde słowo.

Spojrzała na niego, jej niebieskie oczy były szeroko otwarte, wargi rozchylone. Widział już wcześniej to spojrzenie. Na stałe wyryło się w jego pamięci od pierwszego razu, kiedy się całowali.

Cam zamknął oczy i znów tam był, trzymał ją w objęciach na brzegu Jordanu, czuł ciepło jej ciała na skórze, przyciągał jej wargi do swoich. Och, ten pocałunek. Nie było większej ekstazy. Jej wargi były miękkie jak piórko, a w następnej chwili wypełniała je namiętność. Nigdy nie wiedział, czego się po niej spodziewać, i cieszył się każdą niespodzianką.

Potrzebował kolejnego pocałunku. Pragnął jej, w tej chwili i zawsze.

Otworzył oczy. Wciąż tam była i patrzyła na niego, jakby nie minęły trzy tysiące lat. Czy ona też to czuła? Jak mogła nie czuć? Pochylił się. Wyciągnął rękę, żeby objąć jej głowę. Otworzyła usta...

I zabrzmiał dzwonek.

Lilith odskoczyła.

– Nie mogę się spóźnić. Muszę lecieć.

– Zaczekaj...

Odeszła, błysk rudych włosów znikających za drzwiami szkoły. A Cam znów był sam i zastanawiał się, czy jeszcze zazna rozkoszy jej ust – czy też przez resztę wieczności będzie głodował, żywiąc się wspomnieniami.



Po lekcjach Cam czekał przed wejściem do domu Lilith, trzymając dwie ciężkie torby z zakupami. Spędził popołudnie w malutkim sklepiku ze zdrową żywnością, wybierając dziwne, ekscytujące produkty, które powinny jej smakować. Awokado. Granaty. Kuskus. Jedzenie, na które, jak się domyślał, nigdy nie mogła sobie pozwolić.

Szczerze mówiąc, on też nie. Ukradł je, kiedy właściciel nie patrzył. Ale jaka najgorsza kara mogła go za to czekać – pójście do Piekła?

– Cześć! – zawołał, kiedy zauważył Lilith wlokącą się podjazdem, pochyloną pod ciężarem gitary i plecaka.

Nie podniosła wzroku. Może go nie usłyszała.

– Lilith – powiedział głośno. – Luis powiedział mi, że na śniadanie jesz doritos. On sam jest przekonany, że dobrze robią muzykom. Ty potrzebujesz białek, węglowodanów złożonych i antyutleniaczy, a ja ci je dostarczam.

– Spadaj, Cam.

Lilith nawet na niego nie spojrzała. Wspięła się po schodach na ganek, wyjęła klucz z plecaka i wcisnęła go do zamka.

– Że co? Co się znowu stało?

Zawahała się i odwróciła do niego. Oczy miała zaczerwienione.

– To się stało.

Lilith gwałtownym ruchem otworzyła plecak i wyjęła z niego stertę kserokopii. Niektóre były zmięte, inne podeptane, do jednej nawet przylepiono gumę do żucia.

Rzuciła kartkami w twarz Cama. Chwycił jedną z nich w locie i zobaczył tekst piosenki, którą grali poprzedniego dnia, „Latając do góry nogami”.

– To wspinała piosenka. Już ci to mówiłem. W czym problem?

– Problem? Najpierw bez pozwolenia wysłałeś mój tekst na konkurs. Później jakimś sposobem przekonałeś mnie, że zrobiłeś to dla mojego własnego dobra. Ale nie mogłeś na tym skończyć, co?

Cam był zdezorientowany.

– Lilith, co...

Wyrwała mu papier z ręki i zmięła go w kulkę.

– Musiałeś zrobić tysiąc kserówek tekstu i wytapetować nimi szkołę.

Cam nagle uświadomił sobie, co się musiało wydarzyć. Lucyfer zobaczył, że zbliżają się do siebie, więc musiał się wtrącić.

– Zaczekaj... ja nigdy... nawet nie wiem, gdzie jest ksero!

Ale Lilith go nie słuchała.

– Teraz całe Trumbull nie tylko uważa mnie za narcystycznego potwora, ale do tego nie znosi mojej piosenki. – Stłumiła łkanie. – Powinieneś słyszeć, jak się ze mnie śmiali. Chloe King niemal zemdlała, tak się świetnie bawiła, mieszając mój tekst z błotem. Ale ty... – spojrzała na niego z głęboką wściekłością – ty dziś uciekłeś z lekcji, prawda? Przegapiłeś całą fantastyczną scenę.

– Owszem, ale gdybyś tylko pozwoliła mi wyjaśnić...

– Nie martw się. Z pewnością jutro w bufecie dowiesz się wszystkiego. – Przerzuciła plecak przez ramię i otworzyła drzwi. – Skończyłam z tobą, Cam. Zostaw mnie w spokoju.

Camowi aż zakręciło się w głowie, nie tylko z powodu wściekłości Lilith, ale też dlatego, że wiedział, jak wielkim upokorzeniem musiał być dla niej widok tekstu jej piosenki rozwieszzonego w całej szkole.

– Lilith, ja bym nigdy nie...

– Zrzucisz winę na Luisa albo Jeana? Tylko wy mieliście egzemplarz. – Kiedy spojrzała na Cama, w kąciach jej oczu błyszczały łzy. – Dziś zrobiłeś coś, co wydawało mi się niemożliwe. Sprawileś, że zaczęłam się wstydzić swojej muzyki.

Cam posmutniał.

– Nie musisz. Ta piosenka jest dobra, Lilith.

– Też tak sądziłam. – Otarła oczy. – Aż wypuściłeś ją na świat, nagą i bezbronną.

– Dlaczego miałbym to zrobić? Wierzę w tę piosenkę. Wierzę w ciebie.

– Cały problem polega na tym, że ja nie wierzę w ciebie. – Lilith weszła do środka i stojąc w drzwiach, spojrzała na Cama. – Zabieraj te swoje głupie zakupy i wynoś się stąd.

– Zakupy są dla ciebie. – Postawił torby na ganku. Lucyfer musiał

za to zapłacić. Posunął się zbyt daleko. Jego ingerencje niszczyły Lilith.

– Pójdę sobie.

– Zaczekaj.

– Tak? – Odwrócił się. Coś w jego głosie dało mu nadzieję. – O co chodzi?

– Wyrzucam cię z zespołu. Na dobre.

INTERLUDIUM



DEZINTEGRACJA

PLEMIĘ DAANITÓW, PÓŁNOCNY KANAAN, *OKOŁO 1000 R. P.N.E.*

Gwiazdy migotały na niebie nad pustynią, kiedy Lilith chwyciła za lirę. Roland usiadł obok niej na stercie siana i uniósł flet do ust. Wszyscy młodzieńcy i dziewczęta z wioski zebrali się wokół nich w oczekiwaniu na rozpoczęcie występu, a ich oczy błyszczały.

To Cam wpadł na pomysł imprezy, ale koncert wymyśliła Lilith. Chciała w ten sposób okazać swoją miłość do Cama, którego zamierzała poślubić w porze żniw i już nie mogła się doczekać. Ich narzeczeństwo nie trwało długo, a wszyscy dookoła byli przekonani, że przeznaczeniem tej dwójki jest spędzić razem resztę życia. Kwiaty kosańców zdobiły baldachim z gałęzi, który Lilith uplotła wraz z siostrami tego popołudnia.

Roland zagrał jako pierwszy. Jego oczy błyszczały, gdy oczarował widownię swoim tajemniczym fletem, wygrywając słodką, smutną melodię, która wprawiła wszystkich w romantyczny nastrój. Cam wysoko trzymał kielich z brązu, pochylał się w stronę Lilith i wahał sól na jej skórze.

Miłość właściwie wisiała w powietrzu. Dani obejmował Liat, która kołysała się z zamkniętymi oczyma, radując się muzyką. Za nią Arriane opierała głowę na ramieniu kędzierzawej dziewczyny imieniem Tess.

Lilith zagrała następną piosenkę. Była to skomplikowana i niepokojąca melodia, którą wymyśliła podczas pierwszego spotkania z Camem. Kiedy skończyła i ucichły oklaski, Cam przyciągnął ją do siebie i pocałował mocno.

– Jesteś cudem – szepnął.

– Ty też – odpowiedziała i znów go pocałowała.

Za każdym razem, kiedy ich wargi się stykały, miała wrażenie, że to pierwszy raz. Dziwiła się, jak bardzo zmieniło się jej życie od czasu, gdy po raz pierwszy zobaczyła uśmiechnięte zielone oczy Cama. Za jej plecami Roland znów zaczął grać, a Lilith i Cam zmienili swój pocałunek w taniec, kołysali się razem w blasku gwiazd.

Lilith poczuła, że ktoś bierze ją za rękę. Odwróciła się i zobaczyła Liat. Choć dorastały razem i lubiły się, nie były przyjaciółkami. Teraz jednak, obie zakochane, bardziej się do siebie zbliżyły.

– Tu jesteś!

Lilith pocałowała Liat w policzek i odwróciła się, żeby przywitać się z Danim, lecz coś w jego twarzy ją powstrzymało. Wydawał się zdenerwowany.

– Co się stało?

– Nic – odpowiedział cicho, odwrócił się i uniósł kielich. – Chciałbym wnieść toast – powiedział do zgromadzonych. – Za Cama i Lilith!

– Za Cama i Lilith! – powtórzyli wszyscy, gdy Cam objął ją w pasie.

Dani popatrzył na Liat.

– A teraz wszyscy odwróćmy się do osoby, którą kochamy, i upewnijmy się, że wie, jak bardzo jest dla nas wyjątkowa.

– Nie rób tego, Dani – mruknął Cam pod nosem.

– Co? – spytała Lilith.

Aż do tej pory ta noc była najcudowniejszą w jej życiu, ale ton głosu Cama sprawił, że poczuła niepokój. Podniosła wzrok na gwiazdy migoczące na niebie i wyczuła, że coś się zmieniło, a nad ich radosnym zgromadzeniem zbiera się mroczna energia.

Za przykładem Cama Lilith spojrzała na Daniego.

– Liat Lucindo Bat Chana. Wypowiadam twoje imię, by potwierdzić, że żyjesz, oddychasz, jesteś cudem. – W oczach Daniego pojawiły się łzy. – Jesteś moją Lucindą. Jesteś miłością.

– O nie – jęknęła Arriane, przeciskając się przez tłum.

Z drugiej strony namiotu Roland również zbliżał się do Daniego, przepychając się między mężczyznami. Przeklinali jego niegrzeczność,

a dwóch nawet rzuciło w niego swoimi kielichami.

Tylko Cam nie rzucił się w stronę Liata i Dani, lecz odciągnął Lilith najdalej od tłumu, jak mógł, kiedy...

Liat zbliżyła wargi do warg Daniego. Dani załkał i odsunął się gwałtownie. Coś w nim się poddało, jak góra osuwająca się do morza.

I pojawiło się światło – kolumna ognia w miejscu, w którym wcześniej stali kochankowie.

Lilith widziała ogień, oddychała dymem. Ziemia zadrżała, a ona się przewróciła.

– Lilith! – Cam wziął ją w ramiona i pobiegł w stronę rzeki. – Jesteś bezpieczna. Jesteś przy mnie.

Przytuliła się do niego, w oczach miała łzy. Coś strasznego stało się z Liat. Słyszała jedynie krzyki Daniego.



Nadeszły pełnia, nów i kolejna pełnia, wstrząs ustąpił smutkowi i rezygnacji, a plemię dla poprawy nastroju skupiło się na przygotowaniach do ślubu Lilith. Jej siostry skończyły tkać jej suknię. Jej bracia wytoczyli beczki wina z rodzinnej jaskini.

A w ukrytym zakolu Jordanu dwaj upadli aniołowie wygrzewali swoje błyszczące od wody ciała na brzegu po krótkiej kąpieli.

– Naprawdę nie chcesz, żebym to przełożył? – spytał Cam, otrząsając włosy.

– Nic mi nie jest. – Dani zmusił się, żeby się uśmiechnąć. – Ona wróci. A jaka to różnica, czy poślubisz Lilith dzisiaj, czy za dwa miesiące?

Cam zdjął swoją najlepszą szatę z gałęzi szarańczyny i okrył się nią.

– Dla niej to by była wielka różnica. Byłaby załamana, gdybym zaproponował przełożenie ceremonii.

Dani długo wpatrywał się w rzekę.

– Wczoraj wieczorem skończyłem wasz kontrakt ślubny, tusz już powinien być suchy. – Wstał i też się ubrał. – Pójdę po niego.

Cam pozostał na chwilę sam. Usiadł i wpatrywał się w rzekę. Puścił kaczkę na jej powierzchni i był zadziwiony, że nawet w tak

magiczny dzień prawa natury wciąż obowiązują.

Nigdy nawet nie marzył, że się ożeni. Aż poznał ją. Miłość rozkwitła między nimi tak szybko, że ciągle zaskakiwała go świadomość, jak wiele Lilith nie wiedziała, jak wiele wciąż musiał jej powiedzieć...

Poczuł, że ktoś obejmuje go za szyję. Miękkie dłonie dotknęły jego piersi. Zamknął oczy.

Lilith zaczęła cicho śpiewać, na melodię, którą nuciła od kilku tygodni. W końcu znalazła pasujące do niej słowa:

Ramiona ci oddaję

I oczy swe oddaję

I blizny ci oddaję

I kłamstwa ci oddaję

A co ty

oddasz mnie?

– To najbardziej czarujące słowa, jakie kiedykolwiek słyszałem.

– Moja przysięga ślubna. – Oparła głowę na jego karku. –

Naprawdę ci się podoba?

– Podobają mi się ładne ubrania, smak wina i chłodny dotyk rzeki.

Nie ma słowa, które mogłoby opisać, co czuję, słysząc tę przysięgę. –

Odwrócił głowę i po raz pierwszy zobaczył ją w sukni ślubnej. – Albo co czuję do ciebie. I co sędzę o tej sukni.

– Zachowujcie się godnie – powiedział Dani z tyłu. – Jeszcze nie jesteście małżeństwem.

Ukląkł przed zakochanymi i rozwinął gruby pergaminowy zwój.

– Jest piękny.

Cam podziwiał eleganckie aramejskie pismo Daniego i delikatne rysunki, które dodał na marginesach, przedstawiające Cama i Lilith w objęciach.

– Zaczekaj. – Lilith zmarszczyła czoło. – Ta część tutaj mówi, że weźmiemy ślub nad rzeką.

– A znasz jakieś lepsze miejsce? Tu się zakochaliśmy.

Cam próbował mówić swobodnie, choć poczuł głębokie

przerażenie, gdyż wiedział, co zamierzała powiedzieć.

Lilith odetchnęła głęboko, szukając właściwych słów.

– Ty i Dani nie przejmujecie się konwenansami, a mnie się to podoba. Ale mamy wziąć ślub, Camie. To starożytna tradycja, którą szanuję. Chcę cię poślubić w świątyni.

W świątyni, w której Cam nie mógł postawić stopy. A za bardzo się wstydził, żeby powiedzieć jej prawdę – że jest upadłym aniołem, a upadły anioł nie mógł stąpać po uświęconej ziemi.

Powinien powiedzieć jej prawdę na samym początku. Ale gdyby jej powiedział, to byłby koniec ich miłości, bo jak ktoś tak cnotliwy jak Lilith mógłby zaakceptować Cama takim, jakim był?

– Proszę, Lilith. Spróbuj wyobrazić sobie piękny ślub nad rzeką...

– Powiedziałam ci, czego pragnę. Sądziłam, że się zgadzasz.

– Nigdy bym się nie zgodził na ślub w świątyni.

Cam próbował mówić spokojnie, gdyż nie chciał się zdradzić.

– Dlaczego nie? – spytała Lilith, wyraźnie oszołomiona. – Jaką tajemnicę ukrywasz?

Dani cofnął się, zostawiając ich samych. Nawet teraz Cam nie mógł się zmusić, by powiedzieć jej, że nie jest człowiekiem, że jest inny. Kochał ją tak bardzo, że nie mógł znieść myśli, iż straci w jej oczach. A straciłby, gdyby poznała prawdę.

Odwrócił się twarzą do niej, zapamiętując każdy pieg, każdy błysk słońca w jej włosach, głęboki błękit oczu.

– Jesteś najwspanialszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem...

– Musimy wziąć ślub w świątyni – powiedziała Lilith z naciskiem.

– Szczególnie po tym, co się stało z Liat. Moja rodzina i wspólnota inaczej nie uszanują naszego związku.

– Nie należę do waszej wspólnoty.

– Ale ja tak.

Jej wspólnota nigdy nie uszanowałaby tego związku, gdyby poznała prawdę o Camie. Nie zastanowił się – na tym polegał problem. Nie poświęcił ani chwili, by uświadomić sobie, jak wiele barier ich dzieliło.

Spojrzał z odrazą w stronę świątyni.

– Nie postawię tam stopy.

Lilith była bliska łez.

– W takim razie mnie nie kochasz.

– Kocham cię bardziej, niż wydawało mi się to możliwe – powiedział ostro – lecz to nic nie zmienia.

– Nie rozumiem. Cam...

– To koniec. – Nagle zrozumiał, co musi zrobić. Tego dnia każde pójdzie w swoją stronę, każde ze złamanym sercem. Nie było innego wyjścia. – Nie będzie ślubu, niczego.

Wypełnił swój głos goryczą, a kiedy Lilith otworzyła usta, usłyszał słowa bardziej gniewne niż te, które rzeczywiście wypowiedziała. Taka miała być jego historia – słowa, które musiał usłyszeć, by skończyć ze wszystkim.

– Łamiesz mi serce – powiedziała.

Jednakże Cam usłyszał w jej słowach: „Jesteś złym człowiekiem. Wiem, kim jesteś”.

– Zapomnij o mnie. Znajdź sobie kogoś lepszego.

– Nigdy – westchnęła. – Moje serce należy do ciebie. Bądź przeklęty, skoro tego nie rozumiesz.

Ale Cam wiedział, że naprawdę miała na myśli: „Mam nadzieję, że będę żyła tysiąc lat i będę miała tysiąc córek, by zawsze żyła kobieta, która będzie przeklinać twoje imię”.

– Żegnaj, Lilith – powiedział chłodno.

Krzyknęła z bólu, chwyciła ich kontrakt ślubny i wrzuciła go do rzeki. Nagle padła na kolana i rozplakała się, a potem wyciągnęła rękę w stronę wody, jakby pragnęła go odzyskać. Patrzył, jak ostatni dowód na ich miłość znika z prądem. Teraz musiał jedynie zniknąć on sam.

W ciemnych dniach i dziesięcioleciach, które nastąpiły później, za każdym razem, kiedy Cam myślał o Lilith, przypominał sobie kolejny paskudny nowy szczegół, który nie wydarzył się tego dnia nad rzeką.

Lilith plująca na niego.

Lilith rzucająca go z wściekłością na ziemię.

Lilith odrzucająca ich miłość.

Aż prawda – ta, której Cam nie chciał jej powiedzieć – utonęła pod wspomnieniem jej wściekłości. Aż w jego głowie to Lilith go porzuciła. Aż było mu łatwiej żyć bez niej.

Nie pozwalał sobie pamiętać łez spływających po jej policzkach ani sposobu, w jaki dotknęła potężnego szarańczynu, jakby się żegnała. Zaczekał, aż słońce zajdzie i wzejdzie księżyc. Kiedy otworzył białe skrzydła, podmuch wiatru przygiął trawy do ziemi.

Cam, który tamtej nocy opuścił Jordan, już nigdy nie powrócił.

JEDENAŚCIE



ZŁAM MNIE

LILITH *SIEDEM DNI*

Następnego ranka przy śniadaniu Lilith wytrąciła Bruce'owi z ręki czerstwego tosta i postawiła przed nim miskę owsianki.

– Owsianka à la Lilith – ogłosiła. – Bon appétit.

Była dumna z dania, które wymyśliła, a które zawierało między innymi ziarna granatu, wiórki kokosowe, orzechy włoskie i słodką śmietankę. Wszystko dzięki zakupom Cama.

Kiedy oskarżyła go o skserowanie tekstu, udawał, że nie wie, o co chodzi. Ale zakupy wyraźnie świadczyły, że miał nieczyste sumienie i próbował ją przekupić, by mu wybaczyła.

– Pachnie cudownie. – Bruce uniósł łyżkę.

Był ubrany do szkoły, w nieco pomiętą koszulę i spodnie khaki, a świeżo umyte włosy zaczesał do tyłu. Lilith wciąż nie była przyzwyczajona widzieć go w czymś innym niż piżama.

– Skąd wzięłaś to całe wyszukane jedzenie?

– Od Cama.

Nałożyła porcję owsianki do miski dla matki, która właśnie suszyła włosy.

– Dlaczego robisz się cała czerwona i krzywisz się, kiedy wypowiadasz jego imię? – Bruce już opróżnił miskę. – Jest więcej? I nie przyniósł przypadkiem płatków czekoladowych?

– Ponieważ jest dupkiem i nie.

Lilith dała mu miskę, którą przygotowała dla matki, i zaczęła robić trzecią porcję. Racjonowanie dobrego jedzenia nie miało sensu – lepiej

je zjeść i się nim nacieszyć, zwłaszcza teraz, gdy Bruce czuł się lepiej. Musiał o siebie dbać.

Opadła na krzesło obok brata i próbowała sobie wyobrazić, że ktoś skrzywdziłby Bruce'a tak, jak Cam skrzywdził ją.

– Musisz uważać na ludzi. Tak naprawdę zaufać możemy tylko sobie nawzajem. Jasne?

– To bardzo samotne.

– Tak – zgodziła się z westchnieniem.

Ale lepsze niż pozwolenie, by ludzie tacy jak Cam zniszczyli jej życie.



– Idź sobie – powiedziała Lilith, zatrzasnąwszy drzwi szafki, gdy Cam zbliżył się do niej przed dzwonkiem.

Zignorowała bukiet kosaćców w jego dłoni. Ich delikatny zapach, który tak ją zachwycił, kiedy przed dwoma dniami znalazła kwiaty na starym sekretarzyku, teraz wzbudzał w niej mdłości. Wszystko, czego dotykał Cam, wzbudzało w niej mdłości.

– Dla ciebie. – Wyciągnął bukiet w jej stronę. – Naprawdę mi przykro.

– Za co dokładnie? Że zrobiłeś kserokopie?

– Nie. Przykro mi, że miałaś wczoraj taki koszmarny dzień.

Próbuję poprawić ci humor.

– Chcesz zrobić coś, co poprawi mi humor? Umrzyj.

Wyrwała mu kwiaty, rzuciła je na podłogę i odeszła.



Cam nie zbliżał się do niej w czasie godziny wychowawczej i na poezji, a później Lilith czekało cudowne wytchnienie w postaci lekcji bez niego. Czarna chmura, która ją otaczała, rozproszyła się nieco na biologii, ponieważ Lilith raz dla odmiany odrobiła pracę domową.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, jaka jest różnica między mitochondrium a aparatem Golgiego? – spytała pani Lee stojąca przed białą tablicą.

Lilith z oszołomieniem wpatrzyła się w swoje palce wzniesione nad głową. Nie mogła uwierzyć, że z własnej woli podnosi rękę na biologii.

Pani Lee zakrztusiła się kawą, kiedy zobaczyła Lilith siedzącą w pierwszym rzędzie i cierpliwie czekającą na wyznaczenie do odpowiedzi.

– Dobrze, Lilith. – Nauczycielce nie udało się ukryć zaskoczenia. – Pokaż, na co cię stać.

Lilith mogła pokazać, na co ją stać, jedynie dzięki Luisowi. Poprzedniego dnia podczas przerwy na lunch podszedł do niej w kolejce.

– Wczoraj wieczorem pracowałem nad nowym rytmem do „Latania do góry nogami”. – Wystukał na tacy synkopowany rytm.

– Też myślałam, że moglibyśmy trochę ją przyśpieszyć.

Luis zapłacił za swojego burgera, a Lilith wykorzystała kupon na darmowy lunch. Z początku obawiała się, że chłopak skomentuje to krytycznie albo złośliwie, ale on nie odezwał się ani słowem. Później zobaczyli Jeana, który siedział sam, i Luis usiadł naprzeciwko niego, jakby to nie było nic wielkiego, choć nigdy wcześniej nie widziała, by siedzieli razem. Obaj chłopcy spojrzeli na Lilith, która stała niepewnie nad nimi.

– Czekasz na oficjalne zaproszenie? – Jean poklepał miejsce obok siebie. – Wskakuj.

Tak też zrobiła. I uświadomiła sobie, że z tego punktu widzenia, kiedy siedziała wśród przyjaciół, bufet robił zupełnie inne wrażenie. Był ciepły, jasny, głośny i rozbawiony – i po raz pierwszy przerwa na lunch minęła jej stanowczo zbyt szybko.

Mieli mnóstwo do powiedzenia o muzyce, ale Lilith najbardziej zaskoczyło, że w czasie tej przerwy rozmawiali o rzeczach innych niż muzyka. Na przykład Jean martwił się, że rodzice Kimi również w noc balu maturalnego każą jej wrócić wcześniej do domu.

– Musisz tam pójść, stary – powiedział Luis. – Usiąść na niewygodnej kanapie z jej skrzypowym tatą, opowiedzieć mu o swoich perspektywach akademickich czy cokolwiek. Pokaż się z najlepszej strony, ale bądź pełen szacunku i godny szacunku. Tatuśkowie to uwielbiają.

– Nie mogę uwierzyć, że słucham rad pierwszaka – zażartował Jean, na co Luis rzucił w niego frytką.

Ale ten pierwszak okazał się geniuszem z biologii. Kiedy Lilith z jękiem wspomniała pracę domową, Luis zaczął śpiewać.

– *Błona komórkowa to bramkarz, który powstrzymuje cały motłoch.*

– Co to ma być? – spytała.

– Moja wersja programu telewizji edukacyjnej!

Wyśpiewał całą piosenkę, która zawierała mnemotechniczne chwytaki opisujące każdą część komórki. Kiedy Luis skończył, Jean zaczął klaskać, a Lilith go uściskała, zanim w ogóle zorientowała się, co robi.

– Nie wiem, dlaczego nigdy wcześniej nie pomyślałam, żeby pisać piosenki, które pomogą mi się uczyć.

– Nie musisz. – Luis uśmiechnął się szeroko. – Nauczę cię wszystkiego, co wiem. To znaczy, no, wszystkiego.

Teraz, na biologii, Lilith przypomniała sobie Luisa śpiewającego niskim głosem – i udzieliła prawidłowej odpowiedzi. Nie mogła się doczekać, kiedy mu o tym powie.



W porze lunchu znalazła go w bufecie, właśnie nabierał lodu do coli. Podbiegła i zaczęła śpiewać. Odwrócił się, uśmiechnął i razem z nią zaśpiewał ostatni wers.

– Uratowałeś mi życie. Dziękuję.

– To jeszcze nie koniec. – Luis uśmiechnął się krzywo.

– Naprawdę?

Byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby to się powtarzało. Nie mogła sobie pozwolić na opłacenie korepetycji ze wszystkich przedmiotów, z którymi sobie nie radziła.

– Co masz po przerwie?

Luis wypił pianę z coli, zanim się przelała przez krawędź.

– Historię Stanów Zjednoczonych – jęknęła.

– Mam wspaniałą rock-operę opisującą wszystkie bitwy wojny domowej. To jedna z moich najlepszych rzeczy.

– Lilith?

Odwróciła się, kiedy ktoś dotknął jej ramienia. Cam trzymał tacę z jej ulubionym daniem – lazanią.

– Nie jestem głodna. Którego fragmentu „umrzyj” nie zrozumiałaś? Muszę powtórzyć to głośniej?

– Stary, zjem tę lazanię – stwierdził Luis.

Jean Rah wstał od swojego stolika.

– Co się dzieje?

Cam podał tacę Luisowi, a Lilith powiedziała:

– Cam wyleciał z zespołu.

Jean pokręcił głową.

– Co tym razem zrobiłeś?

Stojący obok Luis zjadał lazanię i patrzył na nich szeroko otwartymi oczyma.

– Lilith myśli, że skserowałem jej tekst i rozrzuciłem po całej szkole. – Cam pociągnął za ściągacz przy szyi podkoszulka. – Nie rozumiem, dlaczego sądzi, że ja zrobiłbym coś takiego, ale tak właśnie uważa.

– Nie, Lilith. – Luis otarł dłonią sos z ust. – Pomagam w bibliotece, a wczoraj musiałem skserować parę kartek. Czekałem, aż tamto się skończy. Miało jakieś tysiąc stron. – Chłopak przewrócił oczami. – Kiedy kopiuje się tak dużo, trzeba mieć specjalny kod. Tamten wydruk przyszedł z zewnętrznego komputera. Z konta „King Media”.

Jean zmarszczył czoło.

– Czyli to była robota Chloe King albo...

– Stażysty – mruknął Cam. – Luca.

– Nieważne. – Lilith czuła dziwną złość na myśl, że historia na temat Cama, w którą uwierzyła, okazała się nieprawdą. – Cam i tak wyleciał z zespołu. Jean, Luis, zobaczymy się po lekcjach na próbie.



Kiedy Lilith po lekcjach przyszła do sali prób, nie było tam jej przyjaciół, za to Rzekome Zniewagi przygotowywały się do próby.

A raczej ich nowa techniczna – cicha dziewczyna Karen Walker, która na biologii siedziała obok Lilith – przygotowywała ich instrumenty. Zagryzała wargi, trącając struny i obracając kołki na

błyszczącej gitarze elektrycznej Chloe. Lilith widziała, że Karen nie ma większego pojęcia, co właściwie robi, ale dziewczyny z zespołu nie zwracały na nią uwagi. Siedziały na podnóżkach, popijały koktajle owocowe i bawiły się komórkami.

Teresa zwróciła się do blondynki po swojej lewej:

– June, czy ty właśnie podesłałaś mi swoją nudną stację z muzyką klasyczną na Spotify?

– To Szopen, słucham go, kiedy zasypiam.

– Idiotka! – Chloe nie podniosła nawet głowy znad komórki. – Moja szczęśliwa stacja to teraz „All Prince All the Time”. Słuchaliśmy jej z Deanem w piątek wieczorem.

Lilith wyobraziła sobie anielską blondynkę June leżącą w łóżku i słuchającą walców Szopena. Sama próbowała zasypiać przy muzyce. To była udręka. Wsłuchiwała się w każdą nutę, podziwiając przejścia akordów i próbując rozpoznać różne instrumenty.

Może muzyka pozostawiała innych ludzi w spokoju i pozwalała im się rozluźnić. Lilith muzyka nigdy nie pozostawiała w spokoju.

– Czyżby ktoś zdjął tę wywieszkę na drzwiach „Zakaz wstępu dla dziwolągów”? – odezwała się Chloe, kiedy zauważyła Lilith stojącą w drzwiach. – Przyszłaś tu, żeby obrzucić niczego się niespodziewające ofiary kolejnymi żalonymi tekstami?

Lilith nie lubiła Chloe, ale znała ją dość dobrze, by wiedzieć, że dziewczyna nie kłamie – naprawdę wierzyła, że to Lilith sama rozwiesiła te kserówki.

To znaczyło, że nie była winna.

Jednakże Luis stwierdził, że zlecenie kopiowania wyszło z komputera King Media. Cam zasugerował, że to Luc mógł zrobić kserokopie. Ale to nie miało sensu. Dlaczego stażysta z Bitwy Zespołów chciałby jej przeszkadzać?

– Widziałaś Luisa i Jeana? – spytała. – Mamy tu próbę.

– Już nie. – Chloe uśmiechnęła się jadowniczo. – Wykopałyśmy ich. To teraz nasz teren.

– Ale...

– Możecie ćwiczyć na betonie przy śmietnikach. Dalej. – Chloe machnęła ręką. – Spadaj. Zaraz zaczynamy, a nie chcę, żebyś ukradła

nam brzmienie.

– Jasne – powiedziała Lilith ze śmiertelnie poważną miną. – Bo mogłabym mieć pokusę, żeby ukraść przełomowy sposób, w jaki pokazujesz biust, kiedy grasz na gitarze.



Lilith znalazła Jeana i Luisa na parkingu, siedzieli na masce jasnoniebieskiej hondy Jeana. Od czasu przerwy na lunch temperatura jeszcze się podniosła, a powietrze nad chodnikiem falowało. Słońce było pomarańczową kropką za zasłoną dymu. Luis podał jej torebkę z resztkami doritos. Na jego czole perlił się pot.

– Teraz wołałabym raczej wersję bez sera.

– Chloe ciebie też wykopała? – Jean opierał stopy na reflektorze auta.

Lilith skinęła głową.

– Gdzie będziemy mieć teraz próby? Bo na pewno nie u mnie w domu.

– U mnie też nie – stwierdził Luis z pełnymi ustami. – Rodzice by mnie zabili, gdyby się dowiedzieli, że jestem w zespole. Myślą, że zostałem dziś po lekcjach na dodatkowych zajęciach przygotowujących do egzaminów SAT.

– Mój dom też się nie nada. Mam czworo młodszego rodzeństwa i nie, nie chcecie ich poznać. A zwłaszcza bliźniąt. To świry.

– Czyli jesteśmy w dupie – powiedziała Lilith.

Myślała o miejscu nad strumieniem, ale potrzebowaliby generatora, żeby zapewnić prąd dla mikrofonu, głośników i syntezy. Niemożliwe.

– A co z domem Cama? – spytał Jean. – Ktoś wie, gdzie on mieszka?

Lilith zmrużyła oczy.

– Przepraszam, czy mówisz o Camie, który już nie jest w zespole?

– On tego nie zrobił, Lilith – stwierdził Jean. – Wiem, że jesteś zawstydzona, ale to nie był Cam. Powinnaś z nim porozmawiać, oczyścić atmosferę. Potrzebujemy go.

Lilith nie odpowiedziała. Lubiła Jeana i Luisa jako przyjaciół i nie

chciała tego popsuć, ale nie zamierzała pozwolić, żeby zmusili ją do przyjęcia Cama z powrotem do zespołu. Jednak teraz, kiedy Jean o tym wspomniał, rzeczywiście ciekawiło ją, gdzie mieszka Cam.

– Pomocnik bibliotekarza na ratunek. – Luis zaczął stukać w ekran telefonu. – Mam dostęp do bazy danych wszystkich uczniów wraz z adresami. – Odchylił głowę do tyłu, pozbywając się włosów z oczu. – Mam, Dobbs Street nr 241. – Wrzucił resztkę doritos do ust, a zmiętą torebkę do pobliskiego kosza na śmieci. – Chodźmy.

– To nie znaczy, że pozwolę mu wrócić do Zemsty – powiedziała Lilith do chłopaków, którzy już wsiadali do samochodu. – Jedziemy po prostu się rozejrzeć.



Luis zostawił Lilith miejsce obok kierowcy, co uznała za szlachetny gest, a GPS Jeana pokierował ich w stronę gorszych dzielnic miasta. Chłopak podkreślił głośność odtwarzacza – prezentował im swoje nowe ulubione płyty, a oni byli zachwyceni – i przejechali obok pawilonu handlowego, który Lilith zawsze mijała w drodze do szkoły. Później skręcili na osiedle Lilith i przejechali obok jej ulicy.

Odetchnęła dopiero w chwili, gdy w bocznym lusterku przestała widzieć podjazd, jakby Jean albo Luis mogli się zorientować, że ten ohydny budynek na końcu uliczki Lilith nazywa domem. Pomyślała o Brusie, który siedział na kanapie i w towarzystwie Alastora oglądał stare odcinki teleturnieju *Va banque*, i poczuła się tak, jakby go zdradziła przez to, że wstydziła się swojego pochodzenia.

Zaskoczyło ją, że Cam mieszka w tej okolicy. Przypomniała sobie jedną z pierwszych rozmów, kiedy wspomniał, że poprzednią noc przespał na ulicy. Wtedy myślała, że żartował. Wydawało się, że ma mnóstwo pieniędzy. Jeździł motocyklem, a jego skórzana kurtka wyglądała na drogą. Przyniósł jej zakupy, karmił kawiozem, rano próbował dać kwiaty.

Jean skręcił ostro w lewo i zahamował.

– Coś tu się nie zgadza.

Lilith też tak myślała. Ulica Dobbs była długa, prosta i całkowicie zamknięta dla ruchu samochodowego. Nie stały przy niej żadne domy.

Żadne bloki. Między ich samochodem a płonącymi wzgórzami rozciągały się setki połatanych namiotów i szop z kartonów ustawionych pośrodku ulicy. Ludzie krążyli wokół namiotów i nikt nie wyglądał jak Cam. Byli obszarpani, ubodzy, wycieńczeni.

– Może w bazie danych jest błąd. – Luis sięgnął po komórkę.

– Sprawdźmy.

Lilith otworzyła drzwi po stronie pasażera, a Luis i Jean podążyli za nią. Zatrzymali się na krawędzi miasta namiotów. Było tu dziwnie zimno i wiał ostry wiatr. Lilith nie wiedziała, czego szuka – nie spodziewała się już, że spotka tu Cama.

Smród był obezwładniający, jak na wysypisku śmieci, które ktoś zalał benzyną. Lilith oddychała przez usta, próbując znaleźć sens w tym, co widziała. Z początku wydawało jej się, że w okolicy panuje całkowity chaos – biegające wszędzie obszarpane dzieci, mężczyźni sprzeczący się nad wózkami sklepowymi, ogniska płonące w koszach na śmieci. Ale im dłużej przyglądała się świątkowi Dobbs Street, tym więcej sensu nabierał. To była niewielka społeczność rządząca się własnymi zasadami.

– Ja zobaczyłam je pierwsza – powiedziała kobieta w wieku matki Lilith do drugiej, młodszej, i wyrwała jej z rąk parę płóciennych butów.

– Ale to mój rozmiar – sprzeciwiła się druga. Miała jasne dredy i krótką szarą koszulkę. Lilith widziała jej zebra. – Ty nawet dużego palucha byś do nich nie wcisnęła.

Lilith spojrzała na swoje własne rozpadające się wojskowe buty, których sznurówki musiała wiązać, kiedy pękały. Były to od lat jej jedyne buty. Próbowała sobie wyobrazić, że nie ma nawet ich.

– Może powinniśmy się zbierać. – Jean wydawał się podenerwowany. – Porozmawiamy z Camem jutro w szkole.

– Tam.

Lilith wskazała na chłopaka z torbą listonoszką przerzuconą przez ramię, który wyszedł właśnie z ciemnozielonego namiotu.

Cam zatrzymał się na chwilę i wpatrzył w niebo, jakby mógł z niego wyczytać coś, co dla innych pozostawało tajemnicą.

Na tym tle, w zapadającym zmierzchu, wyglądał zupełnie inaczej. Wydawał się starszy, zmęczony. Czy zawsze tak wyglądał? Było jej go

żał. Zastanawiała się, jak bardzo musiał udawać, żeby w szkole robić wrażenie tak pewnego siebie i tajemniczego.

Czy to naprawdę był jego dom? Lilith nie miała pojęcia, że w Crossroads ludzie mieszkają w takich warunkach. Nigdy by się nie spodziewała, że ktoś może mieć gorsze życie od niej i jej rodziny.

Szedł w ich stronę, ale jeszcze ich nie zobaczył. Lilith pociągnęła Jeana i Luisa za rękawy, żeby zejść mu z oczu.

Cam skinął dwóm starszym mężczyznom. Jeden na powitanie uniósł pięść.

– Cześć, brachu.

– Co u ciebie, August? – spytał Cam.

– Nie mogę narzekać. Tylko zęby mnie bolą.

Cam uśmiechnął się do niego.

– Trzymam za ciebie kciuki.

Położył dłoń na ramieniu mężczyzny i spojrzał mu głęboko w oczy. Tamten rozluźnił się, jakby urzeczony spojrzeniem Cama.

Lilith również była urzeczona. Miejscowi w oczach mieli głód, niepewność. Ale nie Cam. Pomimo wyraźnego wyczerpania emanował spokojem, który sugerował, że nic w tym miejscu nie może go dotknąć. Może nic na tym świecie nie mogło go dotknąć. Była to jedna z najpiękniejszych scen, jakie kiedykolwiek widziała. Chciała też taka być – pogodzona ze sobą, samodzielna, wolna.

– Mam dziwne przeczucie, że on rzeczywiście tu mieszka – mruknął Jean.

– Jeśli można to nazwać mieszkaniem. – Luis ruszył w jego stronę.

– Nie musi tu zostać. W domu mamy dwie puste sypialnie. Jestem pewien, że moi rodzice pozwoliliby mu zanoć.

– Zaczekaj – powstrzymała go Lilith. – Mógłby się poczuć zawstydzony, że wysledziliśmy go w tym miejscu. – Wiedziała, że sama byłaby zawstydzona, gdyby sytuacja się odwróciła. – Porozmawiajmy z nim jutro.

Patrzyła, jak Cam podchodzi do płonącego kosza na śmieci przykrytego metalową kratą, na której ojciec przygotowywał dwa hot dogi dla czwórki małych dzieci. Przeciął każdą parówkę na pół i obracał je na ruszcie, ale kiedy Cam zatrzymał się przy nim, mężczyzna zaczął

kroić jedną kielbaskę na mniejsze części.

– Głodny jesteś? – Podał Camowi ćwiartkę parówki.

– Nie, dziękuję. Właściwie... – Sięgnął do torby i wyciągnął z niej paczkę zapakowaną w folię. – Myślę, że dobrze wam to zrobi.

Mężczyzna rozwinął folię, ukazując dużą kanapkę z supermarketu. Zamrugał i odgryzł spory kęs, a resztę rozdzielił między dzieci. Potem z wdzięcznością uściskał Cama.

Kiedy skończyli jeść, najstarszy chłopiec – wydawał się rówieśnikiem Bruce'a – wyciągnął poobijaną gitarę. Cam potargał mu włosy i usiadł między nimi. Próbował nastroić instrument, ale Lilith widziała, że to próżny wysiłek. Dwie struny były zerwane. Mimo to Cam się nie poddawał i wkrótce gitara brzmiała odrobinę lepiej.

– Jakież życzenia?

– Kołysanka – powiedział najmłodszy chłopiec, ziewnąwszy.

Cam pomyślał przez chwilę.

– Nauczyłem się tego od pewnej utalentowanej pieśniarki imieniem Lilith.

Kiedy Cam zaczął grać pierwsze takty „Wygnańca”, Lilith westchnęła. Cam śpiewał piosenkę pięknie i z wielkim uczuciem, nadając jej głębię, jakiej nigdy by się nie spodziewała. Zaśpiewał ją dwa razy. Kiedy skończył, wszystkie dzieci już przysypiały. Stojący za nimi ojciec zaczął cicho klaskać.

– A niech mnie – szepnął Jean.

– Ano.

Lilith drżała i była bliska łez, tak poruszona, że nie mogła powiedzieć nic więcej.

– Powinniśmy iść – stwierdził Luis.

Kilka godzin wcześniej Lilith była przekonana, że skreśliła Cama po raz ostatni. Teraz szła z przyjaciółmi do samochodu Jeana, a w głowie jej się kręciło, jakby świat zmieniał się z każdym jej krokiem.

Mogła być pewna tylko jednego – jak bardzo pomyliła się co do Cama.

DWANAŚCIE



URZECZONY

CAM *SZEŚĆ DNI*

Cam obudził się w zielonym namiocie przy Dobbs Street z zeszywniałym karkiem i bezdomnym psem u stóp. Od przybycia do Crossroads spał tu kilka razy. Czuł się w tym miejscu o wiele mniej samotnie niż na dachu sali gimnastycznej Trumbull.

Delikatnie odepchnął psa i wyjrzał na zewnątrz, na bladoróżowy wschód słońca. Dzień zaczynał się tu wcześnie. Wszyscy byli głodni i niewyspani po ciężkiej nocy. Darmowa jadłodajnia otwierała się o siódmej, a Cam zgłosił się na ochotnika do pracy na porannej zmianie, przed pójściem do szkoły.

Ruszył ulicą, mijając rodziny przygotowujące się do kolejnego dnia, otwierające namioty, przeciągające się, huśtające zapłakane niemowlęta. Podszedł do porzuconego budynku biurowego, który przejęła jadłodajnia, i otworzył szklane drzwi.

– Dzień dobry – powitał go chudy mężczyzna imieniem Jax. – Możesz zacząć tutaj.

Wskazał na porysowany metalowy blat, na którym obok miski spoczywała duża puszka mąki.

Żadnych uprzejmych rozmówek, co Camowi nie przeszkadzało. Dodał mleko i jaja i zaczął przygotowywać ciasto na naleśniki, wiedząc, że młodzi Ballardowie, którzy tak lubili jego muzykę, jako pierwsi ustawią się w kolejce. Pół parówki i kilka kęsów kanapki to żadna kolacja dla rosnącego dzieciaka. Cam szybko zaczął się przejmować rodzinami mieszkającymi na Dobbs Street. Był uzależniony od życia

śmiertelników, i to nie tylko Lilith. Ludzie go fascynowali. Wszystkie te małe płomyki, ciągle zapalające się i gasnące.

– Wszystko w porządku, Cam? – spytał Jax znad kuchenki, na której smażył plastry mielonki. – Nie wyglądasz najlepiej.

Cam odstawił miskę z ciastem naleśnikowym i podszedł do przyciemnianego okna, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu. Jego zielone oczy zapadły się w głąb ciemnych oczodołów. I od kiedy miał obwisłe policzki? A teraz nawet jego ręce wydawały się bardzo stare, pokryte plamami i pomarszczone.

– Nic mi nie jest – powiedział, ale głos mu się załamał.

Wyglądał – i czuł się – koszmarnie.

– Zjedz jakieś śniadanie przed lekcjami.

Jax życzliwie poklepał Cama po plecach, jakby talerz naleśników wystarczył, by wszystkie problemy, jakie sprawiał mu szatan, po prostu znikły.



– Cam...

Lilith odnalazła go przy szafce przed godziną wychowawczą. Przeleciał z Dobbs Street do szkoły, żeby zdążyć wziąć prysznic, zanim w szatni zaczną się tłoczyć członkowie szkolnej drużyny lekkoatletycznej. Pomyślał, że po prysznicu będzie wyglądał odrobinę lepiej, ale kiedy się ubrał, lustro w szatni było dla niego równie mało życzliwe, jak okno w jadłodajni.

Nawet jego stopy się zmieniały, stały się czarne i rozszczerzone, jak stopy potępionych. Już nie mógł wcisnąć na nie swoich butów. Musiał ukraść nową parę ze sklepu motocyklowego w centrum.

– Cześć.

Cam nie mógł się powstrzymać przed wpatrywaniem się w śliczną twarz Lilith.

– Jak się masz? – spytała cicho.

– Bywało lepiej.

Nie chciał się do tego przyznawać, ale prawda wymknęła mu się, zanim zdążył się powstrzymać.

Obok nich przechodziły tłumy uczniów. Wszyscy rozmawiali

o balu maturalnym. Ktoś kopnął piłkę w stronę głowy Cama. Uchylił się w ostatniej chwili.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Lilith oparła się o jego szafkę i uśmiechnęła lekko.

Miała na sobie podkoszulkę Czterech Jeźdźców, związaną w szczupłej talii. Jej włosy wciąż były wilgotne po prysznicu i pachniały frezjami. Pochylił się w jej stronę, nie mógł się powstrzymać.

„Przypomnij mnie sobie”, pragnął powiedzieć, bo gdyby przypomniała sobie Cama, jakim był, kiedy się zakochali, nie widziałyby go jako tej wysuszonej skorupy, którą się stał.

– Myślałem, że wciąż jesteś na mnie wściekła.

Ku jego zaskoczeniu wzięła go za rękę. Jej palce były chłodne i silne, z odciskami od strun gitary na czubkach palców.

– W życiu są ważniejsze rzeczy – powiedziała.

Cam wykorzystał okazję i podszedł bliżej, pragnąc unieść rękę do jej włosów. Wiedział, jakie by były pod dotykiem – wilgotne i cudownie miękkie, tak samo jak w Kanaanie, gdy po kąpieli leżała w jego ramionach na brzegu rzeki, a jej włosy opadały na jego nagi tors.

– Co może być ważniejsze od twojego zaufania?

Lilith przechyliła głowę w jego stronę. W jej oczach pojawiło się rozmarzenie, zastępujące podejrzliwość, do której przyzwyczylił się w tym Piekło. Rozchyliła wargi. Cam wstrzymał oddech...

– No więc, dzieciaki... – Nagle stanął przed nimi Jean Rah. Uniósł zielone okulary przeciwsłoneczne. – Mamy kapelę czy nie?

Lilith cofnęła się i obciągnęła szorty. Wydawała się zażenowana, jak ktoś wychodzący z hipnozy, kto nie mógł sobie przypomnieć, co wydarzyło się przed chwilą.

Cam wiedział, że Jean chciał dobrze, ale w tym momencie miał ochotę mu przywalić.

– Założyłem, że skoro rozmawiacie ze sobą – mówił dalej Jean, widząc minę Cama – pogodziliście się i możemy znowu...

– Właśnie nad tym pracowaliśmy – stwierdziła Lilith.

– To pracujcie szybciej. – Jean pstryknął palcami. – Mamy ważną kwestię do omówienia w związku z balem. – Sprzedał Lilith kuksańca. – Już go spytałaś?

- Spytała mnie o co?
- Czy pójdziesz z nią na bal.

Twarz Lilith zaczerwieniła się gwałtownie, a Cam uniósł brwi. Czekał na o wiele bardziej romantyczny moment, by zaprosić ją na bal. Czy ona naprawdę zamierzała zaprosić jego?

- Oczywiście – odpowiedział szybko. – Z przyjemnością. Jean skrzywił się.

– Nie, stary, to był żart. Przepraszam. Pomyślałem, że się uśmiejesz. Że oboje się uśmiejecie.

Cam przełknął ślinę.

- Umieram ze śmiechu.

– Nie potrzebuję partnera, żeby zagrać piosenkę ze swoim zespołem – stwierdziła Lilith. – Wyluzujcie.

- Tak, królu balu. – Jean się zaśmiał. – Wyluzuj.

Cam pchnął go na szafkę.

- Dzięki, stary.

– Ale rzeczywiście się zastanawiałam, Cam – Lilith bawiła się kosmykiem rudych włosów – czy nie zechciałbyś wrócić do zespołu. – Spojrzała na Jeana. – Już. Powiedziałam. W porządku?

– W porządku. – Cam wiedział, że nie ma sensu zastanawiać się, co skłoniło ją do zmiany zdania. – Oczywiście. Z przyjemnością.

Jean położył jedną rękę na ramieniu Cama, a drugą na ramieniu Lilith.

– A teraz, skoro to już jest ustalone, możemy zająć się ważniejszymi sprawami. Po lekcjach spotkajcie się ze mną na parkingu. Wybieramy się na wycieczkę.

- Dokąd? – spytał Cam.

Niezależnie od tego, czego dotyczyły plany Jeana, podobała mu się myśl, że opuści teren szkoły razem z Lilith.

– Zakupy na bal, na Bitwę Zespołów, zwaną również debiutem. – Jean postukał w cyferblat zegarka. – Zostało sześć dni, a my nie mamy wizerunku.

– Jean, siedzę obok Kimi na poezji – stwierdziła Lilith. – Wiem o pasie z żurawinowej satyny, który zamówiłeś specjalnie, żeby pasował do jej sukienki.

Cam wybuchnął śmiechem.

– Zamknij się i ty też się zamknij. – Jean pokazał najpierw na jedno, później na drugie. – Tak, przez część balu będę nosił pas z żurawinowej satyny. – Ponuro pokręcił głową. – Ale nie podczas występu Zemsty. Wtedy musimy dać z siebie wszystko.

Lilith popatrzyła na swoje krótkie džinsy.

– Zamierzałam włożyć...

– Nie możemy nosić naszych codziennych rzeczy na scenie! – powiedział Jean z wielką powagą. – Nie chcemy, żeby nasza widownia patrzyła na nas tak, jak patrzą na nas teraz.

Cam odchrząknął i spojrział na swoje buty. Czyżby Jean sugerował, że nie powinien nosić ich na scenie? Niestety, nie miał większego wyboru. Popatrzył na uczniów śpieszących się na lekcje.

– Nie jestem pewien, czy oni w ogóle na nas patrzą.

Jean przewrócił oczami.

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie chcesz, żeby ten gość Luc zobaczył cię na scenie i pomyślał, że zostałeś za karę po lekcjach, co?

– Pewnie nie – przyznał Cam, choć nie był pewien, jaki strój mógłby go ukryć przed Lucyferem.

– Musi sądzić, że jesteś z innego świata – mówił dalej Jean.

– Zagramy tylko jedną piosenkę – wtrąciła Lilith. – To by było wielkie marnotrawstwo, gdyby kosmici przylecieli z dalekiej gwiazdy, żeby zagrać jedną piosenkę.

– Rock kręci się wokół marnotrawstwa. Zmarnowany czas, zmarnowana młodość, zmarnowany talent, zmarnowane pieniądze.

Cam zastanawiał się, dlaczego Lilith tak przejmuje się nowym wyglądem, i nagle zrozumiał – pewnie nie mogła sobie pozwolić na nic nowego. Ale to nie powinno jej powstrzymywać przed znalezieniem czegoś szczególnego. Musiał jej pomóc.

– Jean ma rację. Powinniśmy mieć ujednolicony wizerunek. Tylko niezbyt drogi. W tej chwili nie mogę zbyt dużo wydać.

– Nie martw się – powiedział Jean, a Lilith odetchnęła z ulgą. – Poradzę sobie przy ograniczonych funduszach. Spotykamy się za kwadrans czwarta i jedziemy do Armii Zbawienia.

Cam podrapał się po głowie. Jego skórzaną kurtkę uszył ręcznie

sam Bartolomeo we Florencji w roku 1509. Poprzednie buty zabrał zabitemu żołnierzowi amerykańskiej piechoty na polu nad Renem w roku 1945. Dzinsy były z pierwszej partii uszytej przez Levi Straussa w roku 1871. Osobiście zabrał je na Savile Row do przeróbki.

Ach, jakże czasy się zmieniły.

– Wchodzę w to – powiedziała Lilith tuż przed dzwonkiem. – Do zobaczenia po szkole. A tak w ogóle, Cam, podobają mi się twoje nowe buty.



– Idziesz ze mną, i to już.

W porze lunchu Tarkenton złapał Cama za kołnierz, kiedy ten miał nadzieję wyślizgnąć się nad strumień. Poprzedniego dnia w sklepie muzycznym udało mu się zwinąć bardzo fajny pasek do gitary z czarnej satyny i chciał go zostawić jako prezent dla Lilith na sekretarzyku.

– O co jestem oskarżony? – spytał Cam, kiedy Tarkenton zaciągnął go z powrotem do bufetu.

– Niedopełnienie obowiązków jako jeden z kandydatów na króla balu. Panna King poinformowała mnie, że opuściłeś już pięć spotkań. Następnego nie pozwolę ci opuścić.

Cam jęknął.

– Może mógłbym podpisać jakiś formularz zrzeczenia się, żeby zrezygnować? Z pewnością jest jakiś dzieciak, który chciałby zająć moje miejsce.

Tarkenton poprowadził Cama do stolika pośrodku bufetu, przy którym siedziała Chloe King z koleżankami z zespołu. Było tam też trzech gości, których Cam do tej pory bardzo starał się nie poznać. Jedli pizzę, pochylali się do siebie i szeptali. Na widok Cama przestali rozmawiać.

– Siadaj – polecił Tarkenton – weź się w garść i zacznij się zastanawiać nad kolorami balonów jak normalny nastolatek.

Dyrektor wskazał Camowi ostatnie wolne miejsce.

– Jeśli usiądę, pójdziesz sobie? – mruknął Cam, kiedy Tarkenton w końcu zniknął.

Chloe natychmiast przesunęła pudełko z pizzą na środek stołu,

poza zasięg Cama.

– Nie patrz tak na mnie. Próbuję ci pomóc. Z pewnością chciałbyś zrzucić przed balem parę kilo. Zaufaj mi, nie potrzebujesz tej pizzy.

– Nie bądź wredna, Chloe – zażartował chłopak o kwadratowej szczęce, imieniem Dean. – Niech grubasek dostanie swoje.

Cała grupa siedząca przy stole zaczęła się śmiać. Cama nie obchodziło, co te dzieciaki o nim myślą. Przejmował się jedynie czasem, który marnował. Powinien albo być z Lilith, albo robić dla niej coś wyjątkowego.

I wtedy właśnie na stół przed nim upadła złożona kartka. Cam podniósł wzrok i zobaczył przechodzącą obok Lilith. W ręku trzymała tacę z lunchem. Skinęła głową w stronę wiadomości. Na wierzchu czarnym tuszem wypisano jego imię. Rozłożył ją.

TRZYMAJ SIĘ... TYLKO TRZY GODZINY DO WYCIECZKI

Podniesiony na duchu odwrócił się w stronę Lilith. Zajęła miejsce w drugim końcu bufetu, obok Jeana i Luisa. Jadła czerwone jabłko i śmiała się. Jakby poczuła na sobie wzrok Cama, spojrzała w jego stronę, przez całą stołówkę i uśmiechnęła się do niego oszałamiająco, ze współczuciem.

Chloe mogła sobie wsadzić tę pizzę. Uśmiech Lilith był jedynym pokarmem, którego Cam potrzebował.



Po lekcjach honda Jeana skrzyła z piskiem opon na parking Armii Zbawienia i zatrzymała się gwałtownie na dwóch miejscach. Cam musnął palcami dłoń Lilith, kiedy wydostawał się z tylnego siedzenia. Kiedy podniósł wzrok, uśmiechała się, tym samym uśmiechem, co w bufecie. Uśmiechem, który pomógł Camowi przeżyć trzydzieści pięć minut spotkania poświęconego planowaniu balu.

Cam nie miał żadnego zdania na temat tego, gdzie należało ustawić automat do zdjęć, czy DJ powinien nosić smoking, czy może coś mniej oficjalnego, oraz czy potrzebowali kwiatów na stół, na którym miały zostać wystawione księgi pamiątkowe.

Za to był zdecydowany, że Lilith powinna towarzyszyć mu na balu.

Wszystko szło bardzo dobrze, a Luc jak na razie się nie wtrącał, więc Cam był w optymistycznym nastroju. Ale wciąż miał dużo do zrobienia. Musiał sprawić, by wycieczka do sklepu Armii Zbawienia była równie romantyczna, jak wjazd na szczyt wieży Eiffela.

– Dzielcie i rządźcie. – Jean wezwał ich gestem do sklepu z używanymi rzeczami. Wnętrze pachniało naftaliną spryskaną kocim moczem, z lekką nutą starych waniliowych perfum. – Eksperymentujcie i bawcie się dobrze.

– Ale pamiętajcie – dodał Luis, otwierając drzwi przed Lilith – szukamy kostiumów, które mają poprawić naszą prezencję na scenie.

Cam spojrział na pierwszaka i roześmiał się.

– A niech to. Co w ciebie wstąpiło?

– Idę na bal z dziewczyną. – Luis aż zatańczył. – Nic wielkiego.

– W końcu ją zaprosiłeś? – Jean uśmiechnął się do Cama. – Przez cały semestr ślinił się na widok Karen Walker.

– Doskonała robota, Luis. – Lilith przybiła perkusiście piątkę.

Jednakże kiedy ruszyła wzdłuż stojaka pełnego kapeluszy, Cam zastanawiał się, czy nie słyszał nuty zazdrości w jej głosie. Nawet Luis miał teraz parę na bal.

Cam podążył za Lilith do wysokiego zielonego regału. Zaskoczyło go, że tak szybko odszukała najbardziej interesującą część sklepu. Przez lata Cam robił zakupy w setkach takich sklepów, oddawał do nich swoje rzeczy albo nawet w nich pracował. Mógłby wejść do pierwszego z brzegu i od razu wskazać, gdzie są buty, oświetlenie i jak znaleźć naprawdę fajne stare garnitury.

Wydawało się, że Lilith ma ten sam dar. Stała na palcach, by zdjąć z półki trzyczęściowy granatowy garnitur w prążki. Uniosła spodnie, spojrzała na Cama i pokiwała z aprobatą.

– Co myślisz?

– Bomba.

Wziął od niej rzeczy, po czym zaczął przeglądać resztę. Zatrzymał się przy garniturze w drobną kratkę, który był mniejszy od pozostałych i wydawało się, że jest w idealnym stanie. Widział, że marynarka kusząco podkreśli dekolt Lilith, a spodnie będą leżeć na niej idealnie.

– Śliczny – powiedziała, kiedy go jej podał. – Myślisz, że nadaje

się dla mnie?

– Będziesz w nim wyglądać tak świetnie, że nie jestem pewien, czy miasto to wytrzyma.

– Naprawdę? – Uważnie obejrzała tkaninę, szukając plam. – Przymierzę go.

Cam wezwał gestem wysoką kobietę z identyfikatorem.

– Czy mogłaby nam pani pokazać przymierzalnię?

– Na tyłach.

Sprzedawczyni zaprowadziła Cama i Lilith do kąta oddzielonego zasłoną z żółtej flaneli.

– Wskakuj, dzieciaku – zaproponował Cam.

W przebieralni panował bałagan – stare sukienki, peleryny, fedory i piżamy wisiały warstwami na wieszakach i hakach. Zupełnie jakby wszystko, co w ciągu ostatniego dziesięciolecia zostało przymierzone, odrzucono na sterctę.

– Wchodź – powiedziała Lilith i zaciągnęła za nimi zasłonę.

Wewnątrz światło było inne – żarówki w zakurzonych kloszach emanowały stłumionym, niemal romantycznym blaskiem.

– Odwróć się, kiedy będę się przebierać – poleciła.

– Nie wołałabyś, żebym zczekał na zewnątrz?

– Powiedziałam ci, czego chcę. Odwróć się.

Cam spełnił jej prośbę. Słuchał odgłosów jej poruszeń, cichych oddechów, uderzenia plecaka o podłogę, trzasku gumki, kiedy ściągała włosy w kucyk. Coś musnęło jego ramię, a on zorientował się, że Lilith się rozbierała. Sterty ubrań sprawiały, że w przymierzalni nie było dużo miejsca, więc ostrożnie zsunęła z siebie džinsy, a jej nagie biodro otarło się o Cama. Czuł, jak jego skrzydła płoną, domagając się rozłożenia.

– A ty przymierzysz swoje rzeczy czy nie?

Przeszył go przyjemny dreszcz na myśl, że za jego plecami działo się coś niebezpiecznie podniecającego, ale on nie mógł tego zobaczyć, nie mógł zobaczyć ani kawałka jej. Czuł, że wraz z Lilith dzieli tajemnicę, chwilę, która należała tylko do nich.

– Racja.

Ściągnął kurtkę.

Wkrótce stali zwrócenii do siebie nagimi plecami. Dotyk skóry

Lilith w cichej i ciasnej przestrzeni cofnął go w czasie. Zupełnie jakby znów byli nad Jordanem. Jego ciało rozpoznawało każdą linię jej ciała, nie musiał nawet jej widzieć.

Czy Lilith też go rozpoznawała? Dzięki Lucyferowi Cam wyglądał zupełnie inaczej niż w Kanaanie, ale wciąż pragnął się dowiedzieć, czy taka bliskość pobudziła jej wspomnienia.

– Elo! – zawołał Jean z zewnątrz. – Chcemy usłyszeć wasze zdanie.

– Minutkę! – odkrzyknęła Lilith i oboje przebrali się pośpiesznie.

Cam zapiął spodnie w prążki, a po chwili poczuł czubki jej palców na ramionach. Odwróciła go do siebie.

Tyle tylko że Lilith nie miała na sobie garnitur w kratkę. Wybrała jasnoniebieską sukienkę o prostym, klasycznym stroju. Dekolt był głęboki, ale nie przesadnie, a rąbek sięgał do połowy jej uda. Musiała ją znaleźć w stercie rzeczy porzuconych w przymierzalni, ale sukienka wyglądała, jakby została uszyta na miarę.

– Wyglądasz pięknie.

– Dzięki. – Lilith spojrzała z ukosa na garnitur, który wyglądał, jakby został uszyty dla starego Cama... nie na jego obecne ciało. – Na wieszaku wyglądał obiecująco – powiedziała uprzejmie. – Ale przypominasz w nim trochę sprzedawcę używanych samochodów.

– Doskonale, bo ty wyglądasz jak seksowna pani domu z lat pięćdziesiątych, która chce kupić używanego cadillaca.

– Fuj – pisnęła Lilith, ale natychmiast zaczęła się śmiać. – Zdejmij to z siebie natychmiast, zanim przejdiesz tym na stałe.

– A co mam włożyć w zamian? – spytał ze śmiechem.

– Cokolwiek!

Lilith zerwała z kołka na ścianie szare wełniane poncho w żółte i pomarańczowe kwiaty, które wyglądało, jakby kiedyś należało do meksykańskiego desperado.

– Masz!

Cam sięgnął za obszerny zielony szlafrok i wyciągnął hawajską sukienkę z różowej tkaniny przypominającej satynę.

– Tylko jeśli ty przymierzysz to.

– Wyzwanie przyjęte – powiedziała Lilith z rozbawieniem i wzięła

od niego sukienkę.

Pokazała Camowi, żeby się odwrócił.

Znów stali plecami do siebie, Cam nieruchomiał zawsze, gdy czuł musnięcie jej nagiej skóry. Zamknął oczy i wyobrażał sobie, jak hawajska sukienka zsuwa się po jej kształtnych biodrach.

Kiedy się odwrócił, Cam z przyjemnością zobaczył, że z bogatej kolekcji sztucznych roślin w rogu przymierzalni wybrała kwiat orchidei z białego jedwabiu. Włożyła go za ucho.

– Aloha. – Zatrzepotała rzęsami.

– Aloha nawzajem.

– Ten chłopak umie nosić poncho.

Z wyraźną aprobatą obejrzała go od stóp do głów.

Cam wziął Lilith za rękę i odezwał się ze swoim najprzyzwoitszym akcentem z meksykańskiej stolicy.

– Wiem, że pochodzimy z różnych światów, señorita, ale od chwili, kiedy na ciebie spojrzałem, wiem, że muszę cię zabrać na swoje rancho.

– Ale mój ojciec nigdy się na to nie zgodzi! – Lilith doskonale naśladowała głos hawajskiej kapłanki. – Zabije cię, zanim pozwoli, byś mnie zabrał!

Cam pocałował ją w rękę.

– Dla ciebie zaryzykowałbym wszystko, nawet wieczność w płomieniach Piekła.

– Halo! – zawołał Luis zza zasłony. – Co się tam dzieje?

Odnaleźliście już swój wizerunek?

Lilith zachichotała i odsunęła zasłonę, po czym zatańczyła hula.

Przed nimi stał Jean w czarnej fedorze i beżowym trenczu. Luis tymczasem znalazł strój futbolisty, łącznie z ochraniaczami, i jakimś cudem włożył go na swoje ubranie.

– Teraz mi nie podskoczycie, dupki! – krzyknął do sufitu.

– Wspaniale. – Jean popatrzył na nich po kolei i pokręcił głową. – Będziemy wyglądać jak Village People.

– Jeszcze nie skończyliśmy – sprzeciwił się Luis. – Dopiero co tu przyszliśmy.

– Cóż, jak na razie wyglądamy żałośnie – stwierdził Jean. – Poza tobą, Lilith. A teraz może jednak postarajmy się bardziej.

– A powiedział to facet, który wybrał sobie fedorę – mruknął Luis i obaj zniknęli w oceanie sztruksu.

– Co teraz? – spytał Cam, kiedy wraz z Lilith wrócili do przymierzalni. – Jean może być na nas zły, jeśli nie przestaniemy się wygłupiać.

– To brzmi groźnie – zażartowała Lilith. Rozejrzała się po przymierzalni, zaczęła przeglądać zawartość wieszaków. – Zróbmy sobie nawzajem niespodziankę.

Po raz kolejny odwrócili się do siebie plecami. Cam znów poczuł, jak sukienka zsuwa się nad głowę Lilith i pada na podłogę u jego stóp. Z trudem tłumione pożądanie sprawiło, że znów zadrżał.

Wpatrzył się w stojak, który miał przed sobą, i w końcu wybrał beżowy hinduski kaftan. Przełożył go przez głowę i związał przy szyi.

– Co o tym sądzisz? – spytała Lilith kilka chwil później.

Odwrócił się do niej.

Lilith miała na sobie zwiewną, długą do ziemi białą suknię haftowaną w ciemnozielone liście.

– Tamtego dnia zwróciłam na ciebie uwagę przy wioskowej studni... – powiedziała powoli, niskim głosem.

Bawiła się, ale Cam z trudem łapał oddech. Nie widział tej sukni od czasu...

– Gdzie ją znalazłaś?

Lilith wskazała na stertę ubrań pod ścianą, ale Cam nie mógł oderwać od niej wzroku. Zamrugał i zobaczył swoją narzeczoną stojącą przed trzema tysiącami lat w słonecznym blasku nad Jordanem. Dobrze pamiętał, jaką fakturę miała ta cieniutka tkanina, kiedy obejmował Lilith. Pamiętał, jak tren ciągnął się po ziemi, kiedy od niego odchodziła.

To niemożliwe. Tkanina już dawno się rozpadła. Ale w tej sukni Lilith wyglądała dokładnie jak dziewczyna, którą utracił.

Cam oparł się o wieszak, zrobiło mu się słabo.

– Co? – spytała Lilith.

– Co co?

– Najwyraźniej źle w tym wyglądam.

– Nie powiedziałem tego.

– Ale tak pomyślałeś.

– Gdybyś mogła czytać mi w myślach, przeprosiłabyś mnie za tę uwagę.

Lilith wpatrzyła się w sukienkę.

– To miał być żart. – Zawahała się. – Głupota, wiem, ale z jakiegoś powodu... chciałam, żeby spodobało ci się, jak w niej wyglądam.

Wyszła z przymierzalni i stanęła przed lustrem. Cam podążył za nią, patrząc, jak muska palcami haft w talii. Sukienka zaszeleściła, kiedy Lilith pokręciła odrobinę biodrami. Wyraz jej twarzy się zmienił. Oczy znów stały się rozmarzone. Podszedł bliżej.

Czy to możliwe? Czy przypominała sobie coś z ich przeszłości?

– Jesteś najwspanialszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem... – zaczął mówić, zanim zorientował się, co właściwie robi.

– Musimy wziąć ślub w świątyni – odpowiedziała ostro.

– Co?

Cam zamrugnął, ale nagle zrozumiał prawdę. Już wcześniej wypowiedzieli do siebie te słowa, na brzegu rzeki w Kanaanie, kiedy po raz ostatni miała na sobie tę sukienkę.

Lilith napotkała jego spojrzenie w lustrze. Nagle w jej oczach pojawiła się złość, jej twarz się wykrzywiła. Pełna wściekłości odwróciła się w jego stronę. Przeszłość, której nie pamiętała, dobijała się do teraźniejszości. Widział, że Lilith nie rozumie, dlaczego właściwie czuje tak wielką wściekłość, ale jednocześnie jest absolutnie pewna, że ma to związek z Camem.

– Lilith.

Chciał powiedzieć jej całą prawdę. Bolało go, że lepiej od niej rozumie, co czuła.

Nim jednak zdołał powiedzieć coś więcej, Lilith zaczęła się śmiać. Nie był to jednak jej naturalny melodyjny śmiech, tylko wyraźnie wymuszony.

– Co to było? Przepraszam. Czuję się jak idiotka.

Cam spróbował się zaśmiać.

– Żartowałaś?

– Może. – Lilith pociągnęła za guziki z tyłu szyi, jakby sukienka ją dusiła. – Ale mój gniew wydaje się taki prawdziwy. Jakbym chciała rzucić się na ciebie z pazurami i rozszarpać ci twarz.

– O rany – wykrztusił Cam.

– Co w tym wszystkim najdziwniejsze – Lilith wpatrywała się w niego uważnie – ty zachowujesz się, jakbyś na to zasłużył. Jestem na ciebie wściekła i nie mam pojęcia dlaczego. Ale wydaje się, że ty tak. – Przcisnęła dłonie do skroni. – Czy ja oszalałam?

Wpatrywał się w wyhaftowany pęd wspinający się na jej pierś. Musiał skłonić ją do zdjęcia tej sukienki.

– Tamta bardziej mi się podobała – skłamał, wrócił do przymierzalni i podniósł z podłogi nowoczesną niebieską sukienkę. W porównaniu z suknią ślubną Lilith wydawała się tania i przeciętna. – Pomogę ci się wydostać z tego starocia. Śmierdzi naftaliną.

Ale Lilith odsunęła dłoń Cama od guzików przy szyi.

– Powinnam ją kupić. – Jej głos wydawał się zamyślony. – Czuję się w niej bardziej... sobą. – Zawołała kasjerkę. – Ile kosztuje ta sukienka?

– Nigdy wcześniej jej nie widziałam – odparła kobieta po chwili. – Albo dopiero co przyszła, albo od lat leżała na tej stercie w przymierzalni.

Cam wiedział, że prawdą było to pierwsze – i wiedział też, kto ją tam umieścił.

– Jaką najniższą cenę może mi pani zaproponować? – spytała Lilith, rozpięła plecak i zaczęła grzebać w portmonetce. – Mam... dwa dolary i pięćdziesiąt... trzy centy.

Cam poszedł za nią.

– Może nie powinnaś...

– Cóż – powiedziała sprzedawczyni – w piątki sukienki sprzedajemy za pół ceny, a większość ludzi w okolicy woli inny styl niż... cokolwiek to jest. Wezmę od pani dwa dolary pięćdziesiąt trzy centy, proszę podejść do kasy.

– Zaczekaj... – zaczął mówić Cam.

– Doskonale.

Lilith z szelestem sukni ruszyła przejściem między regałami. Nie przebrała się z powrotem.

Zdejmując kaftan, zauważył niewielkiego drewnianego gargulca na półce z bibelotami zwróconej w stronę przymierzalni. Cam i Lilith

w końcu się dogadywali. Ale Lucyfer nie mógł na to pozwolić. Aby wygrać zakład, Lilith musiała pozostać uwięziona w swoim gniewie – a nawet w niego odziana. A nigdy nie była bardziej wściekła na Cama jak w dniu, w którym po raz ostatni nosiła tę suknię.

Teraz, trzy tysiąclecia później, znów ją włoży i poczuje tę furię – w noc balu maturalnego, kiedy Cam najbardziej będzie potrzebował jej przebaczenia.

TRZYNAŚCIE



MÓJ NIEŚMIERTELNY

LILITH *PIĘĆ DNI*

– Czy mogę już ją zdjąć? – spytał Bruce w sobotę, szarpiąc za podkoszulkę, którą Lilith obwiązała jego głowę, żeby nie podglądał.

– Zdejmiesz ją, kiedy ja ci na to pozwolę – odpowiedziała Lilith.

Siedzieli w autobusie komunikacji miejskiej Crossroads. Lilith nacisnęła żółty przycisk z napisem „Stop”, żeby zasygnalizować kierowcy, że ma się zatrzymać na następnym przystanku. Poza parą w średnim wieku, która siedziała z przodu i jadła twixy, Lilith i Bruce byli jedynymi pasażerami.

– Drapie – jęknął Bruce. – I śmierdzi.

– Wytrzymaj, bo warto. – Lilith zasłoniła dłonią oczy brata, bo na jego miejscu z całą pewnością by podglądała. – A teraz chodź.

Poczuła ściskanie w żołądku, kiedy autobus podskoczył na dziurach w asfalcie. Denerwowała się. Chciała, żeby to było coś szczególnego, coś, co Bruce zapamięta. Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy wyraz jego twarzy, gdy pokaże mu niespodziankę.

Autobus zatrzymał się na przystanku. Lilith sprowadziła brata po schodach i przeprowadziła na drugą stronę ulicy, a później zatrzymała się przed witryną, upewniając się, że w kieszeni wciąż ma gotówkę, którą dostała od matki.

Kiedy przed dwoma dniami matka odkryła zapasy jedzenia w lodówce, zaczęła wypytywać Lilith o ich pochodzenie. Dziewczyna skłamała – nie zamierzała wtajemniczać matki w całą historię z Camem – i powiedziała, że za pieniądze uczy gry na gitarze jednego z kolegów

ze szkoły. Matka spojrzała na nią ze szczerym zaskoczeniem, a później zrobiła coś bezprecedensowego – uścisnęła córkę.

Lilith była tak zaskoczona, że nie próbowała się wyrwać.

A poprzedniego wieczoru, kiedy matka wróciła z pracy, zapukała do drzwi jej pokoju. Lilith siedziała i wpatrywała się w swoją szafę, ale szybko zamknęła drzwi, zasłaniając wiszącą w środku dziwną białą suknię. Od powrotu ze sklepu z używaną odzieżą przymierzyła ją już dwa razy. Suknia sprawiała, że Lilith tęskniła za czymś, czego nie umiała ubrać w słowa. Nie miała w sobie nic rockandrollowego, ale pasowała Lilith lepiej niż cokolwiek, co dziewczyna nosiła w życiu. Nie mogła przestać myśleć o spojrzeniu, jakie posłał jej Cam, kiedy odwróciła się do niego w przymierzalni.

– Cześć, mamó – powiedziała od niechcienia, otwierając drzwi.

Matka wyciągnęła dwadzieścia dolarów.

– Co to?

– Wydaje mi się, że nazywają to kieszonkowym. – Matka uśmiechnęła się. – W tym tygodniu mam trochę wolnej gotówki, bo ty zajęłaś się zakupami. – Zawahała się. – To było naprawdę wielkoduszne z twojej strony, Lilith.

– To nic takiego.

– Dla mnie tak. – Skinęła na pieniądze w dłoni córki. – Zabaw się. Weź ze sobą Bruce’a.

Tak właśnie zrobiła.

– Gdzie jesteśmy? – jęknął Bruce, drapiąc się po czole w miejscu, w którym podkoszulka była zaciśnięta naprawdę mocno.

Lilith wzięła go za rękę i pchnęła witrażowe drzwi Lanes, jedynej kręgielni w Crossroads. Uderzyła ją fala klimatyzowanego powietrza, woń taniej pizzy z dużą ilością oregano i sosu serowego do nachos, migające światła nad torami i wrzaski setki dzieciaków pobudzonych zbyt wielkimi ilościami cukru.

Po chwili wszystko zagłuszył trzask kuli zbijającej dziesięć kręgli.

– Striiike! – krzyknął Bruce, wciąż z zasłoniętymi oczami, i potrząsnął pięścią.

Lilith zerwała mu koszulkę z głowy.

– Skąd wiedziałeś?

Brat otworzył szeroko oczy. Zatoczył się do przodu i znieruchomiał, opierając łokcie na maszynie do odnawiania kul.

– Nie wiedziałem – powiedział w końcu. – Udawałem.

Lilith zapało dech w piersi, kiedy Bruce mocno ją objął.

– Całe życie chciałem tu przyjść! Codziennie błagałem o to mamę!

A ona zawsze powtarzała...

– Wiem.

– „Jeśli poczujesz się dość dobrze, synu” – powiedzieli jednocześnie, naśladowując zmęczony głos matki.

Po ostatniej wizycie Bruce’a w szpitalu ich matce zdarzały się chwile pogody, a nawet życzliwości. Jednak tego ranka, kiedy Lilith zaprosiła ją, żeby towarzyszyła im w Lanes, matka przypomniała jej ze złością w głosie, że przecież wzięła zmianę w szkole wieczorowej.

– A teraz czuję się lepiej. – Bruce zaśmiał się, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć. – I oto jesteśmy tutaj! Dziękuję!

– Cała przyjemność po mojej stronie. A raczej po stronie mamy. – Lilith pokazała bratu pieniądze.

– To niesamowite!

Lilith zamrugła, walcząc ze łzami radości, kiedy patrzyła na brata rozglądającego się dookoła. Był urzeczony widokiem dziewczynki w jego wieku uginającej się pod ciężarem migoczącej kuli, dzieciaków jedzących pizzę i czekających na swoją kolej. Zbyt rzadko zdarzało mu się być normalnym dzieckiem.

Rozejrzała się po wnętrzu kręgielni. Na drugim końcu sali z zaskoczeniem zauważyła Karen Walker, z którą chodziła na biologię. Była w towarzystwie kilku dziewczyn, które Lilith kojarzyła ze szkoły i które wykrzykiwały radośnie, kiedy Karen cieszyła się z dobrego rzutu.

Karen była nieśmiała, ale nigdy nie odezwała się niemiło do Lilith, a do tego szła na bal maturalny z Luisem, dzięki czemu zdobyła u Lilith kilka dodatkowych punktów. Poza tym musiała się choć trochę interesować muzyką, skoro zgodziła się zostać technikiem Chloe King. Lilith nigdy nawet nie pomyślała, że mogłaby zaprzyjaźnić się z Karen, ale teraz czułaby się głupio, gdyby nie podeszła, żeby się z nią przywitać.

– Pójdę po buty – zaproponowała.

Bruce pokręcił głową.

– Nie chcę grać w kręgle.

– Serio? – Lilith spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– No przecież. – Jego oczy zabłysły, kiedy wskazał na ciemne wejście za automatami z przekąskami, nad którym migotały czerwone, żółte i zielone światła. – Gry.

Lilith uśmiechnęła się. Znów spojrzała w stronę toru Karen Walker, ale to był dzień Bruce'a. Może porozmawia z Karen jutro.

– Prowadź – powiedziała bratu.

Podążyła za Bruce'em do sali gier i z zaskoczeniem stwierdziła, że czuje się w niej dziwnie komfortowo. Wewnątrz nie było żadnych okien ani górnych światel. Nikt nie patrzył nikomu w oczy. Każdy skupiał się na swojej fantazji, czy to przesiąkniętej krwią, czy paliwem.

Bruce przyjrzał się każdej z gier, dużo czasu spędził, wpatrując się w przerażającego zielonego demona wymalowanego z boku gry o nazwie *Kolec śmierci*. Wkrótce stanęli przy stole do gry w hokej powietrzny. Bruce podniósł jedną z fluorescencyjnych rakietek i z hałasem przesunął nią po blacie.

– Chodź. – Przesunął drugą raketkę w stronę siostry. – Zagrajmy.

Wrzuciła kilka monet do otworu pod stolikiem. Bruce pisnął, kiedy z niewielkich otworów wyleciało zimne powietrze.

– Jesteś gotowa, żebym ci podał twój tyłek na tacy?

– Wcale tego nie słyszałam.

Lilith chwyciła drugą raketkę i zajęła pozycję za bramką.

Bruce był taki podekscytowany – odkryła, że to uczucie jest zaraźliwe.

– Już nie jestem chory, więc odpuść sobie całe to „pozwólmy Bruce'owi wygrać”, dobra?

– A teraz już się prosisz.

Żadne z nich nigdy wcześniej nie grało w hokeja powietrznego, ale wydawało się, że istnieją dwa sposoby popychania krążka – zupełnie prosto albo z boku. Jeśli popchnęło się z boku, przeciwnik musiał się rzucać i skakać jak wariat. Trafienie prosto w bramkę było upokarzające dla przeciwnika.

Bruce wolał strzelać z boku. Trzy razy próbował zdobyć punkt

przy swojej zagrywce, po czym przerzucił się na bardziej podstępny taktę. Niepokojąco długo trzymał krążek w swoim rogu, po czym wskazał ponad jej ramieniem i zawołał:

– Ej, a co to?

I w tej samej chwili wystrzelił krążek prosto w jej stronę.

– Niezła próba – powiedziała Lilith, strzelając prosto do jego bramki.

Dominowała przez pierwszą połowę rozgrywki, ale Bruce się nie poddawał. Najwyraźniej doskonale się bawił.

Kiedy było pięć do pięciu, w głośnikach zabrzmiało „Bye Bye Love” Everly Brothers. Lilith zaczęła śpiewać, jednak zorientowała się, że to robi dopiero wtedy, kiedy dołączył do niej Bruce. Od lat tego nie robili. Jej brat miał oszłamiający głos i nawet kiedy z całej siły uderzył w krążek, nie zaśpiewał jednej fałszywej nuty.

I wtedy, w ciemności za plecami Lilith, zabrzmiał trzeci głos. Kiedy się odwróciła, zobaczyła Cama opartego o automat *Ms. Pac-Man* i przepuściła ważną bramkę.

– Tak! – wykrzyknął radośnie Bruce. – Dzięki, Cam!

– Co ty tu robisz? – spytała Lilith.

– Nie przestawajcie grać... ani śpiewać... z mojego powodu. – Cam założył ciemne okulary i czarną włóczkową czapkę, a motocyklową kurtkę zapiął pod szyję. Lilith podobało się to zestawienie. – Wasze głosy trzymają się razem jak żeglarski węzeł.

– Co to znaczy? – zainteresował się Bruce.

– Wasza więź jest silna. W muzyce nie ma piękniejszej harmonii od współbrzmienia rodzeństwa.

– Masz rodzeństwo? – spytała Lilith.

Cam nigdy nie mówił o swojej rodzinie ani przeszłości. Pomyślała o wycieczce na Dobbs Street i zielonym namiocie, z którego wychodził. Naprawdę tam mieszkał? Dzielił go z kimś jeszcze? Im więcej czasu spędzała z Camem, tym dziwniej się czuła, że tak mało o tym wie.

– Co ważniejsze – dodał Bruce, wykorzystując rozproszenie Lilith i strzelając jej ostatniego gola. – Czy chcesz zagrać ze zwycięzcą?

– Nigdy wcześniej nie miałem tego zaszczytu. – Cam uśmiechnął się do Lilith.

Podawała mu swoją raketkę.

– Proszę bardzo.

Cam zdjął okulary i położył je na niedużym stoliku razem z komórką. Wziął raketkę od Lilith, a tym razem, kiedy ich palce się zetknęły, to Lilith znieruchomiała, by wszystko potrwało chwilę dłużej. Cam to zauważył – świadczył o tym jego uśmiech, kiedy stanął na pozycji, i spojrzenie, które jej nie opuszczało, choć zaraz miał rozpocząć grę. Lilith zarumieniła się, wrzucając kilka kolejnych monet, by mogli zaczynać.

Bruce rozwalił Cama swoim pierwszym serwisem. Cam próbował strzelić z boku, ale trafił prosto w róg Bruce'a. Bruce uwolnił krążek i błyskawicznie wbił go do bramki Cama.

– Tak! – wykrzyknął.

– Ziemskie przedmioty nie powinny poruszać się z taką prędkością – mruknął Cam.

Zauroczone tym, jak poważnie traktował grę z jej bratem, Lilith wyciągnęła spod stolika czarny taboret i usiadła.

Cam dużo się ruszał – machając raketką, miotał się we wszystkie strony. Ale nie poruszał się dość szybko, choć nie umiała ocenić, czy celowo pozwalał jej bratu dominować. Bruce z każdą strzeloną bramką wydawał się coraz lepszy.

To było dobre – taka więź między nimi dwoma. Od kiedy ich ojciec wyniósł się z miasta, Bruce nie miał zbyt wielu autorytetów, ale z Camem od razu zaskoczyło. Lilith wiedziała dlaczego. Cam był zabawny, nieprzewidywalny, w jego pobliżu działały się ekscytujące rzeczy.

Jej uwagę przyciągnęło migoczące światełko i spojrzała z góry na telefon Cama. Krótkie, niewinne spojrzenie powiedziało jej, że właśnie przyszedł do niego mail. Dłuższe i mniej niewinne spojrzenie pozwoliło jej odczytać tytuł wiadomości: „*Cudzy blues*” *Lilith Foscor*.

– Jak ty strzeliłeś kolejną bramkę? Nawet nie widziałem krążka! – krzyknął Cam do Bruce'a.

Lilith przesunęła palcami po telefonie, znów rozjaśniając ekran. Tym razem zobaczyła nazwisko nadawcy: Ike Ligon.

– Co to ma być? – szepnęła.

Nie była dumna z tego, co wydarzyło się później.

Jeszcze raz spojrzała na plecy Cama, który przyjmował kolejny serwis Bruce'a. Później przesunęła palcem po ekranie dotykowym, żeby otworzyć mail.

Droga Lilith,

przeczytałem Twoją piosenkę. Od razu zobaczyłem, że pisanie tekstów jest dla Ciebie ważne. Masz talent. Prawdziwy talent. Wiem, że King Media zamierza ogłosić zwycięzcę konkursu, ale sam również chciałem się z Tobą skontaktować. Wygrałaś, dzieciaku. Pokonałaś wszystkich. Gratulacje. Nie mogę się doczekać, kiedy uścisknę Ci rękę.

Lilith pozwoliła, by ekran telefonu pociemniał.

Ike'owi Ligonowi podobała się jej piosenka?

Zacisnęła wargi. To nie wydawało się możliwe. Ze wszystkich uczniów, to ona zwyciężyła?

Nawet po tym, jak przestała się złościć na Cama za to, że wysłał jej tekst, nie spodziewała się zwycięstwa. Chloe King miała wygrać, bo Chloe King zawsze wygrywała, taki już był świat. Skąd więc ten mail?

Musiał być żartem.

Znieruchomiała. Cóż za przygnębiający pierwszy odruch. A jeśli to nie był żart? Dlaczego nie mogła się cieszyć jak każda inna dziewczyna w szkole? Dlaczego nie mogła zaakceptować tego, że Ike'owi Ligonowi podobała się jej piosenka, że uważał ją za obdarzoną prawdziwym talentem, zamiast podejrzewać, że ktoś sobie z niej zażartował? Dlaczego podawała w wątpliwość wszystkie dobre rzeczy, które jej się przytrafiały?

Na ekran komórki Cama spłynęła łza. Lilith powróciła myślami na salę gier, odwróciła się i wpatrzyła w dywan, w który wdeptano liczne gumy do żucia.

Bruce podszedł do niej.

– Wszystko w porządku?

Kiedy uniosła głowę, zorientowała się, że Cam na nią patrzy.

– O co chodzi?

Podawała mu telefon.

– Ike Ligon właśnie przysłał ci wiadomość.

Podrapał się po brodzie. Kwestia wysłania jej tekstu bez jej wiedzy

nadal była bolesna, a Lilith widziała, że Cam wciąż czuje się winny.

Przełknęła ślinę.

– Podoba mu się moja piosenka.

– Nigdy w to nie wątpiłem.

– Wygrałam.

Nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć. Przed pojawieniem się Cama muzyka była ucieczką, namiętność marzeniem, a miłość niemożliwością. Od jego przybycia wszystkie te trzy rzeczy wydawały się połączone, jakby musiała wykorzystać je wszystkie, by stać się innym człowiekiem.

Bała się.

Cam rzucił Bruce'owi monetę i wskazał na grę po drugiej stronie stolika do hokeja powietrznego. Kiedy chłopiec odbiegł, Cam zbliżył się do Lilith.

– To wielka sprawa.

– Wiem. Bitwa Zespołów...

– Większa od Bitwy Zespołów.

– Proszę, nie mów, że jest większa od balu maturalnego – zażartowała.

– Oczywiście, że nie. Nic nie jest większe od balu maturalnego. –

Cam się roześmiał, jednak jego twarz zaraz spoważniała. – Możesz mieć wszystko, co tylko zechcesz w życiu. Wiesz o tym, prawda?

Lilith zamruwała. O co mu chodziło? Była biedna i nielubiana.

Owszem, ostatnio nawiązała kilka przyjaźni, owszem, miała swoją muzykę, ale ogólnie jej życie wciąż było do niczego.

– Niezupełnie – powiedziała.

Cam się nachylił.

– Po prostu musisz bardzo tego chcieć.

Serce Lilith zabiło szybciej. Miała wrażenie, że temperatura na sali gier podniosła się do tysiąca stopni.

– Nawet nie wiem, czym jest „to”.

Cam przez chwilę się zastanawiał.

– Przygody. Wolność. – Odetchnął. – Miłość.

– Miłość?

– Tak, miłość. – Znów się uśmiechnął. – Wiesz, ona jest możliwa.

– Może tam, skąd pochodzisz.

– A może – Cam uderzył się w pierś – właśnie tutaj.

Byli tak blisko, że czubki ich nosów niemal się dotykały, a ich wargi prawie...

– O czym rozmawiacie? – spytał Bruce, nie podnosząc wzroku znad swojej gry, i wystrzelił kolejne sto pocisków w stronę armii potworów.

Lilith odchrząknęła i zawstydzona odsunęła się od Cama.

– O Bitwie Zespołów – odpowiedzieli jednocześnie.

Cam wyciągnął jedną rękę do Lilith, a drugą do Bruce'a.

– Chodźmy to uczcić.

Zaprowadził ich do baru w głównej sali kręgielni. Posadził Bruce'a na stołku pokrytym czerwonym skajem i wezwał gestem kelnerkę z natapirowanymi blond włosami.

– Dzbanek waszego najlepszego piwa korzennego – powiedział Cam.

Uwielbiała piwo korzenne. Czyżby kiedyś mu o tym wspomniała?

– I wielkie wiadro prażonej kukurydzy z dodatkowym masłem dla tego gościa. – Wskazał palcem na Bruce'a, który potrząsnął pięścią.

Cam wyciągnął telefon i zaczął coś szybko wystukiwać.

– Co robisz? – spytała.

– Przekazuję dobre wieści Jeanowi i Luisowi.

Po chwili pokazał jej wiadomość, którą dostał od Jeana. Składała się z samych emotek – wybuchające fajerwerki, bukiety kwiatów, gitary, klucze wiolinowe i z jakiegoś niewyjaśnionego powodu samurajski miecz.

Lilith uśmiechnęła się szeroko – jej przyjaciel naprawdę cieszył się razem z nią.

– Cóż za zbieg okoliczności.

Lilith odwróciła się i zobaczyła, jak Luis wyciąga szeroko chude ramiona, żeby ją objąć. Ześlizgnęła się ze stołka i przytuliła go mocno.

– Ej, moja pani będzie zazdrosna.

Luis odsunął się, przepuszczając Karen Walker i kilka jej koleżanek.

– Luis przekazał nam dobre wieści, Lilith – powiedziała Karen z uśmiechem.

– Jak to dobrze, że przyszedłem tu spotkać się z Karen i mogę wznieść toast na twoją cześć.

– O to chodzi? – Lilith roześmiała się i zarumieniła.

– Oczywiście – odparł Luis.

– Zasłużyłaś na to – dodała jedna z przyjaciółek Karen.

Lilith nie знаła jej imienia, ale pamiętała ją z otwartego mikrofonu pana Davidsona. Do tej pory zakładała, że dziewczyna jej nie znosi, podobnie jak zakładała, że nie znosi jej reszta szkoły.

– Naprawdę dobrze grasz.

– Dzięki. – Lilith czuła się przytłoczona radością. – Macie ochotę na prażoną kukurydzę?

Cam już rozlał piwo korzenne do kubków dla wszystkich. Uniósł swój i uśmiechnął się do Lilith.

– Za Lilith. I „Cudzy blues”.

– Za to wypiję. – Bruce jednym haustem wypił zawartość swojego kubeczka.

Popijając korzenne piwo w otoczeniu niespodziewanych przyjaciół, brata i Cama, myślała o tekście swojej piosenki. Napisała ją, kiedy była ponura i samotna. Słowa wylewały się z niej jak swego rodzaju oczyszczenie – jedyna terapia, na jaką mogła sobie pozwolić. Nigdy nie sądziła, że te smutne słowa mogłyby doprowadzić do czegoś tak radosnego.

I nigdy by do tego nie doszło, gdyby Cam w nią nie uwierzył. Ta chwila była dowodem, że powinna uwierzyć w siebie.

Może Cam był nieco zbyt bezpośredni. Może ją prowokował... często. Może zrobił rzeczy, których robić nie powinien. Ale kto tego nie robił? Nie przypominał nikogo, kogo znała. Zaskakiwał ją. Rozśmieszał. Troszczył się o jej brata. Kiedy stał obok, czuła ściskanie w żołądku – przyjemne. Teraz był z nią tutaj i świętował. Wszystko to sprawiło, że Lilith aż się zakołysała. Złapała za stółek barowy, żeby nie upaść, i zrozumiała:

Tak wyglądało zakochanie.

Zakochiwała się w Camie.

INTERLUDIUM



NIEZNAJOMY

PLEMIĘ DANITÓW, PÓŁNOCNY KANAAN *OKOŁO 1000 R. P.N.E.*

Słońce już nie wschodziło nad Lilith. Blask księżycyca już nie wypełniał jej snów. Dryfowała przez kolejne dni, wciąż ubrana w haftowaną suknię ślubną, teraz przepoconą i ubłoconą, przyciągając zaniepokojone spojrzenia reszty plemienia.

Bez Cama jej świat był ponury.

Kiedy w pewien szary i mglisty poranek Lilith krążyła nad rzeką, poczuła dłoń na ramieniu. To był Dani. Nie widziała go od dnia, w którym Cam odszedł. Jego widok ją zranił, ponieważ był częścią świata kojarzącego się jej z byciem zakochaną. Dani nie pasował do tej pustki.

– Czuję się, jakbym patrzył w lustro. – Szare oczy Daniego były pełne troski. – Nigdy nie sądziłem, że ktoś inny może tak bardzo cierpieć.

Lilith zawsze lubiła Daniego, ale wiedziała, że bywał nieco próżny.

– Mówili, że powróciłeś do swojego plemienia.

Pokiwał głową.

– Jestem tu tylko przejazdem.

– Skąd? Czy...

Dani zmarszczył czoło.

– Nie wiem, gdzie on jest, Lilith.

Zamknęła oczy. Nie umiała udawać, że nie o to zamierzała spytać.

– Chciałbym móc ci powiedzieć, że będzie łatwiej – mówił dalej Dani – ale kiedy naprawdę się kogoś kocha, nie jestem pewien, czy to

w ogóle możliwe.

Lilith wpatrzyła się w jasnowłosego chłopaka, widziała ból w jego oczach. Liat odeszła miesiąc przed Camem, a jednak Dani mówił, jakby cierpiał od stuleci.

– Do widzenia, Dani. Życzę ci szczęśliwszych dni.

– Do widzenia, Lilith.

Nie zdejmując sukni, zanurkowała w rzece. Chłód wody przypomniał jej, że żyje. Wyprostowała się, położyła na plecach i wpatrywała w parę szpaków krążących po niebie. Zanim się zorientowała, prąd zaniósł ją za zakręt i znalazła się na wysokości znajomego brzegu porośniętego dzikimi kwiatami.

Tam po raz pierwszy trzymała Cama za rękę, poczuła jego dotyk.

Brodząc w wodzie, wyszła na brzeg. Wycisnęła wodę z włosów, ale przemoczona suknia była dla niej ciężarem. Gałęzie szarańczynu wyciągały się w jej stronę, znajome jak stary kochanek.

To było jej miejsce, zanim stało się miejscem jej i Cama. Przycisnęła dłonie do szorstkiej kory drzewa i wymacała dziuplę, w której ukryła lirę. Wciąż tam była.

Pozostawiła ją na swoim miejscu.

Zagrzmiało, a niebo pociemniało złowrogo. Zaczął padać ostry, zimny deszcz. Zamknęła oczy i pozwoliła, by wypełnił ją ból straty.

– „Zabierz moją miłość, kiedy odejdziesz”.

Lilith otworzyła oczy, zaskoczona sposobem, w jaki piosenka się do niej podkraśla, jakby przyniósł ją deszcz.

Piosenka była szorstka i udręczona, jak ona sama.

Zaśpiewała słowa na głos, zmieniając kilka nut w melodii. Z góry dobiegły ją oklaski. Poderwała się na równe nogi i ujrzała siedzącego na gałęzi chłopaka – wyglądał na jej rówieśnika.

Przycisnęła dłoń do piersi.

– Przestraszyłeś mnie.

– Proszę o wybaczenie – odparł chłopak.

Miał kanciastą twarz, falujące kasztanowe włosy i brązowe oczy. Jak większość mężczyzn z jej plemienia, nosił płaszcz z wielbłądziej skóry, spod którego wystawały jednak dziwne spodnie z szorstkiej niebieskiej tkaniny, obcisłe w kostkach, i idealnie białe pantofle,

zawiązane w skomplikowany sposób cienkimi białymi sznurkami. Musiał przybyć z bardzo odległej wioski.

Zeskoczył na niższą gałąź i spojrzał na nią. W jego włosach błyszczały krople deszczu.

– Pisziesz piosenki? – spytał ją.

Oprócz liry w dziupli kryła się pergaminowa księga, którą ojciec dał jej w prezencie z okazji żniw. Zapisała w niej wszystkie swoje pieśni.

– Kiedyś tak. Już nie.

– Ach. – Chłopiec zeskoczył z gałęzi. – Cierpisz.

Lilith nie była pewna, skąd ten chłopak mógł wiedzieć, jak się czuła.

– Widzę to w twoich oczach – mówił dalej. – Wszyscy wielcy twórcy muzyki mają jedną cechę wspólną: złamane serce. Z tego czerpią natchnienie. – Pochylił się. – Może pewnego dnia podziękujesz Camowi za natchnienie.

Serce Lilith zabiło szybciej.

– Co wiesz o Camie?

Chłopiec uśmiechnął się.

– Wiem, że wciąż za nim tęsknisz. Mam rację?

Daleko przed sobą Lilith widziała swoją wioskę. Słyszała głosy sióstr.

– Wierzę, że moje serce jest złamane bardzo głęboko. Mam nadzieję, że najgłębiej na świecie, bo nie życzę nikomu takiego cierpienia.

Zamknęła oczy i pomyślała o Camie. Był dla niej wszystkim. Teraz to wszystko zniknęło.

– Zaslługujesz na wyjaśnienie. – Chłopak jakby czytał jej w myślach.

– Tak.

– Chcesz go zobaczyć.

– Rozpaczliwie.

– Chcesz go przekonać, że był głupcem, popełnił największy błąd we wszechświecie, że nigdy nie znajdzie miłości takiej jak twoja? – Jego orzechowe oczy zamigotały. – Wiem, gdzie on jest.

Wstała, czuła się obolała.

– Gdzie?

– Mogę zabrać cię do niego, ale muszę cię ostrzec, że podróż będzie długa i niebezpieczna. I jeszcze jedno. Nie będę wracać tą samą drogą.

Zaczekał chwilę, by dotarło do niej znaczenie jego słów. Znow spojrzała w stronę swojego plemienia i wyobraziła sobie, że już nigdy więcej nie usłyszy szelestu pędów zboża gotowego do zbiorów, szmeru wody ze studni, śmiechu sióstr. Czy warto było to porzucić, by znow zobaczyć Cama?

– Kiedy możemy wyruszyć?

– Czy mam przedstawić ci moją propozycję? – spytał chłopak.

Lilith czuła się zdezorientowana.

– Twoją propozycję?

– Zabiorę cię na spotkanie z Camem. – Chłopiec zatarł ręce. – Jeśli się pogodzicie, zostanieie razem. Ale jeśli twoja prawdziwa miłość ci odmówi... – Zrobił krok w jej stronę. – Zostaniesz ze mną.

– Z tobą?

– W moim świecie przyda się odrobina piękna i natchnienia... twój głos, twoja poezja, twoja dusza. – Chłopiec zaczął się bawić łańcuszkiem na szyi. – Pokażę ci miejsca, w których nigdy nie byłaś.

Lilith nie pragnęła zwiedzać świata. Chciała zobaczyć Cama. Chciała się pogodzić, odnowić ich miłość, a później, kiedy znow będzie to miało sens, ślub, rodzina – jak planowali.

Spojrzała na chłopaka, który stał przed nią. Nawet nie znała jego imienia. Coś w nim sprawiało, że czuła się niepewnie. A jednak... gdyby mógł zaprowadzić ją do Cama...

Sięgnęła do dziupli po lirę i książkę. Czy po raz ostatni ukrywała muzykę w ulubionym drzewie, po raz ostatni spoglądała na migoczącą wodę w tym zakolu Jordanu? A co z jej rodziną i przyjaciółmi?

Gdyby została tutaj, nigdy nie dowiedziałyby się, co mogłoby się stać.

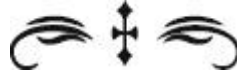
Zamknęła oczy i powiedziała:

– Jestem gotowa.

Chłopak wziął ją za rękę i powiedział przyciszonym głosem:

– Właśnie zawarłaś coś, co kiedyś będzie nazywane „umową”.

CZTERNAŚCIE



NOWE ZERO

CAM *CZTERY DNI*

Następnego ranka po spotkaniu z Lilith i Bruce'em w salonie gier Cam siedział obok Lucyfera na szczycie popękanej drewnianej tablicy wyników. Patrzyli z góry na boisko piłkarskie i wznoszące się za nim wiecznie płonące wzgórza.

Powietrze było wilgotne i pełne dymu. O siódmej rano w szkole panowała cisza głębsza niż na cmentarzu Sword & Cross tuż przed tym, jak Cam dowiedział się, że Lilith żyła w niekończących się piekłach, kiedy on martwił się jedynie gierkami z Luce i Danielem. Żałował, że nie doceniał, jak uroczo proste było wtedy jego życie.

Pozostały cztery dni do końca jego zakładu z szatanem, a Cam nie miał pojęcia, jaki będzie wynik. Były chwile – jak wtedy, gdy Lilith przymierzyła suknię ślubną – kiedy wyczuwał, że ich bolesna przeszłość prawie do niej wracała. I choć z całego serca miał nadzieję, że prawie się w nim zakochała, jeszcze nie wypowiedziała tych słów.

Nawet się nie pocałowali.

Lucyfer sięgnął do papierowej torby i podał Camowi styropianowy kubek z parującą zawartością. Wciąż udawał Luca, ale kiedy był sam na sam z Camem, nie ukrywał przerażającego warczenia, swojego prawdziwego głosu.

– Choćbyś przeżył kolejne szesnaście miliardów lat, nie przestałbyś być naiwny.

– Wolałbym raczej być naiwny niż cyniczny. – Cam pociągnął łyk kawy. – Poza tym, jak wyjaśnisz to, co się wydarzyło? Ona się zmieniła.

Kiedy raz wprawisz piłkę w ruch, nie wiesz, dokąd poleci.

– Taki jest urok bycia drugim. – Lucyfer uśmiechnął się, ukazując larwy kłębiące się między zębami. – Nikt się nie spodziewa, że zwyciężysz. Popatrz!

Pod nimi drewniana tablica wyników zaświeciła, słowa „Gospodarze” i „Goście” zabłysły w blasku porannego słońca. Szatan rozłożył spatynowane skrzydła i opadł na trybuny, po czym gestem wezwał do siebie Cama.

Cam odstawił kawę, rozejrzał się dookoła, żeby się upewnić, że jest sam, i rozłożył skrzydła. Miał na to ochotę za każdym razem, kiedy był z Lilith. Jednak nie mógł jej jeszcze ukazać swojej prawdziwej tożsamości. Może nigdy nie będzie mógł.

Poczuł, jak skrzydła rozwijają się za nim. Lucyfer wpatrzył się w nie uważnie.

– Co tam się dzieje? – Szatan zmrużył oczy.

Cam próbował nie zrobić zaskoczonej miny na widok swoich cętkowanych skrzydeł, w połowie złotych, a w połowie białych.

– Sam mi to powiedz. – Cam zeskoczył ze szczytu tablicy i opadł na trybuny obok Lucyfera. Wrażenie unoszenia się na wietrze, nieważkości, było cudowne. – Moje włosy, talia, skrzydła. To ty tu jesteś genialnym stylistą, nie?

Trybuny zaskrzypiały pod ich ciężarem, a gdzieś ze środka dobiegł szelest, szmer tkaniny. A może to był jedynie odgłos zwijających się łuskowatych skrzydeł Lucyfera. Cam również ukrył skrzydła, by nie padło na nie spojrzenie śmiertelnych oczu.

– Jesteśmy teraz, jak to określam, w trzeciej kwarcie. – Lucyfer wypuścił chmurę czarnego dymu, która zawirowała w powietrzu, wzniosła się nad tablicę wyników i zniknęła. W prostokącie oznaczającym kolejne kwarty zaświeciła cyfra 3. – Zobaczmy, jak sobie radzą nasze drużyny.

Wargi Lucyfera zadrżały i Cam uświadomił sobie, że szatan też nie jest pewien, jaki będzie wynik ich rozgrywki. Sprowadził go tutaj, by ocenić pewność siebie drużyny gości. Cam nie mógł pozwolić, by Lucyfer zobaczył jakąkolwiek słabość – szatan wykorzystałby każde zauważone pęknięcie fasady.

– Twoje pierwsze posunięcie było trafione, muszę to przyznać. Założenie zespołu z Lilith: punkt! – Na tablicy wyników pod „Goście” pojawiła się cyfra 1. Później Lucyfer się roześmiał. – Kradzież jej dziennika, a później rozprawienie tekstów piosenki? Zdecydowanie punkt dla *moi*.

Kiedy pod „Gospodarze” pojawiła się liczba 100, Luc rozwinął skrzydła, podleciał do przodu i kilka razy uderzył w tablicę.

– Co tam się dzieje?

Wrócił na trybuny, a Cam przyglądał się, jak jego skrzydła chowają się w ramionach. Połyskiwały ciemno w blasku poranka.

– Uleczyłem jej brata – zauważył Cam. – To warte więcej niż cokolwiek, co próbowałeś zrobić.

– Muszę ci to przyznać. – Pod „Goście” pojawiła się cyfra 2. – Ale jednocześnie stałeś się stary, obwisły i łysy, a wszyscy zgadzają się, że to wielki punkt dla mnie.

Pod „Goście” pojawiło się 200.

Cam przewrócił oczami.

– Jeśli nie zauważyłeś, Lilith nie zwraca uwagi na to, jak manipulujesz moim wyglądem.

– Nie chodzi o to, że ona nie zwraca uwagi! – warknął Luc. – Z jakiegoś powodu nie widzi, jak zmienia się twoje ciało.

Cam był zdezorientowany.

– Chcesz powiedzieć, że jestem brzydki dla wszystkich poza Lilith?

– *Brzdęk, brzdęk, brzdęk.*

Pod „Goście” zaświeciło 3.

Luc spojrzał prosto w słońce, nie mrużąc przy tym oczu.

– Też tego nie rozumiem. Byłem pewien, że zmiana twojego wyglądu wzbudzi jej obrzydzenie, ale...

– To Lilith. – Cam uświadomił sobie to po raz pierwszy. – Widzi moje wnętrze, którego nawet ty nie możesz splamić. – Popatrzył na swoje ciało i po raz pierwszy od wielu dni poczuł się pewniej. – Nie wiem, dlaczego uświadomiłem to sobie dopiero po tym, jak przestałem być przystojny. – Tracił szatana. – Za to powinieneś dopisać sobie dodatkowy punkt.

– Pewnie. – Lucyfer odwrócił się do tablicy wyników, która pokazywała teraz Goście: 3, Gospodarze: 300. Następnie wpatrzył się w Cama zmrużonymi oczyma. – Nie rozumiem, dlaczego jesteś tak pewny siebie. Przegrywasz.

– Dlaczego tak myślisz?

– Po raz pierwszy we wszystkich swoich życiach Lilith zaczyna czuć się dobrze w swoim Piekło. Przestała porównywać marzenia z rzeczywistością.

– Dostosowuje się, uczy się przetrwania – zgodził się Cam. – Jest prawie...

Zawahał się, myśląc o tym, jak przed kilkoma dniami Lilith uśmiechała się do niego w bufecie, o dźwięku jej głosu, kiedy śpiewała razem z bratem w salonie gier, o wyrazie jej twarzy, kiedy ciepłym piwem korzennym wznosili toast za jej wygraną.

– ...szczęśliwa – dokończył.

– Ale szczęśliwa dziewczyna nie musi zostać uratowana przez kogoś takiego jak ty – warknął Lucyfer. – Spójrz prawdzie w oczy, Cam: ona musi nienawidzić swojego życia, żeby mogła cię pokochać. Albo przegrasz zakład i ją.

Na tablicy wyników pod „Gospodarze” pojawiło się 2000. Odgłos błyskawicznie zmieniających się cyfr brzmiał jak deszcz na blaszanym dachu.

– Tak, przegrana na balu naturalnym jest prawie pewna. Ale też zawsze taka była.

– Mylisz się.

– Powiem ci, co zrobię. – Lucyfer nachylił się w jego stronę. Pachniał anyżem i spalenizną; Camowi zrobiło się niedobrze. – Opuść cię.

– Co masz na myśli?

– Unieważnię zakład. Możesz wrócić do rozczulania się nad sobą gdzieś we wszechświecie i nigdy nie zrealizować swojego pełnego potencjału. Ja powrócę do mieszania innym w głowie.

W zaczerwienionych oczach Lucyfera Cam zauważył ślad desperacji.

– Myślisz, że przegrasz – powiedział na głos.

Lucyfer wybuchł śmiechem tak głośnym, że aż zatrzęsała się ziemia.

– A dlaczego inaczej miałbyś unieważnić nasz zakład?

Śmiech ucichł gwałtownie.

– Może to, co stało się z Luce i Danielem, zmieniło również mnie – warknął Lucyfer. – Może okazuję ci miłosierdzie. Choć brzmi to obrzydliwie.

– Błefujesz. – Słowa szatana nie miały znaczenia. Cam nie mógł wycofać się z ich układu. – Nie porzucę Lilith. Bez niej nie mogę żyć.

– Pochwalam twoją wytrwałość. – Na tablicy wyników pod „Goście” zapaliło się 4. – Ale nie wiesz, o czym ty mówisz. Czy w ogóle masz pojęcie, dlaczego Lilith jest jedną z moich poddanych?

Cam przełknął ślinę. Pytanie dręczyło go jeszcze zanim tu przybył, od kiedy Annabelle powiedziała mu, gdzie może ją odnaleźć.

– Samobójstwo – powiedział powoli Lucyfer, starannie wymawiając każdą sylabę.

– Ona by nie... – szepnął Cam.

– Myślisz, że ją znasz? Wcale nie. I nie masz szans. – Lucyfer spojrzał z góry na opustoszały teren szkoły, który sam stworzył. – I wiedzą to wszyscy, nawet te głupie dzieciaki na dole, tylko nie ty.

– Powiedz mi, co się stało. – Głos Cama drżał. – Kiedy odebrała sobie życie? Dlaczego?

– Masz czas do końca dnia, żeby zrezygnować. – W oczach Lucyfera płonęło zło. – Inaczej zrobi się naprawdę paskudnie.

– Dla odmiany?

Szatan posłał mu niebezpieczne spojrzenie.

– Sam zobaczysz.



Cam spacerował po parkingu, czekając na przyjazd autobusów i początek kolejnego dnia w Trumbull. Ostrzeżenie szatana wywołało w nim niepokój.

Musiał zobaczyć Lilith. Zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić, jak idzie do szkoły, ale myślał jedynie o samobójstwie, o którym wspomniał Lucyfer. Kiedy to zrobiła? Gdzie?

Czy Cam mógł być odpowiedzialny?

Od chwili, kiedy poznał Lilith, wiedział, że nie uda mu się w żaden sposób oddzielić swojego istnienia od niej. Była jego jedyną prawdziwą miłością. Jeśli nauczył się czegoś od Luce i Daniela, to jednego – kiedy odnalazło się duszę, którą ceniło się ponad wszystko, za żadną cenę się z niej nie rezygnowało.

Ostry pisk hamulców ogłosił przybycie szkolnych autobusów. Kiedy żółta flota wypełniła okrągły podjazd, dzieciaki jak co dzień ruszyły w dół po schodach w stronę szkoły. Ale tego dnia było inaczej. Atmosfera wydawała się mroczna.

Uczniowie rozmawiali przyciszonymi głosami, a kiedy ich wzrok padał na Cama, sztywnieli, cofali się i odwracali szybko wzrok.

Dziewczyna, której nie zauważył nigdy wcześniej, splunęła na jego widok.

– Jak ty możesz spać w nocy, świniu?

W miarę jak padały na niego kolejne podejrzliwe spojrzenia, Cam czuł, że jego skrzydła zaczynają płonąć. Lucyfer ostrzegał go, że będzie paskudnie, ale co takiego dokładnie zrobił?

Dotarł na wychowawczą kilka minut przed dzwonkiem. Na sali siedziało tylko kilkoro uczniów, ale wszyscy odwrócili się do niego plecami, kiedy Cam wszedł do środka.

Czarnowłosa, piegowata dziewczyna obejrzała się przez ramię i skrzywiła.

– Nie mogę uwierzyć, że ten potwór jest kandydatem na króla balu!

Cam zignorował wszystkich, usiadł i czekał na Lilith.

Weszła równo z dzwonkiem. Włosy wciąż miała wilgotne, ubranie pomięte, a w dłoni ścisnęła niedojedzone jabłko. Nawet na niego nie spojrzała.

Przeżył pięćdziesiąt bolesnych minut, a po lekcji odciągnął ją na bok.

– O co chodzi? – spytał. – Co jest nie tak?

– Nie moja sprawa, z kim byłeś, zanim mnie poznałeś. – Lilith w oczach miała łzy. – Ale tamta dziewczyna się zabiła.

– Jaka dziewczyna?

– Dlaczego muszę ci to wyjaśniać? Byłeś z więcej niż jedną dziewczyną, która się zabiła?

– Od kogo to usłyszałaś? – spytał, choć oczywiście nie musiał pytać.

Lucyfer wyszeptał jakąś historyjkę do ucha jednego dzieciaka i w ten sposób Cam stał się szkolnym wyrzutkiem.

– Wszyscy w moim autobusie o tym dziś rano rozmawiali. – Lilith zauważyła spojrzenia posyłane Camowi. – Wydaje się, że cała szkoła o tym wie.

– Nic nie wiedzą. Ale ty wiesz. Znasz mnie.

– Powiedz mi, że to nieprawda. – Cam słyszał błaganie w głosie Lilith. – Powiedz mi, że ona się nie zabiła z powodu tego, co zrobiłaś.

Cam spuścił wzrok. Lilith była w Crossroads, ponieważ się zabiła, ale czy zabiła się z powodu Cama?

– To prawda – powiedział udreńczonym głosem. – Ona odebrała sobie życie.

Lilith otworzyła szerzej oczy i cofnęła się. Wiedział, że nie spodziewała się usłyszeć prawdy.

– Czy on znów nie daje ci spokoju, Lilith?

Cam odwrócił się i zobaczył starannie ufryzowanego Luca. Szatan wziął Lilith pod ramię, poruszając bicepsem.

– Idziemy, piękna?

– Sama sobie poradzę. – Lilith odsunęła się od Luca, ale, mówiąc, patrzyła na Cama.

– Co oznacza – mruknął Luc, kiedy się odwracała – że masz za nią nie iść, Cam.

Cam zacisnął pięści.

– Ostatnia szansa, by się poddać – powiedział Lucyfer.

Cam pokręcił głową. Kiedy patrzył, jak Lilith odchodzi, bał się, że na dobre ją utracił.

– Ale nie jest aż tak źle. – Luc wyjął z tylnej kieszeni złożoną kartkę. Podał ją Camowi. – Dyrektor chce cię zobaczyć.



Za biurkiem sekretarki przed wejściem do gabinetu Tarkentona nikt nie siedział, a drzwi były zamknięte. Cam obciągnął koszulkę z okładką płyty *Appetite For Destruction*, którą kupił w sklepie

z używaną odzieżą, przeczesał palcami włosy i zapukał.

Drzwi się otworzyły.

Niepewnie wszedł do środka – wewnątrz nie widział nikogo.

– Panie Tarkenton? Sir? Chciał mnie pan widzieć?

– Aaaaarrrgggghhh!

Roland i Arriane wyskoczyli zza drzwi i zgięli się wpół ze śmiechu. Arriane zatrzasnęła drzwi za Camem i zamknęła je na klucz.

– Sir?! Chciał mnie pan widzieć? – powtórzyła, naśladowując głos Cama.

– To najzabawniejsze gówno, jakie widziałem od setek lat, sir – dodał Roland.

– Dobra, dobra, śmieJCie się – mruknął Cam. – WybacZcie mi, że próbuję się tu wtopić w tłum.

Objął Rolanda, a później Arriane. Byli ostatnimi, których spodziewał się tu zobaczyć, ale nigdy wcześniej nie czuł się tak szczęśliwy na widok przyjaciół.

– Niezłą masz stylówę, stary. – Arriane otarła oczy. Ogołiła głowę i nosiła się na czarno, a jedynym kolorowym elementem jej wyglądu były jaskrawopomarańczowe sztuczne rzęsy. – I bardzo mi się to podoba. Ale, no – skrzywiła się, spoglądając na brzuch Cama – co to za piwny bebecz?

– Lucyfer uznał, że to zabawne. Pomyślał, że zniechęci Lilith, ale ona nie zauważa różnicy... a w każdym razie nie zauważała, kiedy jeszcze mnie lubiła. Teraz nie wiem. – Kiedy spojrzał na przyjaciół, uczucia go przytłoczyły. – A wy skąd się tu wzięliście?

– To również Lucyfer uznał za zabawne – wyjaśnił Roland.

Wyglądał nieskazitelnie w szytym na miarę prążkowanym garniturze i lawendowej koszuli z mankietami ze spinkami, a pachniał drogą wodą kolońską.

– Racja. – Cam od razu zrozumiał, o co chodzi. – Wie, że przegra, więc chce, żebyście wy namówili mnie na rezygnację z zakładu.

– Możliwe, bracie – stwierdził Roland – ale w tym się z nim zgadzamy.

– Innymi słowy – dodała Arriane – co ty wyprawiasz, Cam?

– O ile się nie mylę, kiedy ostatnio się widzieliśmy,

zasugerowaliście, żebym naprawił swoje błędy. Pamiętacie?

– Nie w taki sposób! – Arriane pchnęła Cama. – Po tym, jak Luce i Daniel dali drugą szansę twojej żalösnej duszy... ja po prostu... to znaczy... stary.

W Sword & Cross Arriane i Roland rozmawiali o Luce i Danielu, jakby anielscy kochankowie byli wzorcem miłości, którym powinni kierować się pozostali. Ale Cam wiedział, że Luce i Daniel troszczyli się jedynie o siebie nawzajem, co mu zresztą nie przeszkadzało. Nigdy nie zamierzali zacząć rewolucji.

A jednak w pewnym sensie to zrobili. Ponieważ Luce i Daniel postanowili zaryzykować wszystko w imię miłości, Cam znalazł się w Crossroads.

– Nie prosiłem o rady – stwierdził.

– Arriane nigdy to jeszcze nie interesowało. – Roland oparł się o biurko Tarkentona. – Dlaczego miałbyś poświęcić swoją wieczną przyszłość w imię ustawionego zakładu z szatanem? A później, kiedy proponuje ci unieważnienie zakładu, dlaczego miałbyś odmówić?

Cam wiedział, że dla kogoś, kto patrzy z zewnątrz, to zadanie wydawało się niemożliwe. Piętnaście dni, by rozkochać w sobie dziewczynę – dziewczynę, której nienawiść do niego została wykuta przez trzy tysiące lat w Piekło. Ale Cama nie obchodziło, jak to wygląda. W głębi serca czuł pewność, że musi ocalić Lilith. To nie był wybór, jedynie miara jego miłości do niej.

Arriane chwyciła Cama za ramiona i popchnęła go na skórzany obrotowy fotel Tarkentona. Na dłoni uniosła brązowy przycisk do papieru w kształcie wieprza.

– Posłuchaj, Cam. Zawsze miałeś skłonności do autodestrukcji. Rozumiemy to, kochamy cię za to, ale czas skończyć gierki z Lucyferem.

– On nigdy nie przegrywa – dodał Roland. – Może raz od wielkiego dzwonu.

– Nie mogę tego zrobić. Nie rozumiecie? To mój sposób, by uczcić wybór Luce i Daniela, którzy zrezygnowali z własnej nieśmiertelności. Tylko tak mogę ocalić siebie. – Pochylił się. – Ta, którą kocham, jest

dręczona. Co się stało z waszym poczuciem obowiązku? Roland i Arriane, których znam, nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym nie próbował wyciągnąć stąd Lilith.

– Kiedy chodziło o los Lucindy, mieliśmy obowiązek – stwierdziła Arriane. – Ale Lilith jest o wiele mniej ważna od Luce. Jedno mignięcie na radarze.

Cam zamrugął.

– Może dla was.

– Dla wszystkich. Dlatego wszyscy spędziliśmy sześć tysięcy lat, podążając za Luce. Stała przed wyborem o kosmicznych implikacjach.

– Lilith też się liczy – powiedział Cam. – Zasługuje na coś lepszego.

– Zabierasz ją chociaż na bal maturalny? – spytała Arriane i westchnęła. – Zawsze chciałam iść na bal.

– Jeszcze jej nie zaprosiłem – przyznał Cam. – Chwila nigdy nie była właściwa.

– Wypadłeś z wprawy! W tej kwestii możemy ci z Ro pomóc. Po całej praktyce z Luce i Danielem jesteście mistrzami tworzenia romantycznych okoliczności. Zastanowisz się nad tym?

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Czy mogę państwu jakoś pomóc? – spytał Tarkenton.

Arriane ostrożnie odłożyła przycisk do papieru na biurko.

Poklepała wieprza po łbie.

– Ładna świnia. Dam panu za nią ćwierć dolca.

– WSTAWAJ Z MOJEGO FOTEŁA! – zagrział Tarkenton do Cama. Odwrócił się do Arriane i Rolanda. – A kim wy jesteście?

– Upadłymi aniołami – odparł Roland.

– Nie ubliżaj mojej religii! – warknął Tarkenton, krzywiąc się. – Mógłbym kazać was aresztować za włamanie. A pan, panie Briel, jest zawieszony na resztę dnia i cały jutrzejszy dzień. Proszę opuścić teren szkoły, zanim każę pana usunąć.

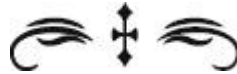
– Proszę mnie nie zawieszać, sir – poprosił Cam. – Muszę tu być. Roland zmrużył oczy.

– Jaja sobie ze mnie robisz, stary? Przejmujesz się?

Cam się przejmował. Dni były długie i samotne, kiedy ukochana

dziewczyna była w szkole, a on nie. Jego zakład z Lucyferem kończył się za cztery dni. Jeśli miał uwolnić Lilith z tego piekła, musiał spędzać z nią każdą chwilę.

PIĘTNAŚCIE



KRÓLOWA SERC

LILITH *TRZY DNI*

Następnego dnia w porze lunchu Lilith, Jean i Luis spotkali się w sali prób. Była w końcu pusta, bo Rzekome Zniewagi brały udział w zebraniu kandydatów na króla i królową balu.

Lilith przeszła obok ich stolika pośrodku bufetu, w którym kupiła sobie kanapkę, i zauważyła puste miejsce Cama. Tego ranka nie było go na godzinie wychowawczej ani na poezji, a Lilith próbowała nie zastanawiać się dlaczego.

– Cześć, Luis.

Zmusiła się, żeby uśmiechnąć się do perkusisty w niebieskiej koszulce bez rękawów i skórzanych rękawiczkach bez palców.

– Hola. – Luis zagrał szybki marszowy rytm.

Robił się coraz lepszy. Był już prawie dobry.

– To brzmiało spoko.

Luis uśmiechnął się szeroko.

– Spoko to moje drugie imię.

Od bitwy dzieliły ich trzy wieczory. Został im tylko jeden gitarzysta – znowu – i nie mieli za sobą wielu prób, ale Lilith była zdecydowana się nie poddawać. Chciała, żeby ich występ się udał.

– Zakładam, że na Cama nie czekamy? – Jean popatrzył na nią ze współczuciem.

Zdjął górną pokrywę z syntezatora Mooga i dokręcał jakieś śruby.
– Nie. – Lilith westchnęła. – Tylko my.

Była odrętwiała i wyczerpana. Od poprzedniego ranka, kiedy weszła do autobusu i poczuła na sobie spojrzenia wszystkich dzieciaków, czuła mdłości. Z początku była na tyle głupia, by myśleć, że nagle zaczęli ją zauważać, bo usłyszeli, że wygrała w konkursie na tekst piosenki. Ale nikt nie wspomniał ani słowem, że Czterej Jeźdźcy zagrają jej piosenkę na balu maturalnym.

Okropne wieści o Camie zupełnie przyćmiły dobre wieści Lilith. Wszyscy uczniowie z rozgorączkowaniem powtarzali tę samą paskudną historię – ostatnia dziewczyna, z którą spotykał się Cam, dziewczyna, która była w nim zakochana, zabiła się, kiedy się rozstali.

Lilith wiedziała, że Cam spotykał się z innymi dziewczynami. Ale ta najnowsza historia...

Samobójstwo.

– To do dupy – mruknął Jean. – To znaczy, Zemsta będzie świetna, ale bez Cama...

Lilith wiedziała, co myślał. Cam był świetnym muzykiem. Robił wrażenie na scenie. Dzięki niemu zespół brzmiał ostrzej. Bez niego Zemsta będzie słabsza.

Poza tym naprawdę chciał być w zespole. Wiedziała o tym, ponieważ poprzedniego wieczoru siedem razy do niej zadzwonił.

– Nie odbieraj... – powiedziała odrobinę za późno do Bruce'a.

– Halo? – Bruce podał Lilith telefon, szepcząc: – To Cam.

Lilith szybko napisała coś na kartce i dała ją Bruce'owi.

– Przepraszam, Cam – powiedział chłopiec. – Ona mówi, że to zły numer.

Lilith kazała Bruce'owi się rozłączyć, a kiedy to zrobił, jęknęła.

– Dzięki wielkie.

– Dlaczego nie chcesz rozmawiać z Camem? Co się stało?

– To długa historia. Opowiem ci ją, kiedy będziesz starszy.

– Ale ja go lubię.

Lilith zmarszczyła czoło.

– Wiem. Po prostu nie odbieraj więcej telefonu.

Możliwe, że Cam zadzwonił więcej niż siedem razy, ale siedem

było granicą dla jej matki. Wtedy odłączyła telefon. A w ciszy, która nastąpiła później, Lilith zaczęło boleć serce. Nie chciała pozwolić, by zbliżył się do niej na tyle, by ją zranić, ale oto czuła się zraniona, oszołomiona i pragnęła, by wszystko naprawił. Musiała wrócić do troszczenia się o samą siebie, nieoczekiwania niczego od nikogo, chronienia się przed bólem.

Jean odłożył śrubokręt, podrapał się po brodzie i wpatrzył w Lilith.

– Chyba nie wierzysz w te pogłoski? Cam to dobry gość. Wiesz, że taki jest.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Lilith usiadła pod ścianą między dwoma wielkimi ksylofonami.

Wyjęła notatnik i zaczęła przerzucać kartki.

– Co robisz? – spytał Jean.

– Poprawiam refren „Cudzego bluesa” przed rozpoczęciem próby.

– Czekaj, czy to znaczy, że się nie rozwiążemy? – Luis głośno westchnął z ulgą.

– Oczywiście, że nie.

Lilith wstała i złapała za gitarę.

Nie chodziło o to, że potrzebowała zespołu, żeby się nie załamać.

Liczyła się jej przyjaźń z Jeanem i Luisem. W przeciwieństwie do Cama ci chłopcy nie byli skomplikowani. Nie panowali w niebezpieczny sposób nad jej sercem. Ale to, co zrobili – pokazali jej miejsce, do którego pasowała – było dla niej ważne i nie zamierzała z tego rezygnować.

– Zaczynamy.

– I o to chodzi. – Jean włączył syntezator.

– Tak! – krzyknął Luis, chwytając za pałeczki.

– Dwa, trzy, cztery – odliczyła Lilith, a w chwili, gdy Zemsta zaczęła grać, poczuła nową pewność siebie.



– Tu jesteś. – Pani Richards gestem wezwała Lilith, kiedy ta po zakończeniu lekcji zamykała szafkę. – Potrzebuję pomocy.

Nauczycielka wydawała się wyczerpana, na okularach miała rozmazane ślady. Lilith wiedziała, że pani Richards zostawała ostatnio

po godzinach z komitetem przygotowującym bal, upewniając się, że dokonują „ekologicznych” wyborów.

– Oczywiście – odpowiedziała.

Od kiedy przeprosiła panią Richards i poprosiła ją o radę w sprawie diety Bruce’a, dogadywały się o wiele lepiej.

– Chloe King źle się dziś poczuła i poszła do domu – wyjaśniła pani Richards. – Ktoś musi jej zawieźć zadania.

– Nie przyjaźnię się z Chloe. Nie wiem nawet, gdzie ona mieszka. Czy June, Teresa albo ta trzecia nie mogłyby tego zrobić?

Pani Richards uśmiechnęła się smutno.

– Wypadło im niespodziewane zebranie! Poza tym sądziłam, że postanowiłaś zacząć nowy rozdział w życiu. – Wcisnęła Lilith stertę teczek. Adres Chloe wypisano na zielonej karteczce samoprzylepnej na wierzchu. – Naprawdę by mi to pomogło. Nie lubię, kiedy dobry uczeń ma zaległości.

Dlatego Lilith wsiadła do autobusu dla bogatych dzieciaków, który był prawie pusty, bo większość przedstawicieli klasy wyższej, którzy mieszkali w okolicy Chloe, miała własne samochody.

Wpatrywała się w tabliczki z nazwami ulic, kiedy autobus krążył po eleganckiej okolicy, wypuszczając uczniów przed wielkimi nowymi domami na ogromnych, starannie wypielęgnowanych trawnikach. Patrzyła, jak jeden chłopak z pierwszej klasy wchodzi do domu z umieszczoną na trawniku tabliczką „Na sprzedaż”, i zastanawiała się, dokąd wyprowadza się jego rodzina.

Lilith wyobrażała sobie, jak pakują swój dobytek, wsiadają do luksusowego auta i pędzą autostradą, uciekając z Crossroads. Ta fantazja sprawiła, że poczuła zazdrość. Często myślała o ucieczce.

Wkrótce skręcili w Maple Lane i Lilith po raz kolejny sprawdziła adres Chloe. Wsiadła z autobusu, kiedy zatrzymał się przed ogromną białą rezydencją w pseudoelżbietańskim stylu, otoczoną fosą, w której pływały złote rybki.

Oczywiście, że Chloe mieszkała w domu, który tak wyglądał.

Kiedy Lilith nacisnęła dzwonek, ktoś wpuścił ją do środka i opuścił mostek nad fosą ze złotymi rybkami.

Po drugiej stronie fosy gospościa otworzyła drzwi, ukazując

błyszczący marmurem przedsionek.

– W czym mogę pomóc?

– Przyszłam zostawić lekcje dla Chloe – powiedziała Lilith, zaskoczona sposobem, w jaki jej głos odbijał się od ścian; przedsionek miał dziwaczną akustykę.

Podawała teczki gosposi, gotowa pobiec z powrotem do szkoły, gdzie miała się spotkać z Jeanem i Luisem.

– Czy to Lilith? – Głos Chloe dobiegał z piętra. – Niech wejdzie na górę.

Zanim Lilith zdążyła się sprzeciwić, gosposia wprowadziła ją do środka i zamknęła drzwi.

– Buty. – Gosposia wskazała na ciężkie bucioro Lilith i biały marmurowy stojak obok drzwi.

Lilith z westchnieniem rozwiązała sznurówki i zrzuciła buty.

Dom pachniał cytrynami. Wszystkie meble były ciężkie, a elementy dekoracyjne w odcieniach bieli. Pośrodku salonu na białym dywanie z alpaki stał ogromny biały fortepian automatycznie odgrywający Bacha.

Gosposia poprowadziła Lilith w górę białych marmurowych schodów. Kiedy stanęły przed białymi drzwiami pokoju Chloe, kobieta oddała Lilith teczki i uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć:

„Powodzenia, ona jest dziś w złej formie”.

Lilith zapukała ostrożnie do drzwi.

– Proszę – usłyszała cichą odpowiedź.

Zajrzała do środka. Chloe leżała na boku, odwrócona do niej plecami, a twarzą do okna zasłoniętego białymi zasłonami. Jej sypialnia nie przypominała wyobrażeń Lilith. Właściwie wyglądała jak salon – wielkie łóżko z czterema słupkami, białe kaszmirowe narzuty na łóżku i krzesłach przy oknie, drogi kryształowy żyrandol.

Sypialnia Chloe sprawiła, że Lilith z większą sympatią pomyślała o swoim pokoju ze starym podwójnym łóżkiem, biurkiem ze sklepu z rupieciami i niepasującymi do siebie lampami, które matka znalazła na wyprzedaży. Miała trzy plakaty Czterech Jeźdźców, z okładkami ich najnowszych płyt. Na ścianie nad biurkiem przypinała teksty, do których chciała znaleźć melodie i cytaty z ulubionych muzyków.

Jedynym, co wisiało na ścianie Chloe, była platynowa płyta w białej ramie z plakietką: NAGRODA DLA RZEKOMYCH ZNIEWAG ZA PRZYSZŁĄ SPRZEDAŻ. WESOŁYCH ŚWIĄT. TATO.

Lilith wiedziała, że Chloe ma wiele zainteresowań – nie tylko zespół, ale też przygotowania do balu maturalnego, bingo, kampanie samorządu szkolnego. Dziwiło ją, że w miejscu, w którym spędzała najwięcej czasu, nie było po nich śladu. Tak, jakby jej zainteresowania zostały wybielone przez drogiego dekoratora wnętrz. Poczula, że trochę jej żal Chloe King.

Chloe pociągnęła nosem i sięgnęła do pudełka z chusteczkami na stoliku nocnym.

– Przykro mi, że jesteś chora. – Lilith położyła teczkę na białej toalecie Chloe. – Przyniosłam ci zadania do domu. Myślisz, że do balu maturalnego wyzdrowiejesz?

– Nie jestem chora. Zwolniłam się z lekcji ze względu na stan psychiki. – Obróciła się w stronę Lilith, twarz miała opuchniętą od płaczu. – Myślałam, że po tym, co mi dziś zrobiłaś, nie będę chciała cię widzieć, ale skoro już tu jesteś, równie dobrze możesz mnie zabawić.

– O czym ty mówisz? Co takiego ci dziś zrobiłam? – Lilith oparła się o futrynę. – Nawet się z tobą nie widziałam.

– W porze lunchu słyszałam próbę twojego zespołu. Po prostu przechodziłam obok w drodze z zebrania, ale wtedy usłyszałam was przez drzwi i nie mogłam się powstrzymać. – Jej ramionami wstrząsnęło łkanie. – Nie mieliście być konkurencją.

– Ach tak. – Lilith zrobiła krok w stronę Chloe. – Mój zespół cię obraził, bo jesteśmy dobrzy?

– Wiesz, pod jaką presją jestem, żeby wygrać? – Chloe usiadła na łóżku. – Wszyscy myślą, że jestem doskonała. Nie mogę ich zawieść. – Zmusiła się do wzięcia kilku głębokich oddechów. – Poza tym tato jest sponsorem całej tej imprezy, więc byłoby wyjątkowo żenujące, gdybym nie wygrała.

– Posłuchaj. Nigdy nie słyszałam żadnej twojej piosenki. Ale na każdy wasz koncert przychodzi setka ludzi. Następnego dnia dzieciaki zawsze o nim gadają.

– To dlatego że się mnie boją – wyrzuciła z siebie Chloe. Wydawała się zaszokowana tym, co powiedziała, aż ukryła twarz pod pościelą. – Nawet mój zespół się mnie boi.

– Raczej cię to nie pocieszy, ale mnie też mało kto w Trumbull lubi – powiedziała Lilith, choć przecież Chloe, która przez całe lata publicznie podkreślała wady Lilith, wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek.

– Jasne. – Chloe wyrzała spod kołdry. – Ale tobie to nie przeszkadza, co nie? Zajmuje cię przecież tak wiele innych rzeczy. Za bardzo skupiasz się na muzyce, żeby przejmować się popularnością. Wiesz, ile wolnego czasu bym miała, gdybym nie musiała ciągle zarządzać swoim statusem społecznym?

Lilith cierpiała z powodu braku przyjaciół, ale tak długa samotność uczyniła z niej lepszą autorkę piosenek. Teraz, kiedy w końcu znalazła krąg przyjaciół, czuła, że ma wszystko, co się liczy.

Nagle poczuła, że jeszcze bardziej żal jej Chloe.

– „Zarządzanie statusem społecznym” to doskonały tytuł dla piosenki. – Lilith zauważyła gitarę Chloe wciśniętą do szafy. Podeszła bliżej i podniosła ją. – Mogłybyśmy ją teraz razem napisać.

– Nie musisz mi przypominać, że piszesz lepsze teksty ode mnie – prychnęła Chloe. – Daj mi tę gitarę.

Lilith spełniła jej prośbę, a Chloe uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Lilith przyszło nagle na myśl, że powinna teraz usiąść na łóżku. Zapadła się w materacu oszołomiona jego miękkością.

– Posłuchaj tego. – Chloe trąciła struny. Wkrótce zaczęła śpiewać. – „*Kasiasta laska, kasiasta laska...*”. – Kiedy skończyła, spojrzała na Lilith. – To właśnie gramy na balu maturalnym. Jest do niczego, co nie?

– Wcale. Po prostu... – Lilith zastanawiała się przez chwilę. – Śpiewasz to z perspektywy kogoś innego, kto patrzy na twoje życie i jest zazdrosny. A gdybyś zaśpiewała z własnej perspektywy i włożyła w to wszystkie swoje uczucia? Na przykład, jak bardzo boli, że reszta świata cię nie zna.

– To boli – przyznała cicho Chloe. – Właściwie to nie jest taki znów bardzo głupi pomysł.

– Spróbuj jeszcze raz.

Chloe trąciła struny gitary, zamknęła oczy i zaśpiewała piosenkę inaczej, z tak wielkim uczuciem, że zanim skończyła, rozplakała się. Lilith z zaskoczeniem odkryła, że sama też ma w oczach łzy.

Kiedy Chloe zagrała ostatni akord, Lilith zaklaskała ze szczerym entuzjazmem.

– Tak! To było wspaniałe.

– Owszem – zgodziła się Chloe. – Tak było. – Odłożyła gitarę na łóżko, sięgnęła po błyszczący, nałożyła go na wargi i podała Lilith. – Jutro gramy u Alfiego. Powinnaś przyjść.

Nigdy wcześniej nigdzie nie zaprosiła Lilith. Ten dziwny prywatny przełom w pokoju Chloe to jedno. Ale pokazać się w miejscu publicznym i nie zachowywać się, jakby się nienawidziły?

– Już się nie martwisz, że „ukradnę wam brzmienie”?

– Zamknij się. – Chloe trzepnęła Lilith poduszką w głowę. – I dziękuję.

– Za co?

– Za pomoc z piosenką. Ja dla ciebie bym czegoś takiego nie zrobiła – powiedziała Chloe zadziwiająco szczerze. – Ale naprawdę to doceniam.

Lilith przez kilka chwil spodziewała się, że sytuacja nagle się odwróci, Chloe powie, że tylko żartowała i pokaże tę kamerkę internetową, którą cały czas ją nagrywała, ale do tego nie doszło. Chloe wciąż zachowywała się jak zupełnie normalny człowiek, a Lilith stwierdziła z zaskoczeniem, że przebywanie w jej obecności wcale nie jest taką mordęgą.

– Może się tam spotkamy.

Lilith ruszyła w stronę drzwi. Kątem oka widziała uśmiech Chloe.

– Zaczekaj – powiedziała Chloe. – Jest coś jeszcze.

– Tak? – spytała Lilith, stojąc w drzwiach.

– Wczoraj rano spotkałam się z Deanem pod trybunami.

Dean... Dean... Lilith usiłowała sobie przypomnieć, kto to jest, zanim w końcu uświadomiła sobie, że to muskularny chłopak Chloe.

– Nie patrz tak na mnie, nie robiliśmy nic złego. Ćwiczyliśmy tylko nasz pierwszy taniec na balu.

– Jasne.

Lilith uśmiechnęła się krzywo. Nikt się nie spotykał pod trybunami, o ile nie zamierzał się obściskiwać.

– Tak czy inaczej, usłyszałam głosy. To był Cam, rozmawiał ze stażystą mojego taty, Lucem. Kłócili się. O ciebie.

Lilith próbowała zapanować nad wyrazem twarzy, żeby nie pokazać po sobie wstrząsu.

– O mnie? Co ze mną?

– Szczegółów nie wyłapałam. Dean za bardzo mnie zajmował, ale później usłyszałam wzmiankę o... zakładzie.

Wtedy właśnie do pokoju zajrzała matka Chloe.

– Chloe, potrzebujesz odpoczynku.

– Już prawie skończyłyśmy, mamo.

Chloe uśmiechała się promiennie, dopóki jej matka nie zniknęła, przez ten cały czas nie poświęcając Lilith nawet jednego spojrzenia.

– Jaki zakład? – spytała Lilith.

Chloe się pochyliła.

– Szczegółów nie znam, ale zasadniczo Cam powiedział, że zakłada się, że z nim uciekniesz po balu maturalnym. A teraz posłuchaj najlepszego. Jeśli mu się nie uda, zostanie niewolnikiem Luca. Na wieczność.

Lilith zaśmiała się nerwowo.

– To brzmi dość naciąganie.

Chloe wzruszyła ramionami.

– Nie strzelaj do posłańca.

– Niewolnik Luca? – powtórzyła Lilith. – Jak to miałoby działać?

– Najwyraźniej jest wiele rzeczy, których nie wiemy o tych dwóch świrach – mruknęła Chloe, krzywiąc się.

Lilith próbowała zrozumieć, dlaczego Cam i Luc w ogóle mieliby ze sobą rozmawiać, nie mówiąc już o jakimś związanym z nią zakładzie. Nienawidzili się. Czy Chloe kłamała? Normalnie Lilith od razu by tak założyła, ale dziewczyna wydawała się teraz bardziej otwarta i mniej przebiegła niż kiedykolwiek.

Wydawało się wręcz, że mówi prawdę.

– Musi nam brakować części informacji. – Lilith starała się nie pokazać po sobie, że poczuła się niepewnie. – Może Cam jest winien

Lucowi kasę albo coś w tym rodzaju.

– Nie sądzę. Ci goście gadali tak, jakby kasa się nie liczyła. Nie wydawało się nawet, by przejmowali się życiem i śmiercią. – Chloe wpatrzyła się w Lilith. – Obchodziłaś ich tylko ty.

SZESNAŚCIE



NIEBEZPIECZNE DNI

CAM *DWA DNI*

Następnego dnia na lekcji poezji Cam próbował napotkać spojrzenie Lilith. Ze względu na zawieszenie nie widział jej od prawie dwóch dni. Widok dziewczyny piszącej coś w swoim notatniku, zanurzonej w innym świecie, doprowadzał go do szaleństwa z pożądania. Pragnął odwinąć czarny szal z jej szyi i całować ukrytą pod nim bladą skórę.

Próbował przekazać jej karteczkę, błagając ją, by spotkała się z nim po zajęciach. Kiedy zrzuciła wiadomość ze stolika, nawet jej nie otwierając, próbował przekazać kolejną. Tej nawet nie składał, każdy mógł przeczytać wiadomość. *Porozmawiaj ze mną, proszę.* Ale Lilith odmówiła jej przeczytania.

Chłopak imieniem Ryan Bang skończył czytać swoją eksperymentalną sestynę, a pan Davidson zaklaskał.

– Tego rodzaju wiersze publikuje *New Yorker!* – powiedział z emfazą.

Cam jednak nie uważał. Żałował, że nie może zaprzeczyć pogłoskom, które rozsiewał Luc, ale nie mógł okłamać Lilith. Cały problem polegał na tym, że nie wiedział, jak powiedzieć jej prawdę.

Stojący z przodu sali nauczyciel spojrzał na notatki.

– Cameron, teraz twoja kolej.

– Moja kolej na co? – spytał Cam, skupiając się.

– Prezentację zadania domowego? Wyboru wiersza, który wyraźnie porusza określoną tematykę? Ziemia do Camerona. – Pan

Davidson musiał zauważyć nieprzytomne spojrzenie Cama. – Przypuszczam, że jak zwykle wybrałeś coś związanego ze śmiercią. Stań przed klasą i określ swój temat.

Cam nie był przygotowany, ale żył dość długo, by poznać większość najlepszych ziemskich poetów, więc bez trudu przypomniał sobie odpowiedni tekst.

Idąc przez salę, wybrał drogę obok Lilith. Przechodząc obok, chciał musnąć dłoń dziewczyny, ale wiedział, że jej by się to nie spodobało. Dlatego jedynie postukał palcami w jej stolik, żeby zwrócić jej uwagę.

Udało się. Podniosła wzrok, kiedy stanął przed całą klasą i ogłosił:
– Tematem jest miłość.

Klasa jęknęła, ale on nie zwracał na nich uwagi. Kiedy zakochał się w Lilith w Kanaanie, Salomon nie był jeszcze królem Izraelitów. Miał osiemnaście lat i właśnie zakochał się w dziewczynie z sąsiedniej wioski. Cam i Salomon spotkali się pewnej nocy w namiocie Beduinów, każdy z nich podróżował w inną stronę. Spożyli razem tylko jeden posiłek, jednak w jego trakcie Salomon wyrecytował Camowi piękne słowa, które później stały się sławne jako „Pieśń nad pieśniami”. Cam spojrzał teraz na Lilith i z pamięci zaczął recytować poemat. Kiedy dotarł do ulubionego fragmentu, płynnie przeszedł z angielskiego na oryginalną wersję, starożytny hebrajski.

– „Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdź!”[1].

Lilith upuściła pióro na ławkę. Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, a jej twarz była blada jak ściana. Żałował, że nie zna jej uczuć. Czy przypominała sobie cokolwiek?

Zanim Cam skończył recytację, zadzwonił dzwonek. W sali zapanował chaos, kiedy uczniowie zaczęli wstawać z miejsc.

– Słyszałaś to? – Rumiana dziewczyna z wielkim czerwonym plecakiem zachichotała, przechodząc obok przyjaciółki. – Kiedy nie pamiętał jednego wersu, zaczął bełkotać.

Jej przyjaciółka prychnęła.

– Rzeczywiście wygląda na dość starego, żeby mieć alzheimera.

– Dobra robota – powiedział pan Davidson. – To jeden z moich ulubionych wierszy. I znasz hebrajski!

– Dzięki. – Cam wybiegł z sali i popędził za Lilith.

Zauważył ją na końcu korytarza, rozmawiającą z Jeanem i Luisem. Patrzyli na plakat przyklejony do drzwi jednej z sal.

– Lilith! Jean! Luis! Zaczekajcie – zawołał.

Zanim jednak przebił się przez tłum uczniów i dotarł na koniec korytarza, Lilith wraz z chłopakami zniknęła za rogiem.

Cam westchnął. Ciągle nie dostał swojej szansy. A teraz mógł jej nie zobaczyć do końca dnia.

Wpatrzył się w plakat, który wcześniej czytała.

JESTEŚCIE GOTOWI NA ROCK?!

Widział go wcześniej. Reklama tego samego koncertu, na który próbował zaprosić Lilith pierwszego dnia w szkole. Rzekome Zniewagi były supportem miejscowej kapeli o nazwie Nuda. Koncert miał się odbyć tego wieczoru w modnej kawiarni kilka kilometrów od szkoły.

Czyżby Lilith planowała się na niego wybrać? Przecież nienawidziła Chloe King. Cam zresztą też. Mimo to postanowił pójść na koncert, na wypadek gdyby Lilith jednak tam przyszła, by posłuchać konkurencji.



O zachodzie słońca Roland, Cam i Arriane przechodzili przez High Meadow Road, zmuszając samochody, by ich omijały. Cam był bardzo zamyślony, ledwie zwracał uwagę na pisk opon i klaksony.

– Naprawdę nie wiem, jakim cudem wytrzymaliśmy tak długo w Sword & Cross – powiedział Roland, kiedy jeden z kierowców pokazał mu środkowy palec. – Te szkoły dla śmiertelników są koszarne, za każdym razem nie mogłem się doczekać wyrzucenia.

– Złażcie z drogi! – wrzasnęła jakaś kobieta ponad dźwiękiem klaksonu.

– Wiedzieliście, że niemal wszystkie klaksony są dostrojone do fis-moll? – spytała Arriane. – Dlatego, jeżdżąc po mieście, należy słuchać muzyki w tonacji A. Albo śpiewać piosenkę w tonacji A.

– *She's a kind-hearted woman, she studies evil all the time*[2] – zaśpiewał Roland.

– Kawiarni u Alfiego – odparł Cam.

Był rozkojarzony, cały czas myślał o Lilith. Musiał się z nią pogodzić tego wieczoru, żeby jego plan się powiódł.

– A po co? – Arriane poklepała Cama po brzuchu. – Cammy jest głodny? Ma ochotę na ciasto z kruszonką? Powinieneś ograniczyć spożywanie węglowodanów. W ogóle szyją smokingi na twój rozmiar? A skoro już o tym mowa, zaprosiłeś Lilith na bal?

– Jeszcze nie. Jeszcze nie. Będę dziś potrzebował waszej pomocy – powiedział, kiedy wyszli za róg i znaleźli się przed kawiarnią. – Nie zapomnijcie o planie.

– Tak, racja, tajny plan! – Arriane zatrzymała się, żeby poprawić pomadkę. – Uwielbiam tajemnice. Niemal tak bardzo, jak uwielbiam plany. Daj nam coś do roboty, szefie.

Cam wszedł do kawiarni i przytrzymał otwarte drzwi. Wejście niemal blokowały liczne regały z drobiazgami i bibelotami, metalowymi stojakami na biżuterię w kształcie małych drzewek, kubkami z głupimi napisami – przestawione, by zrobić miejsce dla niedużej sceny na tyłach kawiarni.

Ściany były lustrzane, więc Cam nie wiedział, gdzie podziąć wzrok. Nie mógł znieść swojego obecnego wyglądu. Był bezdyskusyjnie brzydki.

– Chodź, muszę się napić kawy.

Arriane wzięła Cama za rękę i precyzyjnie się z nim między dwoma regałami pełnymi książek, by dołączyć do widowni.

Wewnątrz była może setka dzieciaków, Cam rozpoznawał większość z Trumbull. Najpopularniejsi uczniowie ze szkoły i kilkoro z drugiego szeregu – i większość z nich odwróciła się, kiedy na scenę wkroczyły upadłe anioły. Cam i Roland byli jedynymi chłopakami, którzy nie mieli na sobie szortów khaki i koszulek polo. Arriane była jedyną dziewczyną, która nie wyglądała jak wszystkie inne dziewczyny. Od razu wpatrzył się w nią tuzin uczniów.

– Rany, chłopaki. Nie zdejmujcie mi od razu majtek, dobra? – Pochyliła się do Cama i szepnęła: – Nie mam dziś majtek!

Roland ruszył po napoje, a Cam i Arriane zajęli miejsca przy jednym z wysokich stolików pod oknem.

– Tu jest koszmarnie. – Arriane spojrzała na grupę snobistycznych

uczniów. – Nie wierzę, że wytrzymałeś tu przez całe dwa tygodnie. Wszystko dla Lilith. Zupełnie jakbyś ją lubił albo coś.

– Albo coś. – I wtedy Cam ją zauważył. – Tam.

Wskazał ręką.

Lilith siedziała w trzecim rzędzie z Jeanem Rah, jego dziewczyną Kimi i Luisem. Karen Walker dołączyła do nich, kiedy skończyła stroić gitarę Chloe.

Lilith się odstawiła. Wargi pomalowała błyszczącą szminką, a jej krótka aksamitna sukienka była smoliście czarna, co podkreślało odcień rudych włosów.

– Chyba zaczynam rozumieć twoje poświęcenie. – Arriane zagwizdała. – Dziewczyna jest naprawdę niezła.

Cam, rzecz jasna, się z nią zgadzał. Lilith wyglądała pięknie, ale nie tak promiennie, jak wtedy w kręgielni. Tamtego dnia Cam czuł się najbliżej niej, tuż przed tym, jak Lucyfer rozpuścił pogłoski o samobójstwie. Dziś Lilith otaczała aura przygnębienia, a Cam wiedział, że to z jego powodu.

– O czym rozmawiacie? – Roland postawił przed Camem i Arriane kubki z kawą.

– O niezłej lasce. – Arriane skinęła w stronę Lilith.

– Ona wciąż ma to w sobie, nawet po tylu latach. – Roland odwrócił się do Cama. – Jaka jest twoja strategia, stary?

– Jeszcze jej nie mam – przyznał Cam, patrząc, jak Luis opowiada Lilith żart, który Cam bardzo chciał usłyszeć. – Mam nadzieję, że na jakąś wpadnę.

– Zasadniczo – Arriane pociągnęła łyk kawy – jest w czarnej dupie.

Wtedy widownia zaczęła klaskać, a na scenę wkroczyła Chloe King z zespołem. Dziewczyny miały na sobie czarne skórzane spódniczki i gorsety, a w uszach wielkie kolczyki w kształcie kół. Wszystkie pomalowały wargi srebrną pomadką, która jednak wyglądała dobrze jedynie na Chloe.

– Hej, ludzie. – Chloe podniosła gitarę, a pozostałe dziewczyny wzięły swoje instrumenty. – Jesteśmy Rzekome Zniewagi, ale to już wszyscy wiecie.

– Dawaj, Chloe! – zawołał jeden z chłopaków.

– Pokażcie mi, jak bardzo tego chcecie.

Widownia oszalała. Chloe uśmiechnęła się szeroko.

– To specjalna prezentacja piosenki, którą zagramy na balu maturalnym – powiedziała do mikrofonu i mrugnęła do widowni. – Tylko fajne dzieciaki będą jutro mogły śpiewać razem z nami.

Cam patrzył, jak Chloe rozgląda się po widowni i jej spojrzenie pada na Lilith. Był gotów rzucić się do przodu, gdyby Chloe obelżywie skomentowała obecność Lilith, ale ku jego zaskoczeniu wokalistka jedynie skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Dwa, trzy, cztery! – krzyknęła, a jej zespół zaczął grać kawałek „Kasiasta laska”.

Piosenka zupełnie nie przypominała tego, czego spodziewał się Cam – żadnego popu, sama melancholia, melodia opierała się na bitach z syntezatora, a gitara Chloe cały czas wyła.

Było oczywiste, że dziewczyny z zespołu przez lata brały drogie lekcje. Nieźle grały na instrumentach, nie miały problemów z emisją głosu i wszystkie ładnie wyglądały. Ale żadna z nich nie miała tej błyszczącej surowości Lilith. Nawet siedząc w tłumie, Lilith sprawiała, że dziewczyny wydawały się nudne.

Twarz Chloe poczerwieniała, a jej samej brakowało tchu, kiedy zaśpiewała ostatnią nutę. Lilith jako pierwsza podniosła się z miejsca, zaczęła klaskać i wykrzykiwać.

Cam zakładał, że Lilith przyszła na koncert, żeby wybadać konkurencję, ale najwyraźniej chodziło o coś jeszcze. Nie podobało mu się, że oddalił się od niej tak bardzo, że nie wiedział, co Lilith myśli. Przesiedział jeszcze trzy kolejne piosenki Chloe, zanim pierwszy set się skończył i zespół zrobił sobie przerwę.

– Czy możemy już uciekać? – jęknęła Arriane.

Roland uniósł brew.

– Cam?

– Dajcie mi minutę.

Kiedy większość widowni poszła po kawę albo do łazienki, Cam ruszył w stronę Lilith. Kierowała się do baru. Podszedł do niej i dotknął jej ramienia.

– Cześć, Lilith.

Natychmiast się odwróciła. Wydawało się, że widok Cama odbierał jej wszelką energię.

– Dlaczego tu jesteś?

– Chciałem cię zobaczyć. – Cam wpatrzył się w jej wargi. Nie powinny tak długo pozostawać bez pocałunków. – Co mogę zrobić, żeby wszystko naprawić?

– Założyłeś się z Lucem, że możesz sprawić, żebym się w tobie zakochała?

Cam otworzył usta. Podrapał się po brodzie. Skąd wiedziała? To nie była rozmowa, którą mogli przeprowadzić w miejscu publicznym.

– Możemy wyjść na zewnątrz? – spytał.

– Czy to wyjaśnia zespół i ogólnie twoje zainteresowanie mną? – Zawahała się, przełknęła ślinę. – Zakład, Cam. Czy się założyłeś?

– Nie. Tak.

Wtedy właśnie dziewczyna przyjmująca zamówienia wychyliła się przez kontuar i podniosła głos.

– Następny? Ej, ruda. Zamawiasz czy nie?

Lilith wyszła z kolejki.

– Odebrało mi apetyt.

– Lilith, zaczekaj – powiedział Cam.

– Co ty próbujesz osiągnąć, Cam? Doprowadzić mnie do samobójstwa jak tamtą dziewczynę?

Wszyscy się na nich gapili.

– To nie tak jak myślisz. – Wyciągnął rękę w jej stronę.

– Nie pozwolę, żeby ktoś się mną bawił.

Odepchnęła go i ruszyła w stronę drzwi.

Grupa uczniów westchnęła, kiedy Lilith ich mijała. Cam zamknął oczy i próbował ich nie słyszeć. Wyczuł Arriane i Rolanda u swojego boku.

– To nie wyglądało dobrze – powiedziała Arriane.

– Chwiejesz się na krawędzi, Cam – dodał Roland. – Wiem, że lubisz niebezpieczne życie, ale został ci tylko jeden dzień. Boję się, że to się nie skończy dobrze.

Drzwi kawiarni otworzyły się i do środka wkroczył Luc.

– Witajcie, starzy przyjaciele. – Posłał im niewiarygodnie fałszywy

uśmiech. – Rozmawiacie o moim ulubionym temacie, nieuniknionej zagładzie Cama?

Cam nie mógł się powstrzymać – bez chwili zastanowienia rzucił w szatana kubkiem kawy. Plastikowe wieczko odpadło i parujący brązowy płyn zalał twarz Luca. Cam usłyszał westchnienia uczniów, ale bardziej przejmował się reakcją Lucyfera. To był bez wątpienia bardzo głupi pomysł.

Szatan wyjął chusteczkę i otarł twarz, po czym nachylił się do Cama. Miał wściekłą minę.

– Dałem ci możliwość rezygnacji. Powinieneś być z niej skorzystał.

Mówił do Cama swoim prawdziwym głosem, dość cicho, by dzieciaki dookoła go nie usłyszały, choć z pewnością poczuły drżenie ziemi pod stopami.

– A wy dwoje. – Szatan odwrócił się do Arriane i Rolanda. – Zostaliście tu wpuszczeni z jednego tylko powodu. Wykonajcie swoje zadanie. Przemówcie do rozumu swojemu bezrozumnemu przyjacielowi. Albo będziecie mieli ze mną do czynienia.

– Pracujemy nad tym, sir – stwierdził Roland. – Wiesz przecież, jak uparty bywa Cam.

– To sprawa między mną a Lucyferem – powiedział Cam. – I jeszcze się nie skończyła.

– Skończyła się, zanim się zaczęła. – Lucyfer wskazał na drzwi, przez które wybiegła Lilith. – Udało ci się sprawić, że teraz nienawidzi cię bardziej, niż zanim tu przybyłeś. – Zaśmiał się cicho. – Tak, bez wątpienia się skończyła.

Szatan podszedł bliżej, aż od Cama dzieliły go tylko centymetry. Cam czuł zgniliznę oddechu Lucyfera, smród jego skóry.

– Nim jutrzejszy dzień się skończy, będziesz mój. Na zawsze.

1 Przekład na podstawie Biblii Tysiąclecia (przyp. tłum.).

2 „Jest życzliwą kobietą, ciągle bada zło”. Fragment piosenki Roberta Johnsona „Kind Hearted Woman Blues” (przyp. tłum.).

INTERLUDIUM



OFIARA

WYSPA LESBOS, GRECJA
OKOŁO 1000 R. P.N.E.

Cam siedział na pokładzie drewnianej łodzi zakotwiczonej w niewielkiej przystani.

Był nagi od pasa w górę i siedział ze skrzyżowanymi nogami, wpatrując się w wiszący nisko księżyc. Przez ostatnie dwie godziny próbował nauczyć się gry na lirze, którą ukradł mężczyźnie sprzedającemu szafran na targowisku. Z pewnością, gdyby udało mu się zapanować nad instrumentem Lilith, mógłby zapanować również nad luką w kształcie Lilith, która ziała w jego sercu.

Na razie nie szło mu najlepiej.

– Cam – mruknęła zmysłowo dziewczyna – odłóż to i chodź do mnie.

Obejrzał się i spojrzał na młodą dziewczynę o oliwkowej skórze. Opierała się na łokciu, a długie nogi podciągnęła pod brodę. Jej złociste włosy falowały na wietrze.

– Za chwilę przyjdę – powiedział.

Od kiedy opuścił Lilith, otaczał się dziewczętami, na próżno licząc, że odwrócą jego uwagę od złamanego serca.

Kiedy uciekł w dniu ślubu z Kanaanu, odszukał Lucyfera wśród chmur. Od czasu Upadku Cam nie miał wiele do powiedzenia szatanowi. Co mniej więcej stulecie Lucyfer proponował mu umowę – lojalność Cama w zamian za krainę w podziemnym świecie – ale Cam nigdy nie był zainteresowany.

Teraz jednak, kiedy Cam się pokazał, Lucyfer znacząco się

uśmiechnął i powiedział:

– Czekałem na ciebie.

Rozmyślania Cama przerwała druga dziewczyna o złocistych włosach, która przeszła po trapie na pokład łodzi.

– Tak myślałam, że cię tu znajdę! – zawołała.

– A co ty tu robisz, Xenia? – spytała ostro pierwsza dziewczyna.

Spojrzała na Cama. – Zaprosiłeś ją?

– Korinna?! – wykrzyknęła Xenia. – Dlaczego jesteś na statku Cama?

Cam odłożył lirę zadowolony z odmiany.

– Widzę, że nie muszę was sobie przedstawiać.

Dziewczyny piorunowały wzrokiem siebie nawzajem i jego.

Odetchnął głęboko i zmusił się, żeby się uśmiechnąć.

– Jesteście dwiema pięknymi dziewczynami w piękną księżycową noc. O ile nie chcecie koniecznie się bić, może się zabawimy?

Zanurkował w morzu. Kiedy wrócił na powierzchnię, położył się na plecach i spojrzał w stronę łodzi. Może do niego dołączą. Może nie.

Nie obchodziło go to.



– Wciąż chcesz kontynuować? – spytał chłopak siedzący za sterem cedrowej łódki zakotwiczonej na skraju przystani.

Lilith dowiedziała się, że miał na imię Luc, ale poza tym nie wiedziała zbyt wiele o swoim towarzyszu.

Słuchała plusków i śmiechu dochodzących z wody w pobliżu łodzi Cama. Przełknęła ślinę, w gardle czuła gulę.

Przebyła całą tę drogę, żeby go odnaleźć. Nie przyszło jej do głowy, że mógł sobie znaleźć kolejną dziewczynę i jeszcze jedną. Czuła ból, ale nie zamierzała opuścić Lesbos, nie poznawszy wcześniej jego uczuć.

Wkrótce zobaczyła Cama na przystani, szedł wzdłuż brzegu. Jego mokre włosy błyszcząły w blasku gwiazd.

– To twoja chwila – powiedział Luc. – Wykorzystaj ją.

Lilith zanurkowała w morzu i popłynęła w stronę Cama, biała suknia wydymała się wokół niej.

Za jej plecami Luc odprowadzał ją wzrokiem i uśmiechał się.



Okolo północy Cam wspinał się po stromym zboczu z lirą w dłoni, szukając czegoś, co odwróci jego uwagę. Usłyszał dobiegający z dala głos, któremu towarzyszyła melodia wygrywana na lirze. Zobaczył karłowate pustynne krzewy otaczające wnętrze jaskini i skierował się w tamtą stronę.

W jaskini, w wąskiej przestrzeni między dwiema wysokimi skałami, stary mężczyzna grał skomplikowaną melodię. Broda sięgała mu do pasa, a włosy zwisały w strąkach. Oczy miał zamknięte, a u jego stóp spoczywał dzban wina. Wydawał się nieświadomy obecności Cama.

– Jesteś bardzo dobry – powiedział Cam, kiedy lira ucichła. –
Nauczysz mnie grać?

Mężczyzna powoli otworzył oczy.

– Nie.

Cam przechylił głowę. Od kiedy sprzymierzył się z Lucyferem, odkrył, że jego głos stał się bardzo przekonujący. Uczył się, jak to obrócić na swoją korzyść.

– Zabiorę cię wysoko ponad chmury, jeśli mnie nauczysz. Możesz wziąć wino i pić wśród gwiazd.

Mężczyzna szerzej otworzył oczy, był wyraźnie oszołomiony.

– Zaczynaj – powiedział i zagrał akord.

Cam szybko uniósł lirę.

Mężczyzna rzucił instrument na ziemię.

– Kawał śmiecia. Śpiewaj.

Cam nie był przygotowany, by improwizować, i odkrył, że pierwszym, co przyszło mu na myśl, była piosenka Lilith – ta pierwsza, którą usłyszał z jej ust. Ukradła mu serce, pomyślał. Teraz on ukradnie jej piosenkę.

Gdzie miłość wiedzie mnie, prowadzę

Rymy moje, rymy moje.

Mężczyzna zmrużył oczy, był pod wrażeniem. Melodia, którą wygrywał na lirze, idealnie pasowała do tekstu Lilith. Podał dzban Camowi.

– Będę cię uczył, a ty zostaniesz ze mną. – Objął Cama ramieniem.
– A teraz – dodał, prowadząc go w stronę wyjścia z jaskini – powiedz mi, czy naprawdę umiesz latać?

Cam wyszedł znów w mrok. Miał właśnie rozłożyć skrzydła, kiedy zauważył poruszenie za pustynnymi krzewami.

Lilith? Czyżby śnił?

Wciąż miała na sobie suknię ślubną, brudną, zieloną od mchu i ociekającą morską wodą. Mocno opinała jej ciało. Włosy Lilith były rozczochrane i mokre, sięgały jej do połowy pleców, a skóra dziewczyny wydawała się blada i błyszcząca w świetle księżyca. Spojrzała mu w oczy, później na nagą pierś i na dłonie, jakby widziała, jak bardzo pragną ją objąć.

Ale Cam i Lilith się nie przytulili. Stali naprzeciwko siebie jak obcy.

– Witaj, Cam.

Cofnął się.

– Dlaczego tu jesteś?

Lilith skrzywiła się na to pytanie. Odetchnęła i próbowała znaleźć słowa, dla których przebyła tak daleką drogę. Kiedy mówiła, wpatrywała się w niebo, żeby nie widzieć, jak jego oczy spochmurniały na jej widok.

– Tamtej nocy, kiedy odszedłeś, śniłam, że nauczyłam stado słowików śpiewać pieśń miłosną, by mogły cię odnaleźć i śpiewem ściągnąć do mnie. Teraz sama jestem słowikiem, który przebył całą tę drogę. Wciąż cię kocham, Cam. Wróć do mnie.

– Nie.

Spojrzała mu w oczy.

– Naprawdę mnie kochałeś czy tylko byłeś przelotem?

– Odrzuciłaś mnie.

– Co takiego?!

– Powiedziałaś, że mnie nie poślubisz!

– Powiedziałam, że cię nie poślubię nad rzeką – powiedziała Lilith z naciskiem. – Nigdy nie powiedziałam, że nie poślubię ciebie.

Po ostatnim spotkaniu z Lilith Cam dołączył do sług Lucyfera. Jeśli wcześniej bał się pokazać Lilith swoją prawdziwą tożsamość, teraz już nie mógł tego zrobić. Nie. Przeszłości nie było. Lilith nie było.

Istniała jedynie jego samotna przyszłość.

– Zniszczyłaś naszą miłość – powiedział. – Teraz pozostało mi życie w jej ruinach.

W oczach Lilith był nacisk, którego Cam nie rozumiał. Wydawała się zdenerwowana, drżała.

– Cam, proszę...

Ramiona Cama płonęły pragnieniem rozłożenia skrzydeł. Przez całe tygodnie ukrywał je przed Lilith. Żeby ją chronić, jak sobie powtarzał.

Nie mógł się zmusić, by na nią spojrzeć, zobaczyć, jak bardzo cierpiała. Był demonem. Był dla Lilith niebezpieczny. Gdyby okazał jej życzliwość, wciągnąłby ją głębiej w ciemność.

– Widzisz mnie po raz ostatni. Nigdy się nie dowiesz, kim naprawdę jestem.

– Wiem, kim jesteś! – krzyknęła. – Jesteś tym, kogo kocham.

– Mylisz się.

– Wciąż mnie kochasz?

– Żegnaj, Lilith.

– Nie! – błagała, a łkanie sprawiło, że jej głos się załamał. – Nadal cię kocham. Jeśli odejdiesz...

– Już odszedłem.

Cam odwrócił się i zbiegł po zboczu góry, z dala od jej wzroku.

Odrzucił głowę do tyłu i rozłożył swoje oślepiające, złote skrzydła. Wpatrywał się w migoczące odblaski, które rzucały. Postanowił lecieć, aż jego serce przestanie boleć. Zamierzał latać choćby całą wieczność, gdyby to było konieczne.

Leciał szybko i nie odwracał się, więc nie zobaczył, jak Lucyfer wychodzi z cieni i bierze Lilith za rękę.

Lilith wpatrywała się w jego bladą, piegowaną dłoń. Oddychała płytko.

– Odszedł – westchnęła. – Zostawiłam wszystko. Dla niczego.

– Chodź – powiedział szatan. – Ja dotrzymałem swojej części

umowy. Czas, żebyś ty dotrzymała swojej.

SIEDEMNAŚCIE



LAS

LILITH *DWADZIEŚCIA TRZY GODZINY*

Lilith głośno słuchała muzyki przez słuchawki.

Leżała na brzuchu na narzucie i zapisywała w notatniku tekst nowej piosenki „Słynąca ze złamanego serca”. Była pierwsza w nocy. Czuli się zmęczona, ale wiedziała, że nie zaśnie. Wciąż odgrywała w głowie rozmowę z Camem w kawiarni.

Założył się, że uda mu się sprawić, żeby się w nim zakochała. Jakby nie miała wolnej woli, jakby była tylko monetą, którą można rzucić.

Czy Cam prawie wygrał ten zakład? Czuli do niego coś mocnego i głębokiego. Czy to była miłość? Może, ale nie mogła pokochać gościa, który traktował ją jak grę do wygrania.

Nagle Lilith usłyszała dźwięk, który nie był częścią piosenki Czterech Jeźdźców w słuchawkach. Dochodził z zewnątrz. Ktoś pukał do jej okna. Wyłączyła muzykę i uniosła rolety.

Cam zapiął kurtkę pod szyję, a na głowie miał tę czapkę, która tak się jej podobała. Jego zielone oczy patrzyły błagalnie, kiedy gestem poprosił ją o otwarcie okna.

Uniosła okno i wystawiła głowę.

- Matka cię zabije, jeśli odkryje, że podeptałeś jej chwasty.
- Zaryzykuję. Muszę z tobą porozmawiać.
- Bo inaczej przegrasz zakład, tak? Przypomnij mi, ile jeszcze godzin zostało, żebym się w tobie szaleńczo zakochała?

Spojrzała ponad trawnikiem na ulicę, przy której parkował

zabytkowy czarny motocykl Hondy, na jego kierownicy wisiały dwa kaski. Motocykl wyglądał na drogi. Lilith wpatrzyła się w Cama, przypominając sobie, jak przechodził między namiotami na Dobbs Street. Jak mógł sobie pozwolić na motocykl? Był chodzącą sprzecznością, ale nie zamierzała pozwolić, by to doprowadzało ją do szaleństwa.

– Jest późno. Jestem zmęczona. A ty jesteś ostatnią osobą, którą chcę teraz widzieć.

– Wiem. Lilith, potrzebuję cię...

– Nie potrzebujesz mnie.

Nie podobało jej się, kiedy mówił takie rzeczy. Gdyby nie zachowała ostrożności, mogłaby mu uwierzyć.

Cam spuścił wzrok i westchnął. Kiedy po chwili znów na nią spojrzał, w jego oczach było przejęcie, które sprawiło, że Lilith wstrzymała oddech.

– Zawsze będę cię potrzebował, Lilith. Z wielu powodów. Ale w tej chwili potrzebuję, żebyś ze mną poszła.

– Dlaczego miałabym dokądkolwiek z tobą pójść?

– Żebym mógł ci powiedzieć prawdę.

Już wcześniej została oszukana.

– Powiedz mi tutaj – stwierdziła, nie ustępując.

– Żebym mógł ci pokazać prawdę – poprawił się Cam. – Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę, bym pokazał ci, że moje uczucia są prawdziwe... a jeśli mi nie uwierzysz, już nigdy mnie nie zobaczysz. Umowa stoi?

Wpatrzyła się w jego twarz i uświadomiła sobie, jak znajome stały się jego rysy przez ostatnie dwa tygodnie. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy nad strumieniem, tak bardzo różnił się od wszystkich, których znała – wydawał się raczej wytworem wyobraźni niż realnym facetem. Ale teraz go znała. Wiedziała, że oblizuje wargi, kiedy myśli, a jego oczy błyszczą, kiedy słucha naprawdę uważnie. Znała dotyk jego dłoni w swoich i gładkość jego skóry tuż nad dekoltem podkoszulki.

– Jeszcze jedna szansa – powiedziała.



Okolice strumienia Rattlesnake spowijał ciężki mrok.

Serce Lilith zabiło mocniej, kiedy Cam poprowadził ją w głąb lasu, w stronę jej ulubionego miejsca. Nigdy wcześniej nie była tam o tak późnej porze i czuła się dziwnie podekscytowana.

Patyki łamały się z trzaskiem pod jej stopami, kiedy szła znajomą ścieżką na polanę z szarańczynem. Z początku go nie rozpoznała. Jej drzewo zostało ozdobione pasmami delikatnych, migoczących czerwonych i żółtych światełek.

Pod nim chłopak z dredami ustawiał bukiet kosaćców na starym biurku, które podarował jej Cam. Lilith wydawało się, że gdzieś go widziała.

Kiedy podbiegła do niej chuda dziewczyna, ogolona na łyso i z pomarańczowymi sztucznymi rzęsami, Lilith zorientowała się, gdzie widziała ich oboje. W kawiarni, z Camem, wcześniej tego wieczoru.

– Jestem Arriane – powiedziała dziewczyna. – To Roland. Cieszę się, że udało ci się przyjść.

– Co tu się dzieje? – spytała Lilith.

– Na początek? – odparł Cam. – Toast.

Roland ukląkł nad brzegiem strumienia i wyciągnął butelkę szampana. Sięgnął pod biurko, wyjął dwa kieliszki i z trzaskiem otworzył butelkę. Napenił kieliszki musującym płynem i podał jeden Lilith.

– *Salud.*

– Za drugie szanse – powiedział Cam i uniósł kieliszek.

– To już co najmniej piąta albo szósta szansa – sprzeciwiła się Lilith, ale i tak uniosła kieliszek.

– Ostra jest! – wykrzyknęła Arriane. – Podoba mi się.

– Kiedy zobaczyłem Lilith, podejrzewałem, że Cam trafił na godnego siebie przeciwnika – dodał Roland.

Lilith roześmiała się. Czuła się dziwnie swobodnie z tymi niespodziewanymi towarzyszami. Wydawali się o wiele bardziej interesujący od wszystkich ludzi, których знаła, może za wyjątkiem Cama.

– Nie zwracaj uwagi na moich przyjaciół. Znamy się od lat.

– Czyli najpierw toast – powiedziała do Cama, rozglądając się. –

A co później?

– Prośba.

– Nie pozwolę ci jeszcze wrócić do zespołu...

– Nie o to zamierzałem poprosić – przerwał jej Cam, choć słowo „jeszcze” sprawiło, że się uśmiechnął. – Prośba brzmi następująco: zapomnij o wszystkim, co słyszałaś o mnie od innych, i spędź ze mną godzinę w tym miejscu, pod gwiazdami. Tylko my dwoje. No... i jeszcze Arriane i Roland, ale wiesz, o co mi chodzi.

– Umiemy się dobrze kamuflować – powiedziała Arriane.

– W porządku? – spytał Cam.

– W porządku.

Lilith pozwoliła, by wziął ją za rękę i zaprowadził do biurka, na którym znajdowały się kryształowe kieliszki, złote sztucce z różnych kompletów, białe serwetki złożone na kształt łabędzi i dwa błyszczące rosyjskie samowary.

Z tyłu Roland zaczął trącać struny martina z lat trzydziestych, wygrywając synkopowany, bluesowy rytm. Instrument wyglądał bardzo interesująco, różnił się od gitar, które znała, i Lilith zastanawiała się, skąd Roland go wziął. Arriane zdjęła serwetki z biurka, rozwinęła je i rozłożyła na kolanach Cama i Lilith.

– Pozwól, żebym ja to zrobiła – powiedziała, kiedy Lilith wyciągnęła rękę w stronę srebrnej pokrywy.

Wewnątrz znajdowała się żeliwna patelnia wypełniona po brzegi aromatyczną czerwoną potrawką, na powierzchni której unosiły się dwa sadzone jajka ozdobione zielonymi gałązkami pietruszki.

– Szakszuka. – Lilith odetchnęła głęboko.

– Nie daj się jej oszukać – stwierdził Cam. – Szakszuka to jedyna potrawa, którą Arriane umie przyrządzić.

Lilith zmarszczyła czoło.

– Nigdy wcześniej nawet o niej nie słyszałam. To słowo po prostu pojawiło się w mojej głowie.

– Stare izraelskie danie. Bardzo lekkie.

– Umieram z głodu. – Lilith uniosła widelec. – Skąd wy się znacie?

– Długa historia. Przepraszam, *maître d'*, zapomniałaś otworzyć mój samowar.

– Sam go sobie otwórz, dupku! – zawołała Arriane znad brzegu strumienia, gdzie zajmowała się puszczaniem kaczek i naśladowaniem Cama: – „Jedyna potrawa, którą Arriane umie przyrządzić”.

Lilith zaśmiała się i nabrała trochę jaskrawożółtego żółtka. Posmakowała pierwszy pyszny kęs i popiła go łykiem szampana.

– Rany, on też jest dobry.

– Powinien! – zawołała Arriane znad brzegu. – Jest starszy niż twoja babcia.

Lilith odłożyła widelec i odwróciła się do Rolanda, który wciąż siedział w cieniu i grał na gitarze.

– Czy to moja piosenka?

Skupiał się na gryfie gitary i wygrywał skomplikowaną melodię.

– Roland jest twoim fanem – powiedział Cam.

– O co tu chodzi, Cam? – Lilith przeniosła wzrok z Rolanda na Arriane i drzewo. Nikt nigdy wcześniej nie zadał sobie tyle trudu, żeby zrobić na niej wrażenie. – Jest miło i w ogóle...

– Ale wszystko wygląda jak skomplikowany wstęp do zaproszenia?

Lilith odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na Cama.

– Nie martw się – powiedział szybko. – Nie zamierzam zaprosić cię na bal.

– I dobrze – odparła, choć z zaskoczeniem stwierdziła, że czuje się trochę rozczarowana.

Nachylił się tak blisko, że mógłby ją pocałować, i wziął ją za rękę.

– Powiedziałaś mi, że nie potrzebujesz chłopaka, żeby zagrać swoją muzykę podczas bitwy, a ja to szanuję. Co nie oznacza, że nie chciałbym z tobą pójść, kupić ci bukietka kwiatów i poprosić twojej mamy, żeby zrobiła nam zdjęcie, stać z tobą w kolejce po poncz i ciastka, robić wszystkich tych rzeczy, na które nigdy bym nie miał ochoty, gdyby nie chodziło o zrobienie ich z tobą. – Uśmiech rozpromienił całą jego twarz. – Ale szanuję twoje życzenia. Dlatego sprowadziłem bal do ciebie. – Rozejrzał się po lesie. – Widzisz, bal maturalny tak właśnie wygląda, tyle tylko, że jest jeszcze parę setek ludzi więcej. I budka zdjęciowa. I baloniki.

– Hm... Nie jest tak źle, jak sobie wyobrażałam – zażartowała

Lilith. – Właściwie jest całkiem nieźle.

– Dziękuję. Musieliśmy zwołać wiele zebrań, żeby to zorganizować. – Cam roześmiał się, ale zaraz spoważniał. Przyciszył głos. – Cokolwiek Chloe sądzi, że podsłuchała, rozmawiałem z Lucem jedynie o tym, jak bardzo cię lubię. Był przekonany, że nie mam szans, a to sprawiło, że obudziła się we mnie żądza rywalizacji. Bo niczego nie pragnę bardziej, niż tego, żebyś dała mi szansę.

Lilith wpatrzyła się w pełne wargi Cama i nagle zorientowała się, że nachyla się w jego stronę. Przestały ją obchodzić wszelkie pogłoski na jego temat. Bardzo pragnęła go pocałować. To było prawdziwe. Wszystko inne mogło zniknąć. Dlaczego wcześniej nie widziała tak jasno?

– Co byś powiedziała na taniec? – spytał.

– Powiedziałabym.

– To chyba znaczy, że się zgadza – powiedziała Arriane do Rolanda scenicznym szeptem, co on uczcił radosnym riffem.

Cam delikatnie pomógł Lilith wstać. Ich buty tonęły w warstwie liści, a Lilith trochę kręciło się w głowie po szampanie. Spojrzała między gałęzie szarańczynu i zaskoczyło ją, jak jasno świeciły gwiazdy nad strumieniem. Z podwórka widziała może jedną gwiazdę na zadymionym niebie, ale tutaj musiały ich być biliony.

– Są piękne – wyszeptała.

Cam podniósł wzrok.

– Uwierz mi, te gwiazdy nie mogą się z tobą równać.

– Przepraszam! – Arriane stanęła między nimi. – Jeśli mogłabym zrobić jedną sugestię natury odzieżowej.

Po chwili wcisnęła coś miękkiego w dłonie Lilith. Dziewczyna uniosła to do światła. Sukienka, którą kupiła w sklepie z używaną odzieżą.

– Jak ty...

– Naprawdę powinnaś zacząć zamykać na klucz okno swojego pokoju. – Arriane się roześmiała. – W okolicy nie brakuje idiotów, którzy mogliby ukraść twoją sukienkę wcześniej, niż ja to zrobiłam.

Lilith zamrugnęła.

– Byłaś w moim pokoju?

– Nic wielkiego. Kiedy ty byłaś zajęta zrywaniem, godzeniem się, czy co tam robisz z Camem, ja zrobiłam kilka poprawek, żeby odzwierciedlić twój ciągle zmieniający się styl.

Lilith przyjrzała się uważnie sukience i zauważyła, że z przodu została znacząco skrócona – do długości mini – choć z tyłu pozostała długa. Oba boki gorsetu zdobiły pasy z czarnej koronki, które sprawiały, że talia wydawała się jeszcze węższa. Dekolt został pogłębiony na kształt serca i również ozdobiony czarną koronką.

– O rany – westchnęła Lilith.

– Odwróć ją – powiedziała Arriane. – To nie koniec.

Kiedy to zrobiła, zobaczyła nowe wycięcia pośrodku pleców, w kształcie skrzydeł. To była ta sama sukienka, ale wyglądała zupełnie inaczej. Lilith nie rozumiała, jak dziewczynie udało się tak szybko wprowadzić tak przemyślane poprawki, ale wiedziała, że będzie nosić tę sukienkę z dumą na Bitwie Zespołów.

Właściwie chciała ją włożyć już w tej chwili.

– Dziękuję – zwróciła się do Arriane. – Mogłabym...?

Arriane jakby czytała jej w myślach.

– Nie podglądać – powiedziała do chłopaków i skinęła na Lilith.

Lilith odwróciła się plecami do strumienia, zdjęła przez głowę podkoszulek i rzuciła go na ziemię. Włożyła sukienkę i zsunęła dzinsy. Arriane sięgnęła do jej boku i zapięła co najmniej pięćdziesiąt malutkich guziczków.

– Jednym słowem – powiedziała Arriane – oszałamiające.

Lilith obejrzała sukienkę w blasku gwiazd na niebie i migoczących światełek, które Cam rozwiesił z przyjaciółmi. Czowała się pięknie... i dziwnie, jak w przymierzalni sklepu z używaną odzieżą. Nie umiała tego wyjaśnić. Zorientowała się, że Cam na nią patrzy i też to czuje.

– Jestem gotowa.

Objęła go i zaczęli się poruszać w rytm muzyki, patrząc sobie w oczy. Cam umiał prowadzić w tańcu. Nie poruszał się za szybko i nie deptał jej po palcach. Każdy obrót i każde pochylenie się wydawały się instynktowne, a ich ciała pasowały do siebie, jakby byli dwoma kawałkami układanki, które znalazły się we właściwym miejscu.

– Nadal nie rozumiem, jak się znaleźliśmy w tym miejscu –

szeptnęła Lilith, odchylając głowę do tyłu tak, że jej włosy dotknęły ziemi.

– Pojechaliśmy na motorze – zażartował Cam. – Pamiętasz? Wiatr we włosach?

– Wiesz, o co mi chodzi. Ty. Ja. My.

– My – powtórzył powoli Cam. – To brzmi bardzo dobrze. Tworzymy bardzo dobre „my”.

Lilith zastanawiała się przez chwilę. Miał rację. I nagle poczuła, że nie chce, by jej bal maturalny skończył się nad strumieniem. Po raz pierwszy chciała zrobić coś więcej, niż tylko zagrać swoją piosenkę podczas bitwy. Chciała doświadczyć całej imprezy, z przyjaciółmi i przede wszystkim z Camem.

– Cam – jej serce zabiło szybciej, gdy kołysali się w rytm muzyki – czy pójdziesz ze mną na Bitwę Zespołów?

Lilith wydawało się, że widziała już Cama szczęśliwego, ale teraz jego twarz rozpromieniło coś nowego. Zawirował z nią.

– Tak!

– Chyba powiedział „tak”! – syknęła Arriane do Rolanda.

– Wiedzieliśmy przecież, że on powie tak! – odparł Roland.

– A, racja. Przepraszam. Nie zwracajcie na nas uwagi.

Lilith roześmiała się, kiedy dziewczyna wróciła do zmywania naczyń w strumieniu.

– Ale jest jeden warunek. – Lilith odwróciła się znów do Cama. – Musisz wrócić do zespołu i zagrać naszą piosenkę. Poradzisz sobie?

– Lilith, grałbym z tobą całą wieczność. A przynajmniej do czasu, kiedy znów wyrzucisz mnie z zespołu.

– W takim razie wszystko ustalone. Jutro wieczorem ja i ty. I całe Trumbull.

– Formalnie rzecz biorąc – Cam spojrzał na zegarek – bal maturalny jest dziś wieczorem.

Melodia, którą grał Roland, zmieniła się w coś jednocześnie obcego i znajomego. Wydawało się, że pochodzi z Bliskiego Wschodu, ale Lilith mogłaby przysiąc, że słyszała ją już tysiące razy.

– A teraz zamknij oczy – powiedział Cam. – Pokażę ci, jakie to uczucie, kiedy się naprawdę tańczy.

Lilith zamknęła oczy i pozwoliła, by Cam ją poprowadził. Z każdą chwilą kroki robiły się coraz bardziej skomplikowane. Nie miała pojęcia, że taniec może być tak łatwy. Cam chwycił ją w tali i podnosił ją tak długo, aż mogłaby przysiąc, że jego stopy również nie dotykają ziemi – że wznoszą się nad strumieniem, nad drzewami, nad płonącymi wzgórzami, w gęstwinę gwiazd, i zaraz pocałują księżyc.

– Mogę otworzyć oczy? – spytała.

– Jeszcze nie.

Cam pocałował ją mocno, jego wargi były ciepłe – a ona odpowiedziała tym samym. Przeszył ją przyjemny dreszcz, kiedy Cam przyciągnął ją bliżej, całował mocniej. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Ani niczego podobnego.

Jego wargi były stworzone dla jej warg. Dlaczego tak długo z tym czekali? Mogli się tak całować przez cały czas. Powinni nie przestawać się całować, dokładnie tak, aż...

– Lilith – szepnął, kiedy ich wargi się rozdzieliły. – Lilith, Lilith, Lilith.

– Cam.

Zakręciło się jej w głowie. Chłodny podmuch wzburzył jej włosy i zanim się zorientowała, poczuła pod stopami ziemię.

– Teraz możesz otworzyć oczy – powiedział, a ona to zrobiła.

Z tak bliska oczy Cama miały złociste plamki i ciemniejszą zieloną obwódkę. Nie mogła oderwać od nich wzroku.

– Czy to był taniec? – spytała oszołomiona. – Czy latanie?

Cam objął ją w tali.

– Jeśli zrobić to właściwie – dotknął czołem jej czoła – nie ma żadnej różnicy.

OSIEMNAŚCIE



TAJEMNA KRAINA MIŁOŚCI

CAM *CZTERY GODZINY*

Cam wy dostał się z tylnego siedzenia starej długiej limuzyny, którą Roland jakimś tajemniczym sposobem załatwił na wieczór. Wspiął się po betonowych schodach do frontowych drzwi domu Lilith i słuchał odgłosów wydawanych przez szarańczę odbijającą się od latarni na ganku. Serce waliło mu w piersi, kiedy uniósł dłoń do dzwonka.

Powątpiewanie w siebie nie było w jego stylu. Nie pasowało do skórzanej kurtki, oryginalnych lewisów, chłodnych zielonych oczu. Ale teraz, gdy słońce chowało się za płonącymi wzgórzami, a na ulicach wiał chłodny wiatr, zastanawiał się: czy zrobił dosyć?

Kilka prób zespołu. Kilka kłótni. Jeden cudowny pocałunek. Dla Cama każda chwila była pełna napiętności. Ale czy Lilith rozpozna w tym miłość?

Bo jeśli nie...

Zrobi to. Musiała. Dziś wieczorem.

Arriane otworzyła gwałtownym ruchem drzwi, oparła ręce na biodrach i uniosła piękne brwi.

– Ona jest gotowa! – zaintonowała. – O jej fryzurze będą opowiadać legendy, ale szczególnie jestem zadowolona ze zmian, które wprowadziłam w jej sukience. Nie bez powodu nazywają mnie Arriane Alter[3]. – Obejrzała się przez ramię. – Ej, Bruce, przyprowadź laskę.

– A dokąd się właściwie wybieramy? – spytała Arriane.

Chwilę później zza rogu wyłonił się brat Lilith w swojej pizamie w dinozaury. Na jego ramieniu wspierała się Lilith, już przebrana. Cam

wstrzymał oddech, kiedy szła w jego stronę powolnym, miarowym krokiem i przez cały czas patrzyła mu w oczy. Ta suknia i jej rozmarzone spojrzenie sprawiły, że powrócił myślami do ślubu, do którego nie doszło.

Promieniała. Jej rude włosy zostały zaplecione w kilkanaście różnych warkoczy, które następnie związano razem w jeden nierówny węzeł. Jej powieki błyszcząły zielenią, wargi były szkarłatne i matowe. Strój uzupełniały sięgające do kostki buty motocyklowe w starym stylu. Była zabójcza.

Puściła rękę Bruce'a i obróciła się powoli.

– Jak wyglądam?

Kiedy zatrzymała się przed nim, Cam wziął ją za rękę. Miała bardzo miękką skórę.

– Wyglądasz tak dobrze, że powinni tego zakazać.

– Nie przebrałeś się? – spytała Lilith, wyglądając klapę skórzanej kurtki Cama. – Jean się wścieknie, ale ja myślę, że wyglądasz czadowo.

– Czadowo?

Roześmiał się. Kiedy Lilith patrzyła na niego w ten sposób, Cam zapominał, że jego muskulatura się zatarła, skóra była cienka jak papier, włosy wypadają, a kopyta utrudniały chodzenie. Lilith widziała go inaczej niż cała reszta jej świata, bo ją obchodził, a tylko jej opinia się dla niego liczyła.

– Cam, czy miałbyś coś przeciwko, gdybym... – odezwała się niepewnie Lilith. – Czy mogłabym cię oficjalnie przedstawić mojej mamie? Ona jest trochę staromodna i byłoby dla niej ważne...

– Jasne. Mamy mnie uwielbiają – skłamał Cam.

Matki nastolatki zazwyczaj od razu wyczuwały w Camie niegrzecznego chłopaka.

Ale dla Lilith zrobiłby wszystko.

– Mamo?! – zawołała Lilith i po chwili na korytarzu pojawiła się jej matka.

Miała na sobie różowy szlafrok frotté, poplamiony i przetarty. Włosy ściągnęła do tyłu i spięła plastikową spinką. Teraz poprawiła ją nerwowo, wyciągając niewielki kosmyk.

– Pani Foscor. – Cam wyciągnął rękę. – Jestem Cameron Briel.

Mieliśmy się okazję już poznać, kiedy zabierała pani Bruce'a do szpitala, ale cieszę się, że znów panią widzę. Chciałbym pani podziękować.

– Za co?

– Za wychowanie wyjątkowej córki.

– Wszystko, co ci się w niej podoba, to pewnie jej bunt przeciwko mnie. – Ku wielkiemu zaskoczeniu Cama matka Lilith się roześmiała. – Ale wygląda pięknie, prawda?

– Jak z romantycznej piosenki.

Kiedy spojrzał na Lilith, w jej oczach błyszczały łzy. Domyślił się, że rzadko słyszała pochwały z ust matki.

– Dziękuję. – Lilith objęła matkę, a później brata. – Nie wrócimy zbyt późno.

– Nie chciałyby pani obejrzeć występu Lilith? – Cam zwrócił się do jej matki.

– Z pewnością tylko by się nas wstydziła.

– Nie. Przyjdźcie, proszę. – Lilith spojrzała na Cama. – Nie jestem pewna... Jak myślisz, czy na bal wpuszczą kogoś, kto nie jest uczniem?

– Proszę się tym nie przejmować – wtrąciła Arriane. Pociągnęła za dekolot swojej czarnej koszulki. – Znam gościa, który zna gościa, który załatwi nam miejsca w pierwszym rzędzie.

– To bardzo miło z waszej strony – powiedziała matka Lilith. – Pójdę się ubrać. Ty też, Bruce.

Kiedy reszta rodziny zniknęła w swoich pokojach, Cam odwrócił się do Lilith.

– Idziemy?

– Zaczekaj, zapomniałam o gitarze.

– Może ci się przydać. Zaczekam na zewnątrz.

Wyszedł na ganek, Arriane poszła za nim. Poklepała go po policzku.

– Jestem z ciebie dumna, Cam. I czuję się zainspirowana. Zgodzisz się, Ro?

– Całkowicie! – zawołał Roland przez otwarte okno limuzyny. Miał na sobie elegancki smoking z granatową muszką.

– Dzięki.

– Niezależnie od tego, co się dziś wydarzy – dodała Arriane.

– Wciąż nie wierzycie, że mogę wygrać?

Arriane podeszła do niego.

– Po prostu gdyby przypadkiem ci się nie...

– Chodzi jej o to – Roland wysiadł z samochodu i stanął za Camem – że byśmy za tobą tęsknili, stary. – Oparł się o zardzewiałą balustradę ganku i wpatrzył się w niebo. – A ty nie będziesz za nią tęsknił?

– Bo jeśli przegrasz, ona wróci do Czyścica ze śnieżnymi kulami, a ty... – Arriane zadrżała. – Nawet wolę nie myśleć, do czego zmusi cię Lucyfer.

– Nie martwcie się tym, bo nie zamierzam przegrać.

Arriane usiadła na masce limuzyny, a Roland wrócił na miejsce kierowcy. Drzwi się otworzyły i na ganku pojawiła się Lilith z gitarą w ręce, skąpana w blasku księżyca.

– Czy poradzisz sobie z jeszcze jednym dodatkiem? – Cam wyjął z kieszeni nieduże białe pudełko.

Lilith otworzyła je i uśmiechnęła się na widok niebiesko-żółtych kosaćców przypiętych do gumki.

Cam delikatnie wsunął kwiaty na nadgarstek Lilith. Ich palce się splotły.

– Nikt nigdy nie dał mi bukietka. – Arriane westchnęła z tęsknotą.

I wtedy coś wylądowało z hukiem u jej stóp. Odskokzyła przestraszona, po czym spuściła wzrok i zobaczyła nieduże białe pudełko, dokładnie takie samo, jakie Cam wręczył Lilith. Uśmiechnęła się.

– Nie ma za co – powiedział Roland zza kierownicy. – A teraz wsiadajcie, dzieciaki. Marnujecie cenne minuty balu.



Kiedy dojechali do Trumbull, Cam pomógł Lilith wysiąść z limuzyny. Niewielkie grupki odstawionych młodych ludzi siedziały na maskach samochodów na parkingu – wszyscy byli ubrani w najlepsze sukienki i garnitury – ale najwięcej działo się na boisku, gdzie Luc wybudował replikę Koloseum.

Podobnie jak rzymski odpowiednik, nie było zadaszone, a otaczały je trzy kondygnacje wysokich łuków. Jednak, przyglądając się budowli,

Cam uświadomił sobie, że jest w niej coś prowizorycznego. Nie wybudowano jej z wapienia, ale z ubitego popiołu z ogni Piekła Lilith, przez co wyglądała jak z taniego betonu. Wtedy właśnie dotarła do niego tymczasowość tego wszystkiego – wieczoru, szkoły, małego, smutnego świata Crossroads.

Lilith patrzyła w tę samą stronę, a Cam wiedział, że nie widzi nic z tego, co go niepokoiło. Dla niej był to kolejny brzydki budynek w jej brzydkim mieście.

Od ścian odbijało się echem basowe dudnienie.

– Co prawda, to nie strumień, ale jakoś musimy sobie poradzić – powiedziała.

– Zrobimy coś jeszcze lepszego. Wstrząśniemy tym miejscem tak bardzo, że aż ściany się zawalą. To będzie jak powtórka z upadku Rzymu.

– A niech mnie, ambitny jesteś – zażartowała Lilith, biorąc go za rękę.

– Dzięki za podwiezienie, Rolandzie.

Cam odwrócił się do demona, który zamknął za nimi drzwi limuzyny.

– Połamania nóg, bracie! – odkrzyknął Roland.

Cam i Lilith przeszli pod łukiem ze złotych i srebrnych balonów i wkroczyli do fałszywego Koloseum. Po drugiej stronie impreza już trwała. Uczniowie tłoczyli się wokół oświetlonych blaskiem świec stolików, śmiali się, flirtowali, pogryzali serowe koreczki i popijali poncz. Inni tańczyli w rytm szybkich popowych kawałków na wielkim parkiecie pod gwiazdami.

Spojrzenie Cama przyciągnęła tylna część Koloseum, gdzie wybudowano wielką scenę wznoszącą się na ponad pięć metrów nad tłum. Za zasłonami z czerwonego aksamitu zespoły mogły czekać na rozpoczęcie swojego występu. Z boku ustawiono niewielki stolik sędziów, nad którym wisiał transparent: TRUMBULL WITA CZTERECH JEŹDŹCÓW.

Lilith trąciła Cama i wskazała na parkiet.

– Popatrz tylko na Luisa.

Cam podążył za jej spojrzeniem i zobaczył ich perkusistę w białym

smokingu, drepczącego jak kurczak wokół Karen Walker, która ukrywała twarz w dłoniach.

– Do roboty, Luis! – zawołała Lilith.

– Co takiego?! – odkrzyknął Luis ponad muzyką. – To mój kawałek. Muszę poruszać nogami.

Wtedy właśnie do Lilith i Cama podszedł Dean Miller. Miał na sobie ciemny smoking z wąskim czarnym krawatem.

– Tarkenton szukał cię przez cały wieczór. – Podał Camowi kawałek złożonej niebieskiej tkaniny. – Jesteś kandydatem na króla balu. Musisz to nosić. Wiedziałbyś, gdybyś raczył się pokazać na naszym ostatnim zebraniu.

Lilith zasłoniła twarz ręką, żeby ukryć śmiech, kiedy Cam uniósł szarfę z pastelowej satyny z nadrukowanym białymi literami jego nazwiskiem. Dean nosił na swoim smokingu podobną szarfę z napisem *Dean Miller*.

– Cudownie. – Cam uniósł szarfę. – Powodzenia.

– Dzięki, ale w przeciwieństwie do ciebie ja go nie potrzebuję. – Dean uśmiechnął się złośliwie, kiedy podeszła do niego Chloe King.

– Dean, jesteś mi potrzebny do zdjęcia...

– Chloe – powiedziała Lilith. – Cześć.

Chloe obrzuciła spojrzeniem suknię Lilith i była wyraźnie pod wrażeniem.

– Poszłaś do fryzjerki czy coś? Bo nawet wyglądasz nieźle.

– Chyba powinnam za to podziękować. Ty też wyglądasz ładnie. Chloe odwróciła się do Cama i zmrużyła oczy.

– Lepiej dobrze ją traktuj – powiedziała i odprowadziła Deana na bok.

– Od kiedy to przyjaźnisz się z Chloe King? – spytał Cam.

– Nie powiedziałabym, że się z nią przyjaźnię, ale parę dni temu wyjaśniłyśmy sobie sprawy. Nie jest taka zła. I ma rację. – Lilith uniosła brew. – Lepiej dobrze mnie traktuj.

– Wiem.

Była to dla Cama najważniejsza rzecz na świecie.

Lilith wzięła jego niebieską szarfę i wrzuciła ją do pobliskiego kosza na śmieci.

– A teraz, kiedy tę sprawę już załatwiliśmy, pora obmyślić plan. – Spojrzała na zegarek. – Bitwa zaczyna się za dwadzieścia minut. Chyba mamy czas zatańczyć, zanim będziemy musieli się przygotować.

– Ty tu rządzisz.

Cam przyciągnął do siebie Lilith i ruszył w stronę parkietu.

Na szczęście kolejny kawałek był wolny, z rodzaju tych, które sprawiały, że każdy miał ochotę kogoś objąć. Wkrótce Lilith i Cama otaczały pary, a parkiet wypełniły kolorowe suknie i kontrastujące z nimi eleganckie smokingi. Uczniowie, z którymi Cam wielokrotnie mijał się na nudnych korytarzach Trumbull, wyglądali wyjątkowo w blasku gwiazd, z uśmiechem kołysząc się w rytm muzyki. Cama dręczyła świadomość, że wszyscy czują się tak, jakby ich życie właśnie się zaczynało, choć w rzeczywistości właśnie się kończyło.

Przyciągnął do siebie Lilith. Skupił się tylko na niej. Uwielbiał lekki dotyk jej palców na ramionach. Uwielbiał zapach bukiecika z irysów na tle jej skóry i ciepło jej ciała. Zamknął oczy i pozwolił, by reszta Crossroads zniknęła, wyobrażał sobie, że są sami.

Tańczyli w taki sposób tylko raz przed poprzednią nocą nad strumieniem Rattlesnake – w Kanaanie, nad rzeką, tuż po tym, jak Cam się jej oświadczył. Pamiętał, że Lilith wydawała mu się w tym pierwszym tańcu lekka jak piórko, wznosiła się nad ziemię z każdym przechyleniem jego ciała.

Teraz wydawała się taka sama. Jej stopy muskały parkiet, a kiedy na niego patrzyła, w oczach miała czystą radość. Była szczęśliwa. Czuł to. On też. Zamknął oczy i pozwolił, by wspomnienia zabrały ich do Kanaanu, gdzie kiedyś byli tak otwarci i wolni.

– Kocham cię – szepnął, zanim zdążył się powstrzymać.

– Co powiedziałaś?! – krzyknęła Lilith, jej głos był ledwo słyszalny ponad muzyką. – Szukasz łazienki?

Cofnęła się i rozejrzała, szukając wzrokiem męskiej toalety.

– Nie, nie. – Cam znów wziął ją w ramiona, żalując, że zepsuł nastrój. – Powiedziałem – ale nie, nie mógł, nie teraz, jeszcze nie – powiedziałem: „niezłe ruchy”.

– Ciesz się nimi, póki możesz! Musimy iść za scenę.

Piosenka się skończyła i wszyscy odwrócili się w stronę sceny, na

którą właśnie wspinał się Tarkenton, ubrany w granatowy smoking z różową różą przypiętą do klapy. Podkręcił węża i odchrząknął nerwowo, podchodząc do mikrofonu.

– Wszyscy uczestnicy dzisiejszej Bitwy Zespołów powinni zgłosić się teraz za sceną – powiedział, rozglądając się. – To ostatnie wezwanie dla wszystkich uczestników Bitwy Zespołów. Proszę wyjść drzwiami po lewej stronie sceny.

– Mamy mało czasu. – Lilith złapała Cama za rękę i pociągnęła go przez tłum uczniów w stronę sceny.

– Jakbym tego nie wiedział – mruknął Cam.

Skręcili w lewo, omijając całującą się parę, a później odnaleźli czarne drzwi po lewej stronie sceny, za którymi mieli się zgłosić.

Cam przytrzymał je dla Lilith. Po drugiej stronie zobaczyli wąski, kiepsko oświetlony korytarz.

– Tędy.

Lilith wzięła go za rękę i wskazała na plakat ze strzałką. Skręcili w lewo, a później w prawo, aż dotarli do rzędu garderób podpisanych: Miłość i Bezczytność, Śmierć Autora, Rzekome Zniewagi, Cztery Jeźdźcy, a na końcu korytarza Zemsta. Lilith nacisnęła klamkę.

W środku Luis siedział na składanym krzeselku, pożerał drażetki M&M's i opierał stopy o toaletkę. Przebrał się w czarną kowbojską koszulę i białe spodnie, a czarną fedorę opuścił na czoło. Miał zamknięte oczy i pod nosem powtarzał rytm „Cudzego Bluesa”.

Na kanapie w kącie Jean obściskiwał się ze swoją dziewczyną Kimi, która wyglądała wspaniale w długiej sukience z żurawinowej satyny. Na chwilę przerwał pocałunek, by pokazać Camowi i Lilith znak pokoju.

– Gotowy dać czadu, stary? – spytał, poprawiając brązową skórzaną kamizelkę, którą znalazł w sklepie Armii Zbawienia.

Z tyłu gitara Cama opierała się o syntezator, a obok wisiały starannie rozwieszane smokingi chłopaków – tym pewnie zajęła się dziewczyna Jeana.

Kimi podniosła się i poprawiła sukienkę.

– Najwyższa pora, żebyśmy się zmywała. – W drzwiach posłała buziaka Jeanowi. – Nie zawieź mnie.

Jean podniósł się, by złapać przesłanego buziaka, co sprawiło, że Cam i Lilith wybuchnęli śmiechem.

– To nasz zwyczaj – powiedział Jean. – Czy robię sobie z was żarty, bo kłócicie się co piętnaście minut? Nie, bo to wasz zwyczaj.

Cam spojrział na Lilith.

– Nie pokłóciliśmy się przez ostatnie pół godziny.

– Nie nadążamy za harmonogramem – zgodziła się Lilith, po czym położyła dłoń na ramieniu Jeana. – Dzięki, że znosiłeś zamieszanie, jakie robiliśmy.

– Nic wielkiego. Powinniście zobaczyć, jak reaguje Kimi, jeśli w ciągu sześćdziesięciu sekund nie odpowiem na jej wiadomość.

– W końcu to bal maturalny! – stwierdził Luis. – A czy kiedykolwiek w historii świata przygotowywania do balu maturalnego nie wywoływały zamieszania?

Wyjął pałeczki z tylnej kieszeni spodni i zaczął uderzać nimi o uda.

– Dwie minuty do rozpoczęcia! – zawołał ktoś z korytarza.

Cam wystawił głowę i zobaczył Luca stojącego na zewnątrz z notatnikiem i zestawem słuchawkowym. Posłał Camowi wilczy uśmiech i odezwał się swoim prawdziwym głosem:

– Jesteś gotów, Cambrielu?

– Urodziłem się gotów.

Rzecz jasna, to nie była prawda. Do chwili, kiedy poprzedniego wieczoru wziął Lilith w ramiona, nie czuł się nawet bliski wygrania tego zakładu z Lucyferem.

Szatan zaśmiał się i zgasił kilka żarówek na suficie chichotem tak zgrzytliwym, że nie usłyszał go nikt poza Camem.

– Wszystkie zespoły, proszę zgłosić się na swoje miejsca za kulisami – ogłosił znów fałszywie melodyjnym głosem Luca.

Cam wrócił do garderoby i zamknął drzwi. Miał tylko nadzieję, że inni nie zauważą jego wściekłości. Spojrzął na odbicie Luisa w lustrze. Skóra perkusisty przybrała ziemisty odcień.

– Wszystko w porządku?

– Niedobrze mi.

– Mówiłem ci, żebyś nie jadł tyle drażetek. – Jean pokręcił głową.

– Nie o to chodzi. – Luis oddychał płytko i opierał dłonie na

toaletce. – Żadne z was nie ma tremy?

– Ja mam – przyznała Lilith.

Cam spojrział w jej stronę i odkrył, że dziewczyna drzy.

– Dwa tygodnie temu nie spodziewałam się, że będę tu stała. Teraz, kiedy znalazłam się w tym miejscu, chcę być wielka. Nie chcę spieprzyć sprawy tylko dlatego, że jestem zdenerwowana. Nie chcę zmarnować tego wszystkiego.

Jean wziął mooga pod pachę.

– Cała uroda grania muzyki, której nikt nigdy wcześniej nie słyszał, polega na tym, że nikt nawet nie zauważy, jeśli spieprzysz sprawę.

– Ale ja będę wiedzieć.

Cam usiadł na toaletce i spojrział w stronę Lilith. Dotknął jej brody i odezwał się łagodnie:

– Po prostu tam wyjdziemy i damy z siebie wszystko.

– A jeśli to nie wystarczy? – Lilith spuściła wzrok. – A jeśli to wszystko było pomyłką?

Cam położył dłonie na jej ramionach.

– Sensem tego zespołu nie jest trzyminutowy występ na balu. Sensem tego zespołu są wszystkie kroki, które doprowadziły nas do tego miejsca. Napisane przez ciebie piosenki. Nasze wspólne granie. Wszystkie próby. Wycieczka do sklepu Armii Zbawienia. Konkurs na tekst, który wygrałaś.

Przeniósł wzrok z Lilith na Jeana i Luisa i odkrył, że uważnie wsłuchują się w jego słowa.

– Sensem jest to, że wszyscy zostaliśmy przyjaciółmi. I te wszystkie razy, kiedy wyrzucałaś mnie z zespołu. I wszystkie razy, kiedy łaskawie pozwalałaś mi wrócić. Tym jest Zemsta. I dopóki będziemy o tym pamiętać, nic nas nie powstrzyma. – Odetchnął głęboko z nadzieją, że pozostali nie usłyszą drżenia jego głosu. – A jeśli nam się nie uda, przynajmniej spędziliśmy ten czas razem. Nawet jeśli to już koniec, warto było przez jakiś czas z wami grać.

Lilith przechyliła głowę w stronę Cama i spojrzała mu w oczy. Wyszepiała coś, co nie do końca usłyszał. Z nadzieją pochylił się ku jej wargom.

- Co mówiłaś?
- Powiedziałam „dziękuję”. Czuję się lepiej. Jestem gotowa. To już coś. Ale czy wystarczy?
- Cam zdjął gitarę ze stojaka.
- Chodźmy.



Stali we czwórkę w kącie kulis z instrumentami pod pachami. Wszyscy mieli wychodzić na scenę z lewej, a zespołów nie oddzielały od siebie żadne parawany, więc po prostu tłoczyli się w małych grupkach. Atmosfera była pełna napięcia – zdenerwowania, oczekiwania i lakieru do włosów. Wszyscy to czuli.

Cam wyjrzał zza zasłony na tłum na parkiecie. Przy zgaszonych światłach na scenie widział ich bardzo dobrze. Byli niespokojni, ale podekscytowani, przepychali się, flirtowali, śmiali bez powodu, jeden chłopak nawet unosił się na rękach tłumu. Nawet nauczyciele kręcący się po bokach wydawali się radośni. Cam wiedział, że taki nastrój na widowni był dobry dla zespołu. Chcieli czegoś od występu, czegoś, co pasowało do ich ogromnej energii tego wieczoru.

Po prawej, przy stoliku dla sędziów, Tarkenton próbował rozmawiać z czterema punkami. Cam niemal zapomniał, że Ike Ligon miał oceniać występy, i z rozbawieniem wpatrzył się w tych, którzy w Piekle Lilith uchodzili za „gwiazdy rocka”. Wokalista wydawał się odpowiednio nadąsany, miał nastroszone blond włosy i długie kończyny, ale pozostała trójka robiła wrażenie, jakby łącznie mieli dwa neurony na krzyż. Cam przypomniał sobie, że to ulubiony zespół Lilith, i pomyślał, że może na scenie wyglądają inaczej.

Jego uwagę zwróciło poruszenie za stolikiem sędziów. Arriane i Roland ustawiali składane krzeselka dla matki i brata Lilith. Arriane napotkała spojrzenie Cama i wskazała w górę. Podniósł wzrok i z radością zorientował się, że jakimś cudem udało jej się zawiesić dyskotekową kulę na krokwiach nad sceną.

Znów spojrział na Arriane i udał, że klaszcze. „Nieźle”, powiedział samym ruchem warg. Pomyślał o wszystkim, co jego przyjaciele zrobili dla niego wczorajszej nocy nad strumieniem, i zastanawiał się, czy bez

nich udałoby mu się zejść tak daleko z Lilith.

Roland podniósł wzrok do gwiazd i z wyraźnym niepokojem zmarszczył czoło. Cam podążył za spojrzeniem przyjaciela. Światło gwiazd, które tej nocy wydawało się dziwnie jasne, wcale nie było światłem gwiazd. To demony Lucyfera zebrały się wysoko na firmamencie. To ich oczy świeciły jak gwiazdy przez dym z pożarów. Cam najeżył się, wiedząc, że przybyli, by poznać jego los. Nie tylko uczniowie Trumbull nie mogli się doczekać wielkiego show.

Światła zgasły.

Tłum umilkł, kiedy blask reflektora padł na Luca. Szatan przebrał się w niebieski garnitur w prążki i półbuty z przeszyciami, a w kieszonce miał fioletową chusteczkę. Uniósł połączony mikrofon i uśmiechnął się do telepromptera.

– Witajcie na balu maturalnym Trumbull – zagrzemiał. Na widowni rozległy się okrzyki, które Luc uciszył machnięciem ręki. – Jest dla mnie zaszczytem, że mogę odegrać rolę w tak doniosłym wydarzeniu. Wiem, że wszyscy chcecie wiedzieć, kto zostanie królem i królową balu. Trener Burroughs podlicza właśnie wasze głosy za sceną. Zaczniemy jednak od oczekiwanej przez wszystkich Bitwy Zespołów.

– Kochamy cię, Chloe! – krzyczała grupka dzieciaków w pierwszych rzędach.

– Niektóre z zespołów, które usłyszycie, mają wielu fanów. Niektóre są stosunkowo nieznane, nawet dla tych, z którymi są w bliskich stosunkach...

Czekał na śmiech, ale doczekał się jedynie napoczętej puszkii z colą, która wylądowała mu u stóp.

– Niektórzy – mówił dalej Luc, a jego głos nabrał niepokojących tonów – nigdy nie mieli szans. – Odwrócił się i mrugnął do Cama. – Oto pierwszy kandydat, Miłość i Bezczyność!

Widownia zaklaskała, kiedy na scenę weszły dwie uczennice drugiej klasy, niosąc stołki. Wyglądały jak siostry, obie miały ciemną cerę, piegi i jasnoniebieskie oczy. Jedna miała bardzo jasne loki, a druga pofarbowane na czarno, równo przycięte włosy. Obie podniosły ukulele.

Cam był pod wrażeniem, kiedy rozpoznał pierwsze nuty mało znanej ludowej piosenki przekazywanej z pokolenia na pokolenie

w obskurnych knajpkach. Miała tytuł „Silver Dagger”, a on sam usłyszał ją po raz pierwszy parę setek lat wcześniej w głębokich ciemnościach, na pokładzie miotanej falami łodzi.

- Niezła jest – powiedział Jean.
- Która? – spytał Luis.
- Obie – stwierdził Jean.
- Masz dziewczynę – zauważył Luis.
- Sza – uciszył go Jean.

Cam próbował spojrzeć Lilith w oczy, ale ona skupiała się na występie.

Miłość i Bezczynność były dobre i wydawały się tego świadomie. Nigdy jednak nie miały się dowiedzieć, jak dobrze wybrały utwór, ani tego, że śpiewały dla dziesięciu tysięcy par nieśmiertelnych uszu, które były obecne, kiedy tę piosenkę zaśpiewano po raz pierwszy u wybrzeży Berberii. Cam wiedział, że niektóre z demonów na niebie nuciły razem z dziewczynami.

Staął za Lilith, objął ją w pasie i zakołysał się, nucąc jej cicho do ucha.

– *My daddy is a handsome devil...*[4]

– Znasz tę piosenkę? – Lilith odwróciła się tak, że jej policzek musnął usta Cama. – Jest chwytliwa.

– Lilith, chciałem ci coś powiedzieć.

Odwróciła się całkowicie, jakby słyszała nacisk w jego głosie.

– Nie wiem, czy to właściwa chwila, ale musisz wiedzieć, że...

– Hej – przerwał mu ktoś i po chwili Luc odsunął Cama na bok, by stanąć przed Lilith. – Podpisaliście już zrzeczenie? Wszyscy występujący muszą podpisać zrzeczenie.

Lilith spojrzała na ciasno zadrukowaną kartkę.

– Czego dotyczy? W tym świetle niewiele widzę.

– Tylko tyle, że nie pozwiecie King Media i że będziemy mogli wykorzystać wasze wizerunki w materiałach promocyjnych po występie.

– Serio, Luc? – spytał Cam. – I musimy to zrobić teraz?

– Inaczej nie wyjdziecie na scenę.

Cam przejrzał dokument, żeby się upewnić, że nie zawiera w ten sposób jeszcze gorszego paktu z Lucyferem. Wydawało się jednak, że

chodziło jedynie o przerwanie im tej chwili. Cam złożył podpis.

– Jest w porządku – powiedział do Lilith i patrzył, jak ona też podpisuje dokument.

Gwałtownym ruchem podał papiery Lucyferowi, który z szerokim uśmiechem schował je do kieszeni.

W tym czasie występ już się skończył, a oklaski ucichły.

Luc wrócił na scenę.

– Prowokujące. – Uśmiechnął się krzywo. – Bez dalszego zamieszania nasz kolejny zespół: Śmierć Autora!

Tłum zaklaskał niezbyt energicznie, kiedy na scenę wkroczył niski dzieciak imieniem Jerry z trójką kumpli. Cam aż się skulił, kiedy Jerry próbował dostosować wspólną perkusję do swojego wzrostu. Po kilku bolesnych chwilach Lilith trąciła Cama.

– Powinniśmy im pomóc – powiedziała.

Cam był zaskoczony, ale oczywiście miała rację. Naprawdę różniła się od wścieklej samotniczki, którą była jeszcze przed dwoma tygodniami.

– Dobry pomysł.

Razem pośpieszyli na scenę, by pomóc w ustawieniu perkusji.

Kiedy instrumenty zostały nastrojone i zespół zaczął odliczać, Cam i Lilith wrócili za kulisy. Lilith wyraźnie nie obchodziło, jak kiepskim zespołem była Śmierć Autora. Cieszyła się, że mogła pomóc innemu muzykowi. Ale cieszyła się jako jedyna. Jean skrzywił się, kiedy Jerry zaczął wykrzykiwać tekst piosenki pod tytułem „Amalgamator”.

– On nawet nie wie, co to jest amalgamator – powiedział Jean, kręcąc głową.

– Fakt – zgodził się Luis. – Całkowicie. Yyy... co to właściwie jest amalgamator?

Widownia była znudzona przed końcem pierwszej zwrotki. Ludzie gwizdali i rozchodzili się po napoje, ale Śmierć Autora nie zwracała na to uwagi. Po zakończeniu piosenki Jerry chwycił mikrofon i niemal się przewrócił, tak bardzo był nabuzowany.

– Kochamy was, Crossroads!

Kiedy Jerry opuścił scenę wraz z zespołem, powrócił na nią Luc.

– Nasz kolejny zespół jest dobrze znany w mieście – powiedział do

mikrofonu. – Przedstawiam wam śliczne i utalentowane Rzekome Zniewagi!

Oklaski odbijały się echem od ścian Koloseum, a tłum oszalał.

Cam i Lilith wyjrżeli zza zasłony. Popularni uczniowie z Trumbull niemal wpadli na scenę. Wrzeszczeli, dziewczyny siedziały na ramionach swoich towarzyszy i wykrzykiwały imię Chloe. Cam wziął Lilith za rękę. Nawet jeśli zaczęła się lepiej dogadywać z Chloe, i tak musiała patrzeć z zazdrością na entuzjazm, z jakim powitano Rzekome Zniewagi.

– Wszystko w porządku? – spytał Cam, ale tłum był zbyt głośny, by Lilith go usłyszała.

Luis klepnął Karen po pośladkach, kiedy wybiegła zza zasłony, żeby sprawdzić podłączenie wzmacniaczy. Scenę wypełniła mgła z kilku wiader suchego lodu, a po chwili zza kulis wyłoniła się Chloe King z zespołem.

Były profesjonalistkami. Rozpromienione wkroczyły w blask reflektorów i odnalazły swoje mikrofony, jakby grały już tysiące razy na większych imprezach. Wszystkie miały białe szpilki i krótkie skórzane sukienki w różnych kolorach, a na nich różowe szarfy kandydatek na królową balu. Sukienka Chloe była jaskrawożółta, pasująca do złotego cienia na jej powiekach.

– To uczucie jest wzajemne, Trumbull! – krzyknęła Chloe.

Tłum zaryczał.

Chloe wyduła wargi i pochyliła się uwodzicielsko nad mikrofonem. Tłum był urzeczony, ale Cam nie mógł oderwać wzroku od Lilith. Pochylała się i obgryzała paznokcie. Wiedział, że porównuje się z Chloe – nie tylko reakcję widowni, ale też sposób, w jaki Chloe wprawnym gestem chwyciła mikrofon, w jaki jej głos wypełniał Koloseum, pełen pasji sposób gry na gitarze.

Cam był przekonany, że gdyby mógł jeszcze raz wziąć Lilith w ramiona, pokazałby jej, że w tym występie nie chodzi o konkurowanie z Chloe. Chodziło o to, co działo się między nią a Camem. Mógłby wypowiedzieć te dwa słowa, które płonęły w nim od piętnastu dni, a jej reakcja pokazałaby mu, czy mają szansę.

Dwa krótkie słowa. Czy ona by je wypowiedziała? Miały

zadecydować o przyszłości ich obojga.

Zanim jednak zdążył wyciągnąć do niej rękę, poczuł, że Jean staje po jego lewej, a Luis po prawej. Czuł emanującą od nich energię i uświadomił sobie, że piosenka Chloe się skończyła, tłum wiwatował, a Lilith unosiła głowę do nieba, może modląc się o szczęście. Ponieważ Zemsta miała właśnie wyjść na scenę i chodziło już tylko o ich muzykę.

W Koloseum zapanowała całkowita ciemność poza niewielkim reflektorem, którego blask padał na oczy Luca stojącego pośrodku sceny. Kiedy się odezwał, mówił prawie szeptem.

– Jesteście gotowi na Zemstę?

3 Dosłownie „zmieniać” (przyp. tłum)

4 Mój tato jest przystojnym diablem... (przyp. tłum.).

DZIEWIĘTNAŚCIE



KONIEC MARZENIA

LILITH *DWIE GODZINY*

Środek sceny. Głęboka ciemność.

Lilith wzięła w dłonie zimny mikrofon. Nagle padł na nią oślepiający blask reflektora i widownia zniknęła.

Podniosła wzrok na migoczącą dyskotekową kulę zawieszoną na krokwi. Gdyby nie Cam, Lilith spędziłaby całą noc w samotności, pisząc piosenki w swojej sypialni. Nie znalazłaby się na balu maturalnym, zwrócona twarzą do zatłoczonej widowni, w towarzystwie reszty zespołu, gotowa dać czadu.

Zignorowała drżące kolana, bijące szybko serce. Odetchnęła głęboko i poczuła ciężar gitary na piersi, lekką tkaninę sukni.

– Dwa, trzy, cztery – odliczyła do mikrofonu.

Usłyszała perkusję, nagłą jak ulewa. Jej palce trąciły struny gitary w powolnym, smutnym riffie, po czym zagrały melodię.

Bas Cama dołączył do niej w wirze, grali razem, jakby to była ostatnia noc na ziemi, jakby los wszechświata zależał od tego, jak będą brzmieć razem. Na tę chwilę czekała. Już się nie bała. Jej marzenia stały się rzeczywistością. Zamknęła oczy i zaśpiewała.

*Śniłam, że życie było snem,
Który ktoś inny we mnie śni...*

Jej piosenka brzmiała dokładnie tak, jak miała nadzieję, że będzie kiedyś brzmieć. Otworzyła oczy i odwróciła się do Jeana i Luisa. Obaj

byli skupieni na muzyce. Skinęła Camowi, który stał po drugiej stronie sceny i mistrzowsko trącał struny, cały czas patrząc na nią. Uśmiechał się. Nigdy wcześniej nie pomyślała, jak bardzo podoba jej się sposób, w jaki się do niej uśmiechał.

Kiedy odwróciła się z powrotem do widowni, żeby zagrać drugą zwrotkę, zauważyła brata i matkę. Stali na uboczu, ale oboje tańczyli.

Lilith ledwie słyszała swój głos ponad okrzykami widowni. Odsunęła się od mikrofonu, żeby zagrać solówkę, wygięła plecy do tyłu, a jej palce śmigały po strunach. To była radość. Nie istniało nic poza Lilith, jej zespołem i muzyką.

Po solówce znów sięgnęła do mikrofonu, a podczas ostatniej zwrotki dołączył do niej Cam, jego głos idealnie zgrywał się z jej głosem, choć przecież wcześniej tego nie ćwiczyli.

Uniosła rękę i przestała grać, robiąc chwilę przerwy przed ostatnim fragmentem piosenki. Jean, Luis i Cam też zamilkli.

Widownia krzyknęła głośnie.

Kiedy opuściła dłoń, by zagrać ostatni akord, zespół dołączył do niej, idealnie harmonijnie, a wszyscy na widowni zaczęli krzyczeć.

Później pozostało już tylko jedno. Podbiegła do Cama i wzięła go za rękę. Chciała być przy nim, kiedy się kłaniali. Ponieważ bez niego by jej tu nie było. Nic z tego by się nie wydarzyło.

Uśmiechnął się. Trzymając się za ręce, przeszli na przód sceny.

„Trzymaj mnie”, mówiła w myślach do dłoni Cama. „Trzymaj mnie, właśnie tak. Nie puszczaj”.

– Lilith rządzi! – wykrzyknął ktoś ponad oklaskami. Lilith pomyślała, że to Arriane.

– Niech żyje królowa! – zawołał ktoś inny, kto mógł być Rolandem.

– Ukłoń się, gwiazdo rocka – szepnął jej Cam do ucha.

– Zrób to ze mną.

Lilith przepełniło uniesienie, kiedy pochyliła się razem z Camem. Ruch wydawał się naturalny, jakby od wieków jeździli razem w trasy, przez całe życie kłaniając się urzeczonym widowniom. Może to było odwrócone déjà vu i doświadczała tego, co czekało ją w przyszłości.

Miała taką nadzieję. Chciała znów zagrać z Camem, i to już

niedługo.

Odwróciła się do niego. On odwrócił się do niej.

Nim się zorientowała, ich wargi niemal się...

– Zaczekajcie z tym do późniejszej imprezy – zagrzemiał Luc, wbiegł na scenę i stanął między nimi.

Reflektory przygasły i Lilith znów widziała widownię. Wszyscy nadal klaskali. Arriane, Roland, Bruce i jej matka stali w pierwszym rzędzie i wykrzykiwali, jakby Lilith była prawdziwą gwiazdą rocka. Tak się zresztą czuła.

Ochroniarze powstrzymywali uczniów, którzy próbowali wbiec na scenę. Nawet dyrektor Tarkenton klaskał. Lilith zobaczyła puste miejsca obok niego i zorientowała się, że Czterej Jeźdźcy musieli zejść ze sceny i przygotowywać się do zakończenia wieczoru.

Bitwa i tak była wspaniała, Lilith wydawało się wręcz szaleństwem, że zobaczy jeszcze swój ulubiony zespół.

– Co za wieczór! – Luc zwrócił się do widowni. – A to jeszcze nie koniec!

Dwaj goście z kucykami i w koszulkach obsługi wprowadzili inne zespoły z powrotem na scenę. Chloe podeszła do Lilith i objęła ją w pasie.

– Niezła robota – powiedziała. – Nawet jeśli byłam lepsza.

– Dzięki. – Lilith roześmiała się. – Zniewagi też były świetne.

Chloe pokiwała głową.

– Takie już jesteśmy.

– Proszę o spokój. – Luc uciszył wszystkich. – Nadszedł czas ogłoszenia zwycięzców i przegranych.

Lilith kręciła się między Chloe i Camem. Tarkenton wspinał się po schodach na scenę, w jednej ręce trzymał kopertę, a w drugiej puchar ze złotą gitarą.

– Czy szanowni sędziowie podjęli decyzję? – spytał Luc.

Tarkenton postukał w mikrofon. Wydawał się równie oszołomiony występami jak Lilith.

– Zwycięzcą Bitwy Zespołów, sponsorowanej przez King Media, jest...

W głośnikach rozległy się sztuczne werble. Lilith nagle poczuła

w sobie ducha rywalizacji. Ich zespół był tego dnia najlepszy. Widownia to wiedziała. Nawet Chloe King to wiedziała. Jeśli była jakaś sprawiedliwość na tym świecie...

Luc wyrwał kopertę Tarkentonowi.

– Rzekome Zniewagi!

Zespół Chloe zaczął krzyczeć, płakać, wypychać wszystkich pozostałych z blasku reflektorów.

– Kolejny przystanek: królowa balu – pisnęła Chloe i uścisnęła przyjaciółki.

Lilith dzwoniło w uszach, kiedy Chloe przyjmowała puchar. Zaledwie przed chwilą przeżywała najlepszą noc w swoim życiu. Teraz czuła się boleśnie pokonana.

– Do dupy – mruknął Jean Rah.

Luis kopnął przewody.

– Byliśmy lepsi.

Lilith wiedziała, że Cam na nią patrzy, ale czuła się zbyt oszołomiona, żeby spojrzeć mu w oczy. Wcześniej miała wrażenie, że ich piosenka zmieniała świat.

Tak nie było.

Czuła się głupio, że pozwoliła sobie w to uwierzyć.

– Hej – szepnął jej Cam do ucha. – W porządku?

– Pewnie. – Łzy piekły ją w oczach. – Powinniśmy wygrać.

Prawda? Przecież byliśmy dobrzy.

– Wygraliśmy. Wygraliśmy coś lepszego.

– Co?

Cam spojrział na Luca.

– Zobaczysz.

– Prosimy zespoły o zejście ze sceny wyjściem po lewej – powiedział jeden z technicznych.

Zniewagi zostały odprowadzone do rozkładanego stolika, który ustawiono obok stołu sędziów. Stała na nim złożona kartka z napisem „Zarezerwowane dla zwycięzców”. Cam wziął Lilith za rękę.

– Chodź ze mną. Znam miejsce, z którego możemy oglądać Czterech Jeźdźców.

– Nie tak szybko. – Luc wziął Lilith za drugą rękę.

Została pochwycona na scenie między nimi dwoma, pragnęła pójść z Camem, ale zastanawiała się, czego chce Luc. Spojrzała na widownię i ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje się równie zdenerwowana, jak przed występem. Wielki zegar na szkolnej tablicy świetlnej pokazywał 23.45. Lilith zwykle musiała wracać do domu przed północą, ale ponieważ matka i Bruce byli obecni na koncercie, pewnie tym razem mogła zostać dłużej.

– Tak się składa – powiedział Luc do mikrofonu – że Miłość i Bezczytność, Śmierć Autora i Zemsta nie są dziś jedynymi przegranymi. Wszyscy ci, którzy zgłosili swoje teksty do konkursu... również są przegranymi. Wszyscy z was poza jedną.

Lilith zapało dech w piersi. Prawie zapomniała o mailu od Ike'a Ligona. Czterej Jeźdźcy mieli zaśpiewać jej piosenkę.

Poczuła się trochę mniej rozczarowana. Zwycięstwo w Bitwie Zespołów byłoby cudowne, ale tak naprawdę liczyła się muzyka, którą zagrała na scenie z Camem, Jeanem i Luisem. Cała reszta była tylko dodatkiem.

– Poprosiłem Lilith, żeby została na scenie – powiedział Luc do widowni – ponieważ sądzę, że zna piosenkę, którą zagrają teraz Czterej Jeźdźcy.

Na tyłach sceny podniosła się kurtyna, ukazując Czterech Jeźdźców. Rod, muskularny, ciemnowłosy basista, pomachał do widowni. Joe, ekscentryczny jasnowłosy perkusista uniósł pałeczki ze speszoną miną. Matt, klawiszowiec, wpatrywał się w listę piosenek. A na samym środku sceny Ike Ligon, muzyczny idol Lilith, spojrzał na nią i uśmiechnął się.

Nic nie mogła na to poradzić. Zaczęła piszczeć, razem ze wszystkimi innymi dziewczynami na widowni i większością chłopaków.

– Jest super – powiedziała do Cama.

Uśmiechnął się i ścisnął jej dłoń. Cieszyła się, że jest tu właśnie z nim. Ta chwila była doskonała.

Ike spojrzał jej w oczy i powiedział:

– Ta piosenka jest dla Lilith. Nazywa się „Przysięgi”.

Lilith zamrugnęła. Nigdy nie napisała piosenki pod tytułem „Przysięgi”. Serce zabiło jej szybciej, nie wiedziała, co robić. Powinna

powiedzieć komuś, że doszło do pomyłki? Może Ike po prostu źle pamiętał tytuł?

Ale było już za późno. Zespół zaczął grać.

Ramiona ci oddaję

I oczy swe oddaję

I bliźny ci oddaję

I kłamstwa ci oddaję

A co ty

oddasz mnie?

Piosenka była piękna, ale to nie ona ją napisała. A jednak, kiedy słuchała, akordy pojawiały się w jej głowie tuż przed tym, jak zagrał je zespół, jakby mogła przewidzieć, w jaki sposób rozwinie się melodia.

Nim uświadomiła sobie, co właściwie robi, słowa pojawiły się w jej ustach i też zaśpiewała – bo jakimś sposobem wiedziała, że „Przysięgi” miały być duetem:

Serce swe ci oddaję

I niebo ci oddaję

Lecz jeśli oddam szybkość

Do ciebie nie przylecę

A co ty

Oddasz mnie?

Usłyszała męski głos śpiewający tę piosenkę, którą jakimś sposobem znała całą swoją duszą. Tyle tylko, że to nie był Ike.

To był Cam. W oczach miał łzy, kiedy śpiewał, cały czas wpatrując się w Lilith.

Serce swe ci oddaję

I duszę swą oddaję

Początek ci oddaję

Co robić czy już wiesz?

Dlaczego miała wrażenie, że już kiedyś śpiewali razem tę piosenkę?

Niemożliwe. Ale kiedy zamknęła oczy, miała wizję – siedzieli we dwoje nad wodą. Nie nad wysychającym strumieniem, jak Rattlesnake, lecz głęboką, krystalicznie czystą rzeką gdzieś daleko i przed laty.

Właśnie napisała tę piosenkę, dla niego. Chciała, żeby mu się spodobała. Widziała w jego oczach, że tak jest. Czuła to w jego pocałunku, kiedy się pochylił i dotknął jej warg swoimi. Nie było między nimi napięcia, niechęci ani strachu. Gdziekolwiek, kiedykolwiek byli, kochała go z całego serca i przygotowywali się do czegoś – do ślubu. Ich ślubu.

Gdzieś przed wielu laty Cam i Lilith byli zaręczeni.

Lilith otworzyła oczy.

Czterej Jeźdźcy właśnie kończyli piosenkę. Gitara ucichła, a ostatni wers Ike zaśpiewał a capella.

A co ty oddasz mnie?

Tłum zaczął klaskać. Lilith stała bez ruchu.

Cam zrobił krok w jej stronę.

– Lilith?

Jej ciało zadrżało. Jej oczy wypełnił oślepiający blask.

Kiedy Lilith znów odzyskała wzrok, jej sukienka wyglądała inaczej – była bielsza i bez poprawek wprowadzonych przez Arriane. Dziewczyna zamrugała i zobaczyła coś, co wyglądało jak ciemna jaskinia o zachodzie słońca, niebo płonęło czerwonymi i pomarańczowymi pasmami. Wciąż stała zwrócona twarzą do Cama, podobnie jak na scenie.

Unosiła ręce do serca, nie wiedząc, dlaczego tak bardzo boli. Wypowiedziała słowa w języku, który był dla niej nowy, a jednak jakimś sposobem go rozumiała.

– Tamtej nocy, kiedy odszedłeś, śniłam, że nauczyłam stado słowików śpiewać pieśń miłosną, by mogły cię odnaleźć i śpiewem ściągnąć do mnie. Teraz sama jestem słowikiem, który przebył całą tę drogę. Wciąż cię Kocham, Cam. Wróć do mnie.

– Nie.

Jego odpowiedź była tak wyraźna – jak cięcie najostrzejszym nożem – że Lilith zgięła się wpół z bólu. Sapnęła i przetarła oczy – a kiedy odsunęła ręce...

Jaskinia zniknęła, zachód słońca też. Cam zniknął.

Lilith znalazła się w paskudnej szopie, opierała się o ścianę. Widziała niepościelone łóżko, drewniane wiadro pełne zatęchłej wody i stertę brudnych naczyń w kącie. Muchy wielkości kolibrów kłębiły się nad tłustymi talerzami. Wszystko było znajome, choć nie wiedziała dlaczego.

– Kazałam ci umyć naczynia – usłyszała kobiecy głos. – Nie będę powtarzać.

Lilith jakimś sposobem wiedziała, że po drugiej stronie tej ściany rozciągnięto między dwoma gwoździami drut. Wiedziała, że umiała grać na tym drucie, wydobywać z niego dźwięki jak z instrumentu o wielu strunach. Pragnęła znaleźć się na zewnątrz, poczuć ukłucie miedzi na pokrytych odciskami palcach.

– Powiedziałam ci, że nie możesz bawić się tym głupim drutem, dopóki nie umyjesz naczyń. – Kobieta podniosła nóż. – Mam go już dość.

– Proszę, nie! – krzyknęła Lilith i wybiegła na zewnątrz za kobietą.

Nie była dość szybka i kobieta od niechcenia przecięła drut na pół. Lilith padła na kolana i załkała.

Znów zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, siedziała na koniu galopującym po zamarzniętej drodze wśród wzgórz. Ze wszystkich sił chwyciła wodze. Jej oddech parował, a skóra płonęła – wiedziała, że umiera z gorączki. Była Cyganką, chorą i zagłodzoną, ubraną w łachmany, śpiewającą piosenki miłosne w zamian za okruchy.

Zamrugała, i jeszcze raz, i jeszcze raz, i za każdym razem przypominała sobie inne piekielne doświadczenie. Zawsze była walcącym o byt muzykiem, żalonym i skazanym na zagładę. Operowa Lilith śpiąca w uliczce za teatrem. Orkiestrowa Lilith dręczona przez okrutnego dyrygenta. Trubadur Lilith umierająca z głodu w średniowiecznym mieście. A w każdym istnieniu, od ubóstwa, samotności i udręki gorsza była wściekłość w jej sercu. W każdym

istnieniu nienawidziła świata, który zamieszkiwała. Pragnęła zemsty.

„Wróć do mnie”, błagała Cama.

„Nie”.

– Dlaczego?! – wykrzyczała pytanie, którego nie potrafiła zadać każdego poprzedniego dnia swojego życia, aż do teraz. – Dlaczego?

– Ponieważ – jej uszy wypełnił ogłuszający syk – zawarliśmy umowę.

– Jaką umowę?

Otworzyła oczy. Znów była na scenie w Crossroads. Widownia była nieruchoma, przerażona. Zupełnie, jakby czas się zatrzymał. Czterej Jeźdźcy zniknęli, a zamiast nich na środku sceny stał Luc.

– Lilith! – krzyknął Cam.

Pobiegł w jej stronę, ale Luc go powstrzymał i gestem przywołał Lilith.

Popatrzyła po wszystkich znieruchomiałych twarzach na widowni.

– Co się dzieje?

– Masz – powiedział Luc do mikrofonu. Podeszła do niego, a on podał jej szklaną kulę... śnieżną kulę. – Brakujący element.

Lilith podniosła ją. Wewnątrz znajdował się miniaturowy klif wznoszący się nad wzburzonym oceanem. Na jego krawędzi stała mała postać – dziewczyna w białej sukni ślubnej. Ziemia pod stopami Lilith się zakołysała i nagle stała się dziewczyną w bieli, wewnątrz śnieżnej kuli. Cofnęła się od krawędzi. Czuła woń wzburzonego oceanu, a za nim widziała szkło otaczające wszystko.

– Przyjrzyj się uważnie swojej przyszłości, Lilith.

Odwróciła się i ujrzała Luca spoczywającego na skale.

– Bez Cama, co ci pozostało w życiu?

– Nic.

Skinął w stronę wody.

– W takim razie nadszedł czas.

Luc wyglądał tak samo jak w Crossroads, ale Lilith zrozumiała, że był kimś więcej. Siedzący przed nią chłopak był szatanem i złożył jej propozycję, kiedy była zbyt udęczona, by odmówić.

– Doprowadziłem cię do niego, a ty dałaś z siebie wszystko. Ale Cam cię odrzucił, prawda?

- Tak – odparła żalonym głosem.
- Musisz dotrzymać swojej części umowy.
- Boję się. Co się stanie po...
- Zostaw to mnie.

Spojrzała na morze i wiedziała, że nie ma wyboru.

Nie tyle skoczyła, ile wychyliła się do przodu – w powietrze, a później w wodę. Pozwoliła, by ją pochłonęła. Kiedy fale zderzały się nad jej głową, starała się nie wznosić ponad nie. Dlaczego miałyby próbować? Jej serce było ciężkie jak kowadło. Zatonęła.

Aż znalazła się na dnie, w słabym blasku, samotna. Czarna woda wypełniała jej nos i usta, jej żołądek, jej płuca.

Jej duszę.



Powróciwszy na scenę, Lilith spojrzała na Cama. Wyczuwała Jeana, Luisa i innych uczestników bitwy zgromadzonych wokół nich. Widownia była oszołomiona, czekała na reakcję Lilith. Ale ona widziała tylko Cama. Patrzył na nią oszalałym wzrokiem.

- Co widziałaś?
- Widziałam... ciebie. – Jej głos zadrżał. – I...

I wtedy właśnie Lilith uświadomiła sobie, że pogłoski krążące po Trumbull o dziewczynie, którą Cam doprowadził do samobójstwa, były prawdziwe.

– Ta dziewczyna, która się zabiła – powiedziała, a jej głos odbijał się echem od ścian Koloseum – była mną.

– Och, Lilith. – Cam zamknął oczy.

– Odebrałam sobie życie, ponieważ cię kochałam – mówiła dalej, kiedy zaczęła do niej wracać przeszłość – a ty...

– Ja też cię kochałem. I nadal...

– Nie. Błagałam cię. Odsłoniłam przed tobą swoją duszę. A ty powiedziałeś mi „nie”.

Cam się skrzywił.

– Próbowałem cię ochronić.

– Ale nie mogłeś. Już zawarłam umowę. – Odwróciła się i wskazała drżącym palcem na Luca. – Z nim.

Skóra wokół oczu Cama napięła się.

– Nie wiedziałem...

– Byłam pewna, że jeśli tylko cię odnajdę, odzyskam cię.

Cam zamknął oczy.

– Byłem głupcem.

– Ale myliłam się. To, co właśnie zobaczyłam... te inne życia, które przeżyłam...

Cam pokiwał głową.

– Inne Piekła.

Inne Piekła? Lilith zamarła. Czy on chciał powiedzieć... To życie, jej życie, wcale nie było życiem?

Wszystkie udręki, które musiała znosić, znosiła z powodu Cama. Ponieważ przed laty sprawił, że się w nim zakochała. I była dość głupia, by znów wpaść w tę pułapkę.

Nagle Lilith przepełniła tak wielką wściekłość, że z trudem utrzymała się na nogach.

– Przez ten cały czas byłam w Piekle? – Cofnęła się od Cama, wyszła z blasku reflektorów w ciemność. – Z twojego powodu.

DWADZIEŚCIA



NIEBO CZEKA

CAM *PIĘĆ MINUT*

Cam stał na scenie przed Lilith, pod zajączkami światła rzucanymi przez dyskotekową kulę, i czuł na sobie spojrzenia tysiąca nastolatków, a nad nimi oczy miliona demonów czekających na niebie.

Wyciągnął rękę do Lilith.

– Wciąż jest nadzieja.

Cofnęła się.

– Z twojego powodu tak bardzo cierpiałam. Z twojego powodu byłam tak zła i smutna. Z twojego powodu nienawidzę swojego życia.

W jej oczach pojawiły się łzy.

Miała rację. To była wina Cama. Odrzucił Lilith, bo za bardzo bał się powiedzieć jej prawdę.

– Jestem taka głupia. Myślałam, że twoje pojawienie się w Crossroads było najlepszym, co przydarzyło mi się w życiu, ale to było najgorsze, po raz kolejny.

– Proszę – błagał Cam. Wyciągnął do niej rękę, ale wstrząsnęło nim to, co zobaczył: jego palce były powykęcane, paznokcie grube i żółte. – Nie rozumiesz...

– Po raz pierwszy rozumiem wszystko. Wierzyłam w naszą miłość, a ty nie, ale to ja zapłaciłam ostateczną cenę. – Spojrzała ponad murami Koloseum na niebo. W pewnej odległości płomienie wznosiły się w mrok. – Dlaczego wróciłeś? Żeby ze mnie szydzić? Żeby cieszyć się moim cierpieniem? – Uniosła ręce, a po jej twarzy płynęły łzy. – Jesteś zadowolony?

– Wróciłem, bo cię kocham. – Głos Cama zadrżał. – Myślałem, że nie żyjesz. Nie wiedziałem, że trafiłaś do Piekła. Kiedy tylko się dowiedziałem, wróciłem po ciebie. – Oczy zaczęły go piec. – Zawarłem umowę z Lucyferem i spędziłem piętnaście dni, znów się w tobie zakochując, z nadzieją, że ty również się we mnie zakochasz.

– Czyli na tym polegał zakład. – Lilith spojrzała na Cama z obrzydzeniem. – Wcale się nie zmieniłeś. Jesteś równie samolubny, jak wcześniej.

– Ona ma rację.

Grzmiący głos dobiegał ze wszystkich stron, a o scenę uderzył podmuch gorącego wiatru. Cam obrócił się i ujrzał Lucyfera, który pozbył się pozorów śmiertelnego chłopaka. Przed Camem stał prawdziwy Lucyfer, jego pierś podnosiła się gwałtownie, a oczy płonęły czerwienią. Z każdym oddechem ciało Lucyfera rosło, stawał się coraz większy, aż przytłoczył scenę i zasłonił księżyc.

Zebrani na widowni krzyczeli i próbowali uciec, ale odkryli, że wszystkie wyjścia zostały zamknięte i zablokowane. Niektórzy usiłowali wspinać się na ściany, inni tulili się do przyjaciół i płakali. Cam wiedział, że w obliczu szatana wszystkie ich wysiłki były próżne.

Palce Lucyfera zmieniły się w szpony wielkości rzeźniczych noży. Jego ciało pokrywały czarne gadzie łuski, a rysy były ostre i pozbawione miłosierdzia. Odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i rozłożył swoje zaśnieżone zielono-czarne skrzydła.

– Lucyfer – westchnęła Lilith, rozpoznając go.

– Tak, Lilith! – zaryczał Lucyfer, a jego głos wcisnął się w każdą szczelinę Crossroads. – Jam jest twórcą twojej udręki.

Inni muzycy już dawno zniknęli, kulili się teraz gdzieś na widowni. Na scenie pozostali jedynie Cam, Lilith i Lucyfer oraz, jak się zorientował Cam, Jean i Luis. Obaj chłopcy z zespołu stali z tyłu, ich ramiona się stykały, a twarze były blade i przerażone. Cam żałował, że nie może w żaden sposób ich pocieszyć, ale wiedział, że ta noc wkrótce stanie się jeszcze straszniejsza.

Gwiazdy zamigotały i rozrosły się, kiedy legion demonów Lucyfera podleciał bliżej i stał się widoczny w ciemnościach. Prześlizgiwali się po szklanym firmamencie i wirowali bezpośrednio nad

głową Lilith.

– Nawet teraz – rzekł Lucyfer – Cam cię okłamuje, ukrywając przed tobą swoją prawdziwą naturę. Popatrz!

Szatan wskazał na Cama, którego nagle wypełniło niepoohamowane pragnienie. Czuł się tak, jakby jego ramiona spowijały płomienie, kiedy Lucyfer przymusem rozłożył jego skrzydła. Rozwinęły się z odgłosem rozrywanego winylu. Przez całą wieczność Cam znał jedynie oszałamiające piękno swoich skrzydeł. Teraz odwrócił głowę i aż sapnął.

Były ohydne – skórzaste, obwisłe i pokryte sadzą, jak skrzydła najpodlejszych demonów w piekle. Poczuł, jak jego kości poruszają się boleśnie, a skóra naciąga. Krzyknął i spojrział na dłonie, które zmieniły się w pokryte łuskami szpony.

Dotknął swojej twarzy i piersi, i wiedział, że przeobrażenie jest kompletne. Teraz nawet Lilith nie mogła zaprzeczyć jego potwornemu wyglądowi...

Cam odkrył nagle, że się z tego cieszy. Już nigdy więcej nie będzie niczego przed nią ukrywał.

– Dawno temu – powiedział, czując zbierające się w kącikach oczu łzy – bałem się, że mnie nie pokochasz, jeśli dowiesz się, kim naprawdę jestem.

Wpatrywała się w jego postarzałą demoniczną twarz, niedołączne ciało, ohydne skrzydła.

– Nigdy nawet nie dałeś mi szansy, bym pokochała prawdziwego ciebie. Nie zaufałeś mi, nie wierzyłeś, że mogłabym cię zaakceptować.

– Masz rację...

– Kochałam cię, Cam. Pragnęłam, żebyś mnie poślubił, a to oznaczało każdą część ciebie, te dobre, i te złe, te znane i nieznane.

– Ja też pragnąłem cię poślubić. Ale nie mogłem tego zrobić w świątyni, jak sobie tego życzyłaś...

– Pieprzyć świątynię. A kogo to obchodzi?

– Ciebie. Ciebie to obchodziło, ale ja to zlekceważyłem, bo nie chciałem ci powiedzieć, kim naprawdę jestem. Starąłem się zrzucić winę na ciebie, ale tak naprawdę to ja się wycofałem z naszego małżeństwa.

Wpatrywała się w niego, a na jej twarzy malowało się cierpienie.

– Wiedziałem, że nigdy mi nie wybaczysz, więc uciekłem.

Sądziłem, że na dobre cię utraciłem. Ale wtedy znalazłem tę drugą szansę, więc przybyłem tu, szukając odkupienia. Czas spędzony z tobą pokazał mi, że moja miłość do ciebie jest większa od mojego strachu. Moja miłość do ciebie jest większa niż cokolwiek, co znam.

Po jego policzku spłynęła łza. Zamknął oczy. Miał tak wiele do powiedzenia, a tak mało czasu.

Lilith krzyknęła.

Cam poczuł ostry smród i przypomniał sobie, co się wydarzyło w bibliotece, kiedy ostatni raz zapłakał. Otarł policzki, ale było za późno. Pod stopami zobaczył dziurę w scenie, którą wyżarła jego łza. Unosił się z niej czarny dym. Kwas pochłaniał scenę, tworząc krater, który rozrastał się, aż między Camem i Lilith powstał kanion.

– Pożegnaj się, Lilith – powiedział Lucyfer z szyderczym uśmiechem.

Cam podskoczył i rozłożył swoje żałosne, słabe skrzydła. Musiał jedynie zbliżyć się do Lilith. Ona krzyknęła i cofnęła się, w stronę Lucyfera i z dala od krawędzi rozrastającego się krateru.

Cam wylądował u jej stóp. Nadchodził koniec. Przegrywał. Nie przekonał jej, żeby znów go pokochała, więc pozostało mu tylko jedno.

Padł na kolana przed szatanem i błagalnie uniósł ręce.

– Weź mnie.

Lucyfer uśmiechnął się złośliwie.

– Będziemy bardzo zajęci.

Cam pokręcił głową.

– Nie jako twojego zastępcę.

– Nasza umowa była jasna – zaryczał Lucyfer.

– To jest nowa umowa. – Cam podniósł się, by osłonić Lilith, kiedy scena zatrzęsała się pod ich stopami, a krawędź krateru dotarła do jego butów. Dochodziła północ. To była jego ostatnia szansa. – Zostanę tu na wygnaniu. Zajmę jej miejsce w Piekło jako twój poddany. A ty ją uwolnisz.

– Nie! – krzyknęła Lilith. Chwyciła Cama za kołnierz kurtki. – Dlaczego miałbyś to zrobić... poświęcić się za mnie?

– Dla ciebie zrobiłbym wszystko.

Złapał ją za rękę i był zaskoczony, że się nie cofnęła.

Krzyki tłumów stały się ogłuszające, kiedy krater stworzony przez łąkę Cama dotarł do widowni, pochłaniając uczniów całymi dziesiątkami. Ale Cam ich nie widział – powietrze wypełnił gęsty dym i zapanował chaos. Jego serce biło coraz szybciej. Musiał się śpieszyć.

– Zrobię, cokolwiek zechcesz, pójdę, dokądkolwiek mnie pošlesz, zniosę wszelką udrękę, jaką dla mnie wybierzesz – powiedział do Lucyfera. – Tylko uwolnij Lilith z tego Piekła.

Mówiąc, widział, jak zmienia się twarz Lilith. Jej rysy złagodniały, a oczy otworzyły się szerzej. Nawet kiedy ściany wokół nich zaczęły się rozciągać, wyginać i zapadać, Lilith nie odrywała od niego wzroku.

– Naprawdę się zmieniłeś. Dałeś mi tak wiele przez te dwa tygodnie.

– Powinienem dać ci więcej.

Cam próbował odnaleźć jej dłonie w gęstym, ciemnym dymie.

– Nie pozwolę ci zająć mojego miejsca w Piekle – stwierdziła Lilith. – Gdziekolwiek jesteś, tam i ja chcę być.

Z oczu Cama wytrysnęła fontanna łez, popłynęła po jego policzkach i wypalała świat wokół nich. Nie mógłby ich powstrzymać nawet gdyby spróbował.

– Kocham cię, Lilith.

– Kocham cię, Cam.

Objął ją w chwili, kiedy krater się powiększył, a scena pod ich stopami się rozpadła. Grube mury nowego Koloseum zadrżały i zawaliły się. Widownia wrzeszczała.

– Co się dzieje? – wykrztusiła Lilith.

Ścisnął ją mocno.

– Trzymaj się mnie.

– Mama! – krzyknęła przerażona Lilith, spoglądając w stronę, gdzie wcześniej była widownia, choć nie mogła już zobaczyć swojej rodziny ani niczego, co znajdowało się dalej niż kilkanaście centymetrów od niej. Dym wypełnił jej płuca, powodując kaszel. – Bruce!

Cam nie wiedział, co powiedzieć. Jak miałby jej wyjaśnić, że wszyscy, których znała, byli pionkami szatana, że za swoją wolność musiała zapłacić, tracąc ich wszystkich? Objął jej głowę dłonią

i przytulił ją mocniej.

– Nie! – krzyknęła i rozplakała się na jego piersi.

Koloseum i szkoła zniknęły w wielkich kłębach dymu, budynki zwijały się jak płonący papier. W ciągu kilku chwil wszystko, co otaczało Cama i Lilith, zostało pochłonięte. Świat stał się stertą popiołu, który po chwili rozwiął wiatr.

Parking, szkoła, zarośla szarańczynów nad strumieniem, drogi prowadzące donikąd, nocne niebo, które zainspirowało tyle piosenek – wszystko płonęło. Ognie na wzgórzach przybliżyły się, otaczając Cama i Lilith. Ognie Piekła.

Przytulał ją mocno, chronił przed tym widokiem i przed demonami, które unosiły się nad nimi, gorączkowo machając złotymi skrzydłami.

W polu widzenia Cama pojawił się srebrny błysk. Arriane zanurkowała z nieba, a jej wspaniałe opalizujące skrzydła były jasne jak gwiazdy.

– Arriane! – zawołał Cam. – Myślałem, że odeszłaś.

– Porzucić cię w ostatnich chwilach? Nigdy.

– Wspaniałe – szepnęła Lilith na widok skrzydeł Arriane. – Jesteś aniołem.

– Do usług. – Arriane uśmiechnęła się i ukloniła. – Cambrielu, udało ci się. Z odrobiną pomocy. – Lekko trąciła Lilith. – Daliście czadu.

Cam mocniej przytulił Lilith.

– Porzuciłem cię w Kanaanie. To był mój największy błąd, większy niż dołączenie do sług Lucyfera. Jedynym, czego żałuję, jest to, że utraciłem twoją miłość.

– A odnalezienie twojej miłości jest tym, co mnie odkupiło. – Lilith dotknęła jego piersi, jego twarzy. – Nie obchodzi mnie, jak wyglądasz. Dla mnie jesteś piękny.

– Wzruszające – powiedział Lucyfer, krążąc nad nimi. Płomienie lizały jego skrzydła. – Wzruszające bzdury.

– Spełniliśmy twoje warunki! – krzyknął Cam do Lucyfera. – Ona mnie kocha. Ja kocham ją. Zasłużyliśmy na wolność.

Szatan milczał, a Cam zauważył coś dziwnego. Skrzydła Lucyfera wydawały się cienkie, niemal przezroczyste, widział przez nie kłębiące się płomienie.

– Lucyferze! – zagrzmiał. – Uwolnij nas.

Lucyfer odchylił głowę do tyłu, jego skrzydła zaczęły skwierczeć i zwijać się na brzegach. Cała postać szatana stała się cienka jak papier i zapadała się w sobie. Jego szpony wyciągnęły się w stronę Cama, zaraz jednak zwinęły się i rozplynęły. Otworzył usta, a ohydny dźwięk posępnego śmiechu sprawił, że Cam i Lilith aż się wzdrygnęli.

Wkrótce jego ciało skurczyło się tak bardzo, że stał się jedynie nieskończenie małą czarną dziurą pośrodku kręgu ognia.

– Czy on odszedł? – spytała Lilith.

Cam z niedowierzaniem wpatrywał się w niebo.

– Na razie – odparł.

I wtedy z góry dobiegł piekielny zgiełk. Cam podniósł wzrok i ujrzał szarżę demonów, upadłe anioły, czarne jak serce nocy, pędzące przez niebo. Kierowały się w stronę miejsca, w którym jeszcze przed chwilą znajdował się szatan, a prowadziły je cętkowane, czarno-złote skrzydła Rolanda. Cam nigdy wcześniej nie widział tak szalonego zapamiętania, jak na twarzy Rolanda.

– Dokąd się udał? – spytał Roland.

– W ciemność – odparł Cam. – Jak zawsze.

Arriane objęła Rolanda ramieniem.

– Ro, ożenisz się ze mną? – Zamrugła i potrząsnęła głową. – Nie odpowiadaj. Dałam się ponieść chwili zwycięstwa. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałam.

– O co w tym wszystkim chodzi? – Cam zwrócił się do Rolanda, wskazując na armię za jego plecami. – Co robicie?

Demon uniósł ciemną brew.

– Gonię Lucyfera.

– Co takiego?

– Rewolucja szykowała się już od dawna. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek. – Skinął głową Lilith i wyciągnął rękę, by ucisnąć dłoń Cama. – Ej, bracie?

– Tak?

– Zobacz swoje skrzydła.

Cam spojrział w lewo, a później w prawo. Jego skrzydła rozrastały się, wzmacniały, skórzasta błona pękała, gdy pod nią wyrastały mocne

nowe pióra. Osmalone kawałki zwijały się i odpadały.

A pod spodem skrzydła Cama były białe.

Z początku tylko w kilku miejscach, ale biel się rozrastała.

Wyciągnął ramiona w stronę gwiazd i przyglądał się swojemu przeobrażeniu. Po kilku chwilach jego skrzydła powróciły do dawnej chwały. Nie do legendarnego złotego blasku, do którego zdążył się już przyzwyczaić, ale do pierwotnego wyglądu. Białe. Silne. Promienne.

Lojalne jedynie wobec miłości.

– Dziękuję – szepnął.

Ostrożnie dotknął włosów – znów gęstych i błyszczących. Jego ciało znów stało się zwinne i umięśnione, a skóra gładka i blada.

Wstrzymał oddech, kiedy Lilith dotknęła jego skrzydeł.

Przeciągnęła palcami po ich krawędziach, przycisnęła do nich dłonie, a jej paznokcie muskały najbardziej wrażliwe miejsce na karku. Zadrżał z rozkoszy. Wszystko wydawało się nieograniczone.

– Cam – szepnęła.

– Lilith. Kocham cię.

Nagle cały świat stał się biały. Cam poczuł nacisk na ciele, a później jego stopy dotknęły ziemi.

Powrócili do części restauracyjnej galerii handlowej, w której Cam dobił targu z szatanem. Ktoś posprzątał, wyniósł śmieci, wymienił wypalone neony. Lilith rozglądała się dookoła. Cam widział, że rozpoznaje Aevum, ale nie jest pewna dlaczego.

– Czy ja śnię? – spytała.

Pokręcił głową, wziął ją za rękę i usiadł obok niej przy najbliższym stoliku. Na jego środku stała brązowa taca, a na niej śnieżna kula. Oboje wpatrzyli się w nią i zobaczyli płonące ruiny Crossroads.

– Sądzę, że właśnie się obudziłaś.

Powrócił myślami do Lucindy i Daniela i pomyślał, że wie, jak musieli się czuć podczas swoich ostatnich chwil jako anioły, po tym, jak w końcu podjęli decyzję i zanim zaczęli od nowa.

– Zawsze wiedziałam, że jest w tobie coś wyjątkowego. Jesteś aniołem.

– Upadłym aniołem – poprawił ją Cam. – I jestem twój.

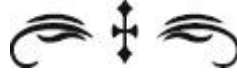
– Wszystko, co znaliśmy, pozostawiliśmy za sobą. – W jej oczach

był smutek na wspomnienie życia, które porzuciła, ale na wargach miała pełen nadziei uśmiech. – I co teraz?

Cam pochylił się i pocałował ją delikatnie.

– Och, Lilith. Nawet jeszcze nie zaczęliśmy.

PODZIĘKOWANIA



Na moje podziękowania zasługują szczególnie: Rod Bryan, Barry Poynter, Emma Angeline Branch, Alex Piazza, Brooks Tipton, Ben Hubbard, Jill Johnson, rodzina Bass, Madelyn Albright i Chevy Impala.

